HENRYK ŁUBIEŃSKI

I JEGO BRACIA

WSPOMNIENIA RODZINNE ODNOSZĄCE SIĘ DO HISTORYI KRÓLESTWA POLSKIEGO i BANKU POLSKIEGO.

Napisał

Tomasz Wentworth Łubieński.

KRAKÓW.
Księgarnia G. Gebethnera i Spółki.
1886.

HENRYK ŁUBIEŃSKI.

HENRYK ŁUBIEŃSKI

I JEGO BRACIA

WSPOMNIENIA RODZINNE ODNOSZĄCE SIĘ DO HISTORYI KRÓLESTWA POLSKIEGO i BANKU POLSKIEGO.

Napisał

Tomasz Wentworth Łubieński.

KRAKÓW.
Księgarnia G. Gebethnera i Spółki.
1886.

DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.

SŁOWO WSTĘPNE.

Pisać życiorys własnego ojca, to rzecz niezwykła w naszym kraju, i niełatwa. Bo pisać bez wydawania sądu trudno; a wydawać sąd o działaniu tego, którego się od kolebki było nauczonym czcić i kochać, uniknąć przytem wszystkiego coby zakrawało na samochwalstwo, także niełatwo.

Po śmierci mojego ojca Henryka Łubieńskiego (17 września 1883), ukazał się tylko jeden jego nekrolog, w Księstwie Poznańskiem, napisany przez Józefa Morawskiego, ze wspomnień tego, co mu opowiadał jego stryj i teść, a szwagier Henryka Łubieńskiego, Referendarz Stanu Józef Morawski. Dwa dzienniki warszawskie umieściły także o zmarłym dosyć nawet obszerne notatki, które jednak były bardziej podobne do wyciągów ze stanu służby nieboszczyka, aniżeli były ocenieniem jego działalności. To też moje dzieci

i inni młodsi członkowie mojej rodziny, którzy wiedzieli z tradycyi, że Henryk Łubieński dużo w swojem życiu dla dobra publicznego pracował, że kraj mu dużo zawdzięcza, że sam dużo doznał zawodów i przeciwności, i że o nim więcej i dłużej w swoim czasie mówiono, niż o kimkolwiek innym od czasu rozbioru Polski, ale nie wiedzieli co właściwie robił, jak robił, i dlaczego robił — prosili mnie ażebym, jako najbliższy, a jeden z bardzo już nielicznych świadków jego działalności, napisał jego życiorys. Nie uważałem jednak tej rzeczy za nagłą. Henryk Łubieński przed czterdziestu już laty zeszedł z widowni świata. Żył jeszcze długo potem w skromnem zaciszu. Nie starał się nigdy ażeby o nim mówiono. Ci co go znali, szanowali ten jego spokój. Wzrosło nowe pokolenie, nowe nastąpiły wypadki, mało kto już pamiętał o egzystencyi Henryka Łubieńskiego i mało kto się już zajmował jego działalnością.

Nadto, Henryk Łubieński, w czasie swojej działalności, tak czynny udział przyjmował w wypadkach krajowych, że pisząc jego życiorys potrzebaby prawie napisać historyą Królestwa Polskiego z lat kilkunastu, a przynajmniej historyą rozwoju przemysłu i handlu w tym kraju, bo on był niezaprzeczenie jednym z najgłówniejszych

tego rozwoju inicyatorów. Tego na pamięć pisać nie można było. Dla przygotowania się do takiej pracy potrzebaby przewertować kurzem już okryte archiwa: b. Komisyi Rządowej Sprawiedliwości, Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, b. Rady wojewódzkiej województwa krakowskiego, Diaryusze sejmowe, archiwa Dyrekcyi głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego, b. Komisyi rządowej przychodów i skarbu, b. Komisyi rządowej spraw wewnętrznych, b. Banku Polskiego, b. Dyrekcyi komunikacyi lądowych i wodnych, b. Wydziału górniczego, b. Rady administracyjnej Królestwa Polskiego, b. Sekretaryatu Stanu dla spraw Królestwa Polskiego, Komitetu dla spraw tegoż Królestwa i b. X-go Departamentu rządzącego senatu. Potrzebaby nadto przejrzeć korespondencye kilku domów handlowych krajowych i zagranicznych, archiwa wielu osób prywatnych, i odczytać obszerną po Henryku Łubieńskim pozostałą korespondencyę, a przynajmniej korespondencyę codzienną, przez lat kilkanaście z ojcem swoim utrzymywaną. Pisząc o Henryku Łubieńskim nie możnaby także nie wspomnieć o jego braciach, bo w ich pracy było wiele łączności i solidarności. Ani ochoty, ani odwagi do takiego przedsięwzięcia nie brakowało mi, pomimo poczucia nieudolności sił moich; ale dotychczas brako-

wało mi czasu i swobody myśli, i rzecz tę na później odkładałem.

Tymczasem pod koniec roku zeszłego (1885) pojawiły się dwa artykuły o moim ojcu wzmiankę czyniące. Pierwszy bezimienny, pomieszczony w poszytach sierpniowym i następnych Dodatku miesięcznego do wychodzącego w Warszawie *Przeglądu Tygodniowego,* pod tytułem „Kartki z dziejów Banku polskiego, podług pamiętników b. urzędnika“. Drugi podpisany literami *P. P.,* w odcinku *Czasu:* z dnia 22 listopada 1885 Nr. 268, pod tytułem: „Bracia Łubieńscy“.

Pierwszy z tych artykułów, napisany z okazyi zapowiedzianego już wtenczas zwinięcia Banku Polskiego, miał „zapełnić lukę“ istniejącą tak w ogłoszeniach urzędowych, jak i w literaturze prywatnej, braku „motywów i objaśnień ogólniejszej natury“ do suchych cyfr ogłaszanych corocznie bilansów tej instytucyi; i gdyby ten artykuł chociaż jako tako był odpowiedział temu zadaniu, byłby bardzo interesującym i pouczającym. Ale ani objaśnień do bilansów Banku Polskiego, ani motywów jego działania, w tym artykule niema. Jest on jako tako uporządkowanym zbiorem rezonowań i plotek takich, jakiemi zawsze niezadowolnieni z nieuznawania ich zdolności i zasług, podrzędni luminarze kancelaryjni, zabawiać się

zwykli, kiedy dla wypoczynku po trudach i nudach zabijania czasu w biurach, schodzą się do kawiarń. Ani nauka, ani historya żadnego z tych „Kartek" nie będą mogły wyciągnąć pożytku. Były urzędnik Banku na którego pamiętnikach te „Kartki" są osnute, miał widocznie jakiś żal i jakąś niechęć do mojego ojca i do prezesa Banku Lubowidzkiego, ale ostatecznie ubliżającego ich pamięci w tych „Kartkach" nic niema.

Zupełnie inne znaczenie miał artykuł pomieszczony w *Czasie*. Wytworne pióro i zwięzły styl autora; poglądy o wyższym nastroju, które tylko długie zajmowanie się sprawami krajowemi na polu publicystyki wyrobić mogły, nadają temu artykułowi powagę, którą oddawna już w literaturze polityczno-polemicznej posiadają inicyały *P. P.*, do połowy tylko odsłaniające osobistość autora. Autor tego artykułu, napisanego z okazyi śmierci Józefa Łubieńskiego, ostatniego i najmłodszego z siedmiu synów ministra Feliksa Łubieńskiego, mówi: że „nie gardłuje za Łubieńskimi dla tego, że dwie Łubieńskie szczęście w dom jego wniosły"; że „ani przyjaźń, ani żaden wzgląd osobisty na jego sąd nigdy nie wpływały"; że „umie oddać sprawiedliwość, chociażby się to komu nie podobać miało". Po takich omówieniach, każdy mógłby się spodziewać jakiegoś „gardło-

wania za Łubieńskimi", jakiegoś panegiryku, który „mógłby nie podobać się" któremu z ich przeciwników, bo przed laty wielu, to jest wtenczas kiedy ci Łubieńscy byli na widowni świata, mieli przeciwników. Tymczasem po określeniu charakteru Feliksa Łubieńskiego słowami, że „należał do tych ludzi, którzy w każdem położeniu umieją być ruchliwi i potrzebni, nawet użyteczni", a o jego synach powiedziawszy, że: tego pokolenia Łubieńskich „właściwością było" jakaś „namiętność czynu", że „mieli podwójne usposobienie służenia krajowi", że pod koniec wojny 1831 roku „mieli myśl zapewnienia sobie stanowiska na przypadek przegranej"; powiedziawszy dalej o Henryku Łubieńskim, że „ludzie tej miary miewają często swoje sumienia", pan *P. P.* zakończył swój artykuł zapytaniem odnoszącym się do wszystkich braci Łubieńskich: „czy byli dobrymi Polakami"?

Ten artykuł oburzył całą rodzinę Łubieńskich. Jej członkowie bowiem wiedzą jakiem mlekiem od kolebki karmieni byli, i co im ich rodzice najwięcej po Bogu kochać zalecali. Wiedzą, że ich przodkowie, jak tego była potrzeba, bronili kraju mieczem, że łożyli także cięższą od miecza chociaż pokojową pracę, około pomyślności materyalnej i moralnej kraju. Straty nawet

materyalne, któremi praca ich przodków okupioną była, zbyt dla teraźniejszego pokolenia są dotkliwe, ażeby ono nie miało dbać o zachowanie pozostałej po tej pracy korzyści moralnej, którą wzbudzona w tym artykule wątpliwość wydrzeć im się stara. Są bowiem kwestye, w których najmniejsze powątpiewanie dopuszczalnem nie jest. A poświadczenie autora tego artykułu, że „ma moralne przekonanie“, iż ci Łubieńscy byli dobrymi Polakami, ani członkom ich rodziny, ani nikomu innemu wystarczyć nie może; zwłaszcza, kiedy to poświadczenie dane zostało w odpowiedzi na pytanie, będące prawie logicznym wynikiem tego, co poprzednio powiedziane było! Zresztą, poświadczenie to osłabia przytoczoną przez samego autora tego artykułu okoliczność, że „dwie Łubieńskie szczęście do jego rodziny wniosły“. A zatem kwestya rzucona przez p. *P. P.* została otwartą.

Ta kwestya mnie najbliżej ze wszystkich Łubieńskich dotyczy, bo w artykule wspomnianym głównie jest mowa o moim ojcu. Nie mogę nie podnieść rzuconego nam przez p. *P. P.* pod pozorem gardłowania, bardzo, co najmniej, dotkliwego słowa. Muszę się z nim rozprawić.

Powinienem jednak uszanować prawo służące każdemu publicyście, wygłaszania swego sądu

o ludziach do historyi należących; prawo stanowiące nawet obowiązek tego zawodu. Powinienem także pamiętać o obowiązku, któryby mi mój ojciec, mój dziad i wszyscy moi stryjowie przypominać nie omieszkali, darowania urazy. Obowiązku, tem łatwiejszego tym razem do spełnienia, że od pół wieku blisko przyzwyczajony do uznawania cnót autora tego artykułu w życiu jego prywatnem, i jego zasług w życiu publicznem, nie mogę przypuszczać złej woli. Znając zaś wpływy jakie od jego młodych lat na jego umysł działały, mogę przypuszczać złą informacyą i złe wrażenia. Za żadną przeto inną broń nie chwytam jak za pióro, i to tylko dla wyjaśnienia prawdy. A nawet, jeżelim tutaj wspomniał o tym całym epizodzie, uczyniłem to tylko dla wyjaśnienia, dlaczego do napisania tych „Wspomnień" przystąpiłem teraz, i dlaczego je napisałem w tej formie jaką mają obecnie, i bez takiego przygotowania jakiego potrzebę sam wyżej wskazałem.

Wiem dobrze, że moje stanowisko, jako syna, wnuka i synowca osób o których mówić będę, jest mniej korzystne od stanowiska każdego obcego, bo można mi zarzucić, że gardłuję *pro domo sua*. Ten charakter syna, wnuka i synowca nie odejmuje mi jednak prawa świadcze-

nia o faktach dokładnie mi znanych, o których zresztą nietylko z moich opowiadań wiadomość powziąć można, są bowiem i inni świadkowie, są i dokumenta. Wyjaśnienie zaś, i to bez straty czasu, różnych okoliczności, dające możność wydania sądu w przedmiocie tego, tak bolesnego, i tak oburzającego zapytania, jakie autor wspomnianego artykułu pomieszczonego w *Czasie* tam postawił, jest moim obowiązkiem, nie tylko względem pamięci najdroższych mi osób, i nie tylko względem całej mojej rodziny, dziedziczącej odblask zasług swoich przodków, albo upokorzeń za ich winy. Jest ono także moim obowiązkiem względem kraju. Sposób bowiem jakim działalność ludzi do historyi już należących przez ich współziomków ocenianą bywa, niemały wpływ wywiera na postępowanie tych, którzy są obecnie w możności rozwinięcia jakiegokolwiek działania na polu interesów publicznych; i zawsze wywierać będzie wpływ na tych, którym ta możność w późniejszych jeszcze czasach przypadnie w udziale. Wiemy zaś jak właśnie ta obawa podniesienia przez kogokolwiek z ziomków wątpliwości, „czy są dobremi polakami“? skłoniła niejednokrotnie tylu, i to najzacniejszych obywateli, do polityki abstencyi, z największą często dla kraju szkodą.

To też pomimo tej trudności, przystępuję do rzeczy. Nie przedsiębiorę napisania historyi Królestwa Polskiego za lat kilkanaście, ani też historyi rozwoju przemysłu i handlu w tym kraju, ani nawet dokładnej biografii mojego ojca, dziada i stryjów, bo nic o ich życiu rodzinnem mówić nie będę. Nie czekam na możność zrobienia studyów, których potrzebę w początku tego „Wstępnego Słowa“ wykazałem. Opowiem tylko z pamięci niektóre wypadki i towarzyszące im okoliczności, i wyjaśnię motywy niektórych działań. Te wyjaśnienia pusłużą, mam nadzieję, do rozproszenia wątpliwości w artykule *Czasu* wyrażonych i będą mogły służyć za materyał dla tych, którzyby kompletne biografie tych osób, albo historyą tych czasów pisać przedsiębrali. Na dokumenta powoływać się nie będę, bo jak mówiłem piszę z pamięci, ale wskazywać będę, gdzie dokumentów szukać należy. Będę się zaś powoływał na świadectwo tych niewielu już żyjących osób, które o opowiadanych przeze mnie szczegółach w swoim czasie świadomemi być mogły. Mówiąc zaś o tych Łubieńskich, objaśnię także pokrótce ich stosunki majątkowe, bo historya majątków jest poniekąd historyą rodzin; a potem dlatego, że stan majątkowy ludzi, daje do pewnego

stopnia miarę obowiązków publicznych na nich ciążących. Sposób zaś jakim ludzie swoje interesa majątkowe prowadzą, jest jedną z ważnych wskazówek do poznawania ich charakteru.

Pisałem w Krakowie w Styczniu 1886 r.

Feliks Łubieński.

Pisząc o Henryku Łubieńskim i o jego braciach, niepodobna niepowiedzieć słów kilka o szkole w jakiej wychowani byli, to jest o ich ojcu. Feliks Łubieński był synem Celestyna Łubieńskiego, szambelana króla Augusta III. i Pauli Szembekównej, a wnukiem po ojcu Floryana Łubieńskiego wojewody poznańskiego, i Teofili Walewskiej kasztelanki rozpiskiej, a po matce Marka Szembeka jenerała i Rudnickiej kasztelanki bydgowskiej. Urodził się d. 22 Listopada 1758 w Minodze, domu dziada swego Szembeka. Ojciec jego odumarłgo dzieckiem. Matka wyszła wkrótce za Jana Potockiego wojewodzica bełskiego, a owdowiawszy powtórnie, za Jędrzeja Ogińskiego miecznika litewskiego, następnie wojewodę trockiego i miała z nimi synów: Prota Potockiego i Michała Kleofasa Ogińskiego. Feliks Łubieński nie chował się przy matce która miała nowe obowiązki i nowe sto-

sunki, ale przy swoim stryjecznym dziadzie Prymasie Władysławie Aleksandrze Łubieńskim, jedynym bracie dziada jego, Wojewody poznańskiego. W czasie elekcyi króla Stanisława Augusta, Prymas objeżdżając dla zebrania wotów koło rycerskie stojące pod Wolą, nie konno podług dawnych zwyczajów, ale z powodu nadwątlonego zdrowia kolaską, posadził sześcio-letniego wnuka swego w nogach swoich. To pierwsze prawie wrażenie swojego dzieciństwa, widok narodu wykonywającego odwieczne swoje prawo, wybierania swojego króla, silne naturalnie wrażenie na umyśle dziecka pozostawiło. Opowiadał też je często, aż do połowy prawie bieżącego stulecia swoim wnukom i prawnukom. Przy koronacyi jednak króla, jak to mylnie pan P. P. wspomina, nie trzymał korony na węzgłowiu. Dziecko, nie mogło w tej ceremonii zastąpić dygnitarza odwiecznemi zwyczajami przeznaczonego. Prymas Łubieński umarł w r. 1767, jak niesie tradycya rodzinna, otruty, za opozycyą przeciwko wnoszoszonym natenczas ustawom o dyssydentach, i przeciwko dawaniu przez senatorów i posłów zobowiązań piśmiennych, nie sprzeciwiania się interesom i woli Imperatorowej. Niesłusznie mu przeto niektórzy historycy zarzucają słabość charakteru, na tem niby opartą, że to on w cza-

sie bezkrólewia przyznał tytuły Imperatorowej i Króla dwóm sąsiednim potężnym monarchom, którym aż do tego czasu Rzeczpospolita tych tytułów nie przyznawała. Prymas testamentem, którego copia vidimata znajduje się w aktach kapituły gnieznieńskiej, prosił Króla o podjęcie się opieki nad nieletnim Feliksem Łubieńskim. Król wykonywał tę opiekę przez Podkanclerzego Koronnego, Biskupa poznańskiego Młodziejowskiego. Nie było w tem nic na owe czasy nadzwyczajnego. Za naszej już pamięci, opiekunem księcia Augusta Sułkowskiego był Król pruski. I nie dlatego tutaj o tem wszystkiem wspominam, ażeby z tego wywodzić jakąkolwiek wyższość rodziny Łubieńskich nad którąkolwiek z ówczesnych rodzin w kraju, ale dlatego, ażeby zaznaczyć że ludzie w takich warunkach i w takich stosunkach wychowani, jeżeli ich potem czcza jakaś próżność nie opanuje, nabierają przez to samo wyższego poglądu na ludzi i na rzeczy; i że ludzie z takiemi protekcyami i z takiemi stosunkami w świat wchodzący, powoływani bywają prędko na wyższe stanowiska.

Nauczycielem Feliksa Łubieńskiego był Albertrandi, historyk i późniejszy pierwszy Prezes Towarzystwa przyjaciół nauk, do którego zbiorów Feliks Łubieński ofiarował bogaty zbiór monet

i medali, tak po dziadzie swoim Prymasie odziedziczony, jak i przywieziony z Włoch, gdzie w latach 1771 i następnych, kończył nauki w Rzymie i Siennie. Po ukończeniu edukacyi, Feliks Łubieński wstąpił w r. 1774 do kancelaryi dyplomatycznej, kierowanej przez Kanclerza Wielkiego Litewskiego księcia Michała Czartoryskiego. W ciągu tej służby jeździł z misyą dyplomatyczną do dworu pruskiego. W roku 1778 mianowany został starostą grodowym Nakielskim, i tego też tytułu za czasów Rzeczypospolitej używał. Starostwa grodowe były w ogóle mniej intratne od innych, i na starostach grodowych ciążył obowiązek nadzoru nad konserwacyą akt grodzkich i wymiar sprawiedliwości karnej. Nie była to przeto sinecura. W r. 1782 ożeniwszy się z Teklą Bielińską, córką Franciszka Bielińskiego pisarza wielkiego koronnego i Krystyny Sanguszkownej, a wnuczką po ojcu Michała Bielińskiego wojedy chełmskiego, i Teofili Pepłowskiej podczaszanki kijowskiej, a po matce księcia Pawła Sanguszki Marszałka Wielkiego Litewskiego i Barbary Duninównej referendarzównej koronnej, Feliks Łubieński osiadł w majątku swoim dziedzicznym Szczytnikach, w województwie sieradzkiem. Tam gospodarował wzorowo. On pierwszy zaprowadził w Polsce sadzenie kartofli w polu.

Hodowlę inwentarza tak u siebie uorganizował, że na każde 10 krów dojnych, z których nabiał przerabianym był na masło i sery we dworze, utrzymywaną była stale jedna maciora, po której odhodowywały się chudzce. Zasiewał także w okolicy bezleśnej, dębinę i wycinał ją w dziesięcioletnich porębach, korę sprzedając garbarzom, a z drzewa wyrabiając obręcze zakupywane do Szczecina. Posłował na sejmach 1778 r. i na sejmie czteroletnim. Akt konfederacyi sejmowej spisany został jego ręką w salonach księżny marszałkowej Sanguszkowej, mieszkającej wraz z zięciem swoim Bielińskim, i z wnuczką swoją Łubieńską w pałacu Bielińskich później Łubieńskich zwanym. Feliks Łubieński należał do deputacyi, która Króla zaprosiła do przystąpienia do tej konfederacyi. Na tym ostatnim sejmie należał do partyi patryotycznej, która konstytucyę 3go Maja przeprowadziła. Posyłanym był także w charakterze Komisarza rządowego do wojsk Jenerała Kościuszki, i z tej okazyi był obecnym przy bitwie pod Dubienką. Później przyjmował bardzo czynny udział w insurekcyi kościuszkowskiej, chociaż sam za oręż nie chwycił.

W czasie swojej misyi dyplomatycznej przy dworze pruskim, Feliks Łubieński miał sposobność oddania przysługi ówczesnemu następ-

pcy tronu, późniejszemu królowi Fryderykowi Wilhelmowi II., pożyczając mu kilka tysięcy dukatów, które tenże, zaraz po wstąpieniu na tron zwrócił. Udzielanie pożyczek przez dyplomatów osobom wysoko położonym i wpływowym, nawet następcom tronu, praktykowało się wtenczas na wielką skalę. Znany jest epizod kłopotów, w jakich się z takiego powodu znalazł następca tronu rosyjskiego Wielki Książe Paweł, i zapłacenie jego długów, bez jego nawet wiedzy, przez jego adjutanta Ilińskiego; jak równie szlachetny sposób jakim Iliński wyzyskał następnie wdzięczność Cesarza Pawła na korzyść Kościuszki i innych jeńców i wygnańców polskich. Tylko zwykle dyplomaci dawali tego rodzaju pożyczki z funduszów państwa, które reprezentowali; dyplomata zaś polski, musiał je dawać z własnej kieszeni. Może być, że ten stosunek, jaki Feliks Łubieński miał z Fryderykiem Wilhelmem II., był powodem do jakichś szczególnych względów rządu pruskiego dla niego po rozbiorze kraju, o jakich pan P. P. wspomina. Względy te jednak, jeżeli istniały, Feliks Łubieński wyzyskał w dwóch tylko okolicznościach. Pierwszą było wyjednanie od Króla pruskiego, uwolnienia ośmiuset obywateli więzionych przez Prusaków, po insurekcyi kościuszkowskiej, drugą, było wyjednanie od

Króla pruskiego pozwolenia dla Jenerała Hoyma, sprzedania mu dóbr Guzowskich, co nastąpiło z następującej okazyi.

Guzów, obecnie w powiecie błońskim położone dobra, były starostwem nadanem na pewien przeciąg lat Antoniemu Potockiemu wojewodzie bełskiemu, ojcu Jana Potockiego ojczyma Feliksa Łubieńskiego. Po śmierci Jana Potockiego, starostwo to pozostawione zostało jego wdowie, w skutek rozrachunków majątkowych między nią a opieką jej nieletniego syna Prota Potockiego, i tam matka Feliksa Łubieńskiego mieszkała nawet po wyjściu po raz trzeci za mąż za Ogińskiego, a zwłaszcza po jego śmierci. Po rozbiorze kraju, Feliks Łubieński wyczerpawszy wpływy jakie mógł mieć przy dworze pruskim na korzyść więzionych ziomków, przyjechał do Guzowa pożegnać się ze swoją matką na zawsze prawdopodobnie. Zamierzał bowiem tak, jak kilku innych Polaków, opuścić kraj rodzinny i wynieść się z żoną i dziećmi do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Lecz właśnie wtenczas kiedy był u matki swojej, nadeszła do Guzowa wiadomość, że Rząd pruski zainkamerował wszystkie starostwa, i że Król pruski nadał to starostwo, jako majorat, Jenerałowi Hoymowi. Otrzymawszy tę wiadomość Feliks Łubieński, już

nie do Ameryki pojechał, ale do Berlina, i wyjednał od Króla pozwolenie dla Jenerała Hoyma, sprzedania mu dóbr guzowskich. Sprzedał natenczas, naturalnie tanio, dobra swoje dziedziczne Szczytniki i Kalinowę, kupił, naturalnie drogo, Guzowszczyznę. Na zapłacenie reszty umówionego szacunku musiał nawet zaciągnąć pożyczki w różnych instytucyach berlińskich. Powrócił zaraz potem do Guzowa, zapewnił swoję matkę, że może nadal w tych dobrach pozostać na takich samych prawach jak poprzednio. Sam zaś z żoną i dziećmi osiadł w Zagości pod Wiślicą. Zagość zaś, było to starostwo nadane na pewien przeciąg lat Wojewodzie trockiemu Ogińskiemu, ojczymowi Feliksa Łubieńskiego, jako wynagrodzenie za koszta poselstwa do Wiednia. Bo Rzeczpospolita, której finanse były zawsze w bardzo wielkim rozstroju, tak opłacała swoich urzędników. Ale książe Ogiński także pieniędzy nie miał, a prawem użytkowania z majątku ziemskiego nie mógł pokrywać kosztów dosyć znacznych poselstwa. Opieka tedy Feliksa Łubieńskiego, to jest Król i Podkanclerzy Młodziejowski, sprzedała dobra Pilaszków pod Warszawą, do ich pupila należące, pieniądze z tej sprzedaży zrealizowane oddała Wojewodzie Trockiemu, a prawa jego do

starostwa zagoskiego, za zgodą Stanów Rzeczypospolitej, przelane zostały na Feliksa Łubieńskiego.

Trzecim dowodem jakichś względów dworu pruskiego dla Feliksa Łubieńskiego, było nadanie mu w r. 1798 tytułu hrabiowskiego. To jednakże nastąpiło z okazyi koronacyi Fryderyka Wilhelma III., na którą Feliks Łubieński, wraz z kilku innemi obywatelami jeździł w charakterze Deputata prowincyi Prus południowych. Nadawanie tytułów w takich okolicznościach było w Prusach w zwyczaju. Jednocześnie z Łubieńskim otrzymali w r. 1798 tytuły hrabiowskie: Brzostowski, Szołdrski, Wołłowicz i Zboiński. Z okazyi koronacyi Fryderyka Wilhelma IV., taki sam tytuł otrzymali Poniński, Skórzewski i Żółtowski. Feliks Łubieński nie chciał wcale z tego zaszczytu korzystać, i odmówił opłaty właściwego stempla, jak również dostarczenia objaśnień dla ułożenia herbu. Ale przysłano mu patent gratis, i ułożono bez jego wpływu herb hrabiowski, przy czem dopuszczono się pewnej herezyi heraldycznej, mieszcząc herb Łubieńskich, Pomian, raz na czerwonym, a drugi raz na błękitnem polu.

Po śmierci matki swojej, Wojewodziny Trockiej, w r. 1798, Feliks Łubieński przeniósł się z Zagości do Guzowa i zajął się podniesieniem gospodarstwa zaniedbanego pod rządami kobie-

cemi jego matki, a zrujnowanego poprzednio przez fantazye i potrzeby jej męża, pana Wojewody trockiego Ogińskiego. Zajął się także bardzo starannem wychowaniem swoich dzieci. Przy młodszych synach, do których liczby należał Henryk Łubieński, guwernerami byli ksiądz Szaniawski, późniejszy tłómacz kodeksu Napoleona i kanonik warszawski i Strączyński ojciec uczonego badacza narodowych dziejów, b. członka senatu Kazimierza Strączyńskiego. Na rozwinięcie umysłu Henryka Łubieńskiego, najwięcej może po rodzicach, wpłynął niejaki Rolle holender, przez cesarza Leopolda zamówiony na guwernera przyszłego cesarza Józefa II. Dla jakich powodów Rolle nie pozostał przy dworze austryackim, nie wiem. Dosyć, że pan Wojewoda trocki powierzył mu wychowanie syna swojego księcia Michała Kleofasa Ogińskiego. Po skończeniu tej edukacyi, Rolle pozostał jako rezydent w Guzowie u pani Wojewodziny, a potem u Feliksa Łubieńskiego. On już lekcyi dzieciom jego nie dawał, ale kierował ich czytaniami, i sam z niemi dużo czytywał, objaśniając im przedmioty czytane z wielką erudycyą i rozumem. Myli się przeto autor „Kartek z dziejów Banku Polskiego“ mówiąc, że Henryk Łubieński był wychowańcem Jezuitów. Autor ten może nie wie, że w czasie

młodości Henryka Łubieńskiego zakon Jezuitów, skasowany w r. 1772, w całej Europie wcale nie istniał. Egzystencyę jego utrzymała jedna tylko cesarzowa Katarzyna na Białej Rusi, gdzie mieli wielkie kollegium w Połocku, później drugie w Petersburgu; ale tam Henryk Łubieński nigdy nie był.

Po ustąpieniu Prusaków z prowincyj Prus południowych, to jest z części Polski zagarniętej przez Prusy, przy drugim i trzecim rozbiorze, Feliks Łubieński był najprzód członkiem deputacyi która jeździła powitać cesarza Napoleona w Poznaniu. Następnie był Prezesem Dyrektoryatu, który tym krajem zarządzał od czasu ustąpienia Prusaków w r. 1806, aż do czasu organizacyi władz Księstwa Warszawskiego w r. 1807 i zarządzał wydziałami spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Mianowany został Ministrem sprawiedliwości przez Króla Saskiego Księcia warszawskiego, przy pierwszej organizacyi władz tego kraju. Prawdę przeto do pewnego stopnia, mówi pan P. P. „że zaledwie Księstwo Warszawskie powstało Feliks Łubieński wszedł do służby cywilnej“. Ale taka redakcya tego okresu, pomieszczona po określeniu charakteru Feliksa Łubieńskiego, iż „należał do tych ludzi, którzy w każdem położeniu umieją być ruchliwymi

i potrzebnymi, nawet użytecznymi", tak brzmi, jak gdyby Feliks Łubieński był zwyczajnym, o giętkim karku, aspirantem do posad rządowych. Tymczasem, chociaż prawdą jest, że on wtenczas wszedł napowrót do służby, nie wszedł do niej jednak jako zgłodniały, albo ambitny aspirant do posady, ale jako jeden z obywateli, którego charakter, zdolności i zasługi, były przez współczesnych mu ziomków wysoko cenione.

Wprowadzenie w Księstwie Warszawskiem Kodeksu Napoleona, nie nastąpiło wskutek inicyatywy ministra Łubieńskiego. Ono było wykonaniem jednego z artykułów konstytucyi nadanej Księstwu Warszawskiemu przez cesarza Napoleona. Ten Kodeks nie we wszystkich swych rozporządzeniach odpowiadał potrzebom kraju. Wprowadzenie jego jednak oddało krajowi nie małą przysługę, bo zaprowadziło prawodawstwo jasne i dokładnie opracowane, w miejsce chaosu rozmaitych, i to nieskodyfikowanych praw, obowiązujących poprzednio różne prowincye i różne klasy społeczeństwa w Rzeczypospolitej, skomplikowanych krótkotrwałem panowaniem prawodawstw pruskiego i austryackiego. Zasługą Ministra Łubieńskiego było przeto, nie samo wprowadzenie tego Kodeksu, ale obmyślenie i zaprowadzenie organizacyi sądowej i admini-

stracyjnej, czyniących zadosyć wymaganiom kodeksowym, a zarazem zastosowanych do charakteru narodowego i do potrzeb miejscowych; jak n. p. powołanie najpoważniejszych obywateli na sędziów pokoju, ustanowienie proboszczów urzędnikami stanu cywilnego, powierzenie urzędów wójtów gmin dziedzicom dóbr, i t. p. Zasługą jego była także troskliwość o upowszechnienie znajomości prawa, przez postaranie się o przetłómaczenie na język łaciński i polski obowiązujących kodeksów, i przez założenie i utrzymywanie swoim kosztem szkoły prawa. Największą jego zasługę jednak stanowi energia, z jaką obstawał przy utrzymaniu zawsze i wszędzie powagi rządu i prawa, i poszanowania dla nich, i to nietylko w wydziale sprawiedliwości, którego był Ministrem, ale zwłaszcza jako prezydujący bardzo często w Radzie ministrów.

To właśnie obstawanie za utrzymaniem powagi prawa, było głównym może powodem do opozycyi przeciwko niemu jaka się ujawniła dopiero wtenczas, kiedy po wojnie 1809 roku, Księstwo Warszawskie zostało powiększone przez przyłączenie do niego departamentów krakowskiego, sandomierskiego, lubelskiego i podlaskiego. Wyobrażenia mieszkańców tych prowincyj, były daleko mniej przekształcone pod wpływem rządu

austryackiego, od wyobrażeń mieszkańców prowincyj które w posiadaniu Prus pozostawały. Pierwsi zachowali daleko bardziej od drugich, tradycye niesforności i buty szlacheckiej z czasów Rzeczypospolitej. Instynkta panów i panków, podtrzymywane były przez usłużną palestrę lubelską, zawsze od piotrkowskiej potężniejszą, i nie tak przez rząd zaborczy zmiażdżoną jak ta ostatnia. Cały proces Kuczyńskiego o którym pan P. P. wspomina, był tylko jednym z objawów tej opozycyi, którą w tym przypadku reprezentował bogaty karmazyn, niechcący zrozumieć, że Minister sprawiedliwości bardziej jest obowiązany do pilnowania, ażeby sprawiedliwość wymierzoną była przez sędziów o niezależnem zdaniu, aniżeli do protegowania interesu prywatnego, chociażby najmożniejszego magnata. Tej opozycyi skutki, odbiły się także w zdaniach o Feliksie Łubieńskim pomieszczonych w pamiętnikach z czasów Księstwa Warszawskiego, i w historyach kraju z tej epoki, pisanych po większej części przez Lublinian, oddających się piśmiennictwu pod opieką dworu puławskiego. Nawet i nowsi pisarze nie umieli się od tego nastroju uwolnić. Tak n. p. Falkowski pisząc o Feliksie Łubieńskim, chciał go koniecznie potępić, chociaż wszystko co na usprawiedliwienie

swojego zdania przytacza, na pochwałę by raczej zasługiwać powinno. Jedynym z piszących o Feliksie Łubieńskim, bez wyrażenia krytyki, był Chomętowski. Ale jego monografia, osnuta na wspomnieniach spisanych przez Anielę z Łubieńskich Napoleona Świdzińskiego małżonkę, z opowiadań, jakiemi Feliks Łubieński, już w starości, ją i jej rówienniczki, wnuczki swoje zabawiał, nie daje wcale obrazu jego pracy za Rzeczypospolitej i za Księstwa Warszawskiego, a jest raczej obrazkiem obyczajowym z ostatnich lat zeszłego stulecia.

Ze wszystkich co o Feliksie Łubieńskim pisali, pan P. P. pierwszy zarzuca mu „Kulturkampf", uwydatniony w korespondencyi z Prymasem Raczyńskim, wszyscy bowiem inni publicyści, raczej bigoteryę mu zarzucali. Prawdą jest że Minister Łubieński przeprowadził z Prymasem Raczyńskim korespondencyę urzędową, w interesach kościoła dotyczących, która nas, szanujących bardziej niepodległość kościoła, niż ją wtenczas szanowano, razi. Ale potrzeba pamiętać, że Minister sprawiedliwości był zarazem Ministrem wyznań; i że w tak ważnej kwestyi jak stosunek Państwa do Kościoła, musiał się stosować do postanowień Rady ministrów, która była pod przeważnym wpływem Rezydenta francuskie-

go, jeżeli nie pod zupełną od niego zależnością. Administracya francuska była wzorem, do którego starano się wtenczas we wszystkiem się stosować, we wszystkich gałęziach służby publicznej, więcej jeszcze aniżeli w ministerstwie sprawiedliwości. Stosunki Państwa z Kościołem, były wtenczas we Francyi uregulowane konkordatem z r. 1801 i prawami organicznemi. Te prawa nie obowiązywały w Księstwie Warszawskiem, ale po przewrotach politycznych, przez jakie ten kraj był przeszedł, żaden inny porządek legalny pod tym względem zaprowadzonym nie został. Nic przeto dziwnego, że Rząd Księstwa Warszawskiego, w stosunkach z Kościołem, trzymał się zasad konkordatu francuzkiego i francuskich praw organicznych, a opór Prymasa przeciwko temu był także zupełnie w porządku.

Gdy przy schyłku Księstwa Warszawskiego, Rząd i wojska ustępowały przed zalewającemi ten kraj wojskami rosyjskiemi, dwóch tylko ministrów, książe Józef Poniatowski i Feliks Łubieński, nie dało się ująć namowom hrabiny Ordynatowej Zamoyskiej, która z polecenia brata swojego księcia Adama Czartoryskiego, pracowała nad pozyskaniem wszystkich ministrów i wszystkich wybitniejszych obywateli w kraju dla Cesarza Aleksandra I. Książe Józef Poniatowski poległ

w dalszym ciągu tej wojny; Minister Łubieński cofnął się za wojskami aż do Paryża. W czasie okupacyi Paryża, przez zwycięskie wojska skoalizowane, robiono Feliksowi Łubieńskiemu, tak samo jak Tadeuszowi Kościuszce, propozycye przyjęcia udziału w Rządzie powstać mającego Królestwa Polskiego. Ale Feliks Łubieński tak samo jak Kościuszko, nie skorzystał z uczynionej mu propozycyi, bo wolał skromne stanowisko ziemianina, od służby w swoim kraju obcemu panu.

Czyż tedy można było, tak jak to pan P. P. uczynił, określić charakter Feliksa Łubieńskiego w słowach: iż „należał do tych ludzi, którzy w każdem położeniu umieją być ruchliwi i potrzebni, a nawet użyteczni“; kiedy pomimo protekcyi królewskiej jaka mu od najmłodszych lat zapewnioną była, i stosunków pokrewieństwa i powinowactwa z najbardziej w kraju wpływowemi rodzinami, które mu za czasów Rzeczy-pospolitej otwierały wrota do najświetniejszej karyery, pomimo następnie szczególnych względów, jakie podług pana P. P. miał mieć u Rządu pruskiego, i pomimo propozycyj robionych mu ze strony Cesarza Aleksandra I-go, ani za czasów wszech potęgi Ambasadora Imperatorowej i Wielkiego Podskarbiego Koronnego, nie starał

się w Rzeczypospolitej o żadne dygnitarstwo; ani za czasów zaborów nie przyjął żadnego dostojeństwa; a tylko wówczas na widownię publiczną występował, kiedy można było w kraju, dla kraju, i za pomocą sił krajowych pracować.

Jeszcze słów parę o jego stosunkach majątkowych. Jak już wspomniałem, Feliks Łubieński odziedziczył dobra Szczytniki i Kalinową w województwie sieradzkiem i Pilaszków pod Warszawą. Te ostanie dobra sprzedane zostały w czasie jego małoletności, przez jego opiekunów dla nabycia od pana Wojewody trockiego prawa posiadania starostwa zagójskiego. Szczytniki i Kalinowę sprzedał sam, dla utrzymania dożywotniego swojej matki, w spokojnem posiadaniu dóbr Guzowa. Po objęciu teki ministeryalnej, Feliks Łubieński przekonał się, że mu niepodobna podołać dozorowi gospodarstwa guzowskiego; zresztą dzieci jego już dorastały, podzielił przeto dobra guzowskie na trzy części, i oddał sam Guzów synowi swojemu Piotrowi, Sokule — synowi swojemu Franciszkowi, a Czerwonąniwę — córce swojej Maryi, Maksymiliana Skarzyńskiego małżonce, przekazując im do zapłaty sumy po pruskie, tak zwane bajońskie, i zobowiązując ich do spłat na rzecz reszty rodzeństwa. Synowie jego

Tomasz i Jan wyposażeni zostali kapitałami, wymagali tego bowiem ich teściowie. Oprócz Guzowa posiadał także Feliks Łubieński, otrzymaną za żoną, obszerną posesyę w Warszawie, poprzednio pałacem Bielińskich, a następnie pałacem Łubieńskich zwaną, dochodzącą do ulic Królewskiej, Marszałkowskiej, kościoła luterskiego, i obejmującą cały teraźniejszy Zielony plac. Za żoną także wziął jurydykę w Warszawie zwaną Bielino. Po śmierci swojej żony, zmarłej w Krakowie 15 Sierpnia 1810 r., w czasie festynów urządzonych w Sukiennicach z okazyi wprowadzenia kodeksu Napoleona, (widać że Kraków już wówczas lubił manifestacyjne festyny), Feliks Łubieński oddał synowi swojemu Henrykowi, Pałac i Jurydykę w Warszawie, zobowiązując go także do różnych spłat na rzecz rodzeństwa. Wyposażył później najmłodszego swojego syna Józefa funduszami wywindykowanemi z masy konkursowej księcia Michała Ogińskiego; a córkę swoję najmłodszą, Różę Sobańską, funduszami wywindykowanemi z masy konkursowej Prota Potockiego. Bo póki mógł, dopomagał braciom swoim Potockiemu i Ogińskiemu swoimi kapitałami. Po rozporządzeniu swoim majątkiem, pozostała Feliksowi Łubieńskiemu tylko bar-

dzo nieregularnie płacona pensya ministrowska i starostwo zagojskie.

Po powrocie z Paryża w r. 1815, Feliks Łubieński nie mógł osiąść w Zagości, bo była w dzierżawie. A nadto, zastał córkę swoję Skarzyńskę w niemałych kłopotach. Jej mąż zadzierżawił był od Marszałka Davousta, księstwo Siewierskie, nadane mu przez Cesarza Napoleona. Ale w r. 1813 Skarzyński umarł, zostawiając młodą jeszcze wdowę, troje drobnych dzieci, i bardzo duże a kłopotliwe gospodarstwo. Przy niej przeto osiadł Feliks Łubieński we wsi Strzemieszycach, w celu dopomagania jej w jej trudnem zadaniu. Po traktacie wiedeńskim, wszystkie dobra w Polsce nadane przez Napoleona jego Jenerałom, przeszły na własność Rządu Królestwa Polskiego, i Rząd ten pozatwierdzał zrazu kontrakta dzierżawne przez poprzednich donataryuszów pozawierane. Ale w księstwie Siewierskiem, we wsi Dąbrowie, znaleziono wtenczas pokłady węgla kamiennego. Feliks Łubieński niemało się do tego odkrycia przyczynił; i ztąd jeden z szybów tej kopalni dotychczas jeszcze „Feliks“ się nazywa. Widząc to Rząd, odebrał samowolnie dzierżawę tych dóbr pani Skarzyńskiej. I ona i jej ojciec nie mieli chwilowo gdzie się podziać. Henryk Łubieński kupił natenczas mały folwark

pod Sławkowem, Ustronie zwany. Tam się na razie pomieścili. Potem, po ekspiracyi kontraktu dzierżawnego, przenieśli się do Zagości. Ale w roku 1822 Rząd królestwa Polskiego odebrał wszystkie starostwa ich posiadaczom, wyznaczając im niewielkie kompetencye. Natenczas Feliks Łubieński z córką Skarzyńską przeniósł się do Krakowa, dokąd go przyciągała, pozorna przynajmniej niepodległość tego miasta, i najściślejszy stosunek przyjaźni z biskupem Woroniczem. W roku 1828 nareszcie, przejechał z Krakowa do Guzowa. W roku 1831, kiedy wojska polskie zaczęły cofać się zpod Bolimowa do Warszawy, na prośby synów, przeniósł się do Warszawy. Tam 6-go Września, chwycił za strzelbę, i siedmiodziesięcio kilkoletni starzec, podążał piechotą ku Woli. Troskliwa jego córka Skarzyńska, spostrzegła się, że ojca niema w domu, i dowiedziawszy się że wyszedł uzbrojony, pogoniła za nim, i ledwo go uprosić zdołała, ażeby odstąpił od przedsięwzięcia nieodpowiadającego już jego siłom. Gdy jednak 7 Września kapitulacya Warszawy podpisaną została, Feliks Łubieński, nie chcąc być świadkiem tego co miało nastąpić nazajutrz, wyjechał z Warszawy przez Modlin do Płocka. Po kilku miesiącach dopiero wrócił do Guzowa, i już go do śmierci (2 Kwietnia 1848 r.) nie opuścił,

dając przykład przewodztwa całej swojej licznej rodziny, otaczającej go najgłębszem uszanowaniem, najczulszą miłością, i najtroskliwszem staraniem ; i to przewództwa nie despotycznego, jak się pan P. P. wyraża, ale ojcowskiego i chrześcijańskiego.

Synowie Feliksa Łubieńskiego za Księstwa Warszawskiego i w początkach Królestwa Polskiego.

Czasów Księstwa Warszawskiego, ani pierwszych lat Królestwa Polskiego, pamiętać nie mogę. Pisząc z pamięci, powinienbym może te lata w opowiadaniu mojem zupełnie opuścić. Tak samo jednak, jak opowiedziałem pokrótce bieg życia mojego dziada Feliksa Łubieńskiego, chociaż go pamiętam dopiero od czasu jak mieszkał na starość w Krakowie, tak samo też zdaje mi się właściwem, kilka słów powiedzieć o tem, co synowie jego robili w epoce, której świadkiem naocznym jeszcze nie byłem, ażeby następnie do opowiadania mojego wprowadzić ludzi już znanych.

Najstarszy syn Feliksa Łubieńskiego, Franciszek, urodził się 5 Stycznia 1784 w Szczytnikach. Jako dziecko, nosił już mundur gwardyi królewskiej, bo tak on, jak i jego bracia, urodzeni za

Rzeczypospolitej, od samego urodzenia zapisywani byli, podług ówczesnego zwyczaju, do tej chorągwi. Bardzo młodo za pruskich jeszcze czasów, ożenił się z Anną Miłkowską, córką Michała Miłkowskiego, dziedziczką po kądzieli fortuny wygasłej linii Łubieńskich, z której był Kaźmierz biskup krakowski, brat jego Bogusław kasztelan sandomirski, i syn tego ostatniego a ostatni tej linii po mieczu Kaźmierz starosta lelowski. Matka jej Józefa z Łętowskich Miłkowska, chciała koniecznie córkę swoję jedynaczkę wydać za jednego z synów Feliksa Łubieńskiego, ażeby przez to małżeństwo wprowadzić swój majątek napowrót do familii Łubieńskich. A nadto, dla zatarcia śladów nawet jakiegoś pokrzywdzenia doznanego niegdyś przy działach majątkowych przez linią Łubieńskich z której pochodził Feliks Łubieński, od linii z której pochodził starosta lelowski, niezależnie od posagu danego córce, darowała przyszłemu zięciowi swojemu wieś Kazimierzę Wielką w proszowskiem. Z tego małżeństwa był jeden syn Kaźmierz. Ale się potem małżeństwo to rozeszło, i Franciszek Łubieński ożenił się w r. 1810 z Pauliną Potocką, córką Seweryna Potockiego, urodzoną z Sapieżanki, i miał z nią także jednego syna, Seweryna. Franciszek Łubieński był zbyt młodym, ażeby za Rzeczypo-

spolitej, lub za pruskich czasów mógł już do życia publicznego należeć. Dopiero w roku 1806 przy formowaniu się pułku polskiego gwardyi Napoleona, później pułkiem Chevauxléger'ów zwanego, zaciągnął się do wojska, odbył kampanią pruską i hiszpańską. Dosłużył się rangi kapitana i orderów. Był potem deputowanym na sejm 1812 roku, i członkiem rady generalnej konfederacyi narodowej na tym sejmie zawiązanej. Potem wrócił do życia prywatnego, i umarł w 1825, to jest stosunkowo do wszystkich swoich braci, bardzo młodo. Odznaczał się niezwykłą słodyczą charakteru, wesołością humoru i nieustraszoną na polu bitwy odwagą, którą po nim odziedziczył i za naszych już czasów świecił, syn jego, pułkownik Krakusów Kazimierz Łubieński.

Tomasz Łubieński drugi syn Feliksa, urodzony w Szczytnikach 29 Grudnia 1784 r., nauki odbywał w Wiedniu, i pracował potem w interesach stryja swego Prota Potockiego, który bardzo wiele młodzieży polskiej zatrudniał i wielu na bogatych panów wyprowadził. Bo też Prot Potocki był może największym z przedsiębierców, jakich Polska miała. On to Odessę, biedną wioskę rybacką, wyniósł do znaczenia ważnego portu w handlu międzynarodowym. On pierwszy po

kilku wiekach tureckiego panowania nad morzem Czarnem, wałki z pszenicą z Podola na to morze posyłał. Ośmdziesiąt jego własnych okrętów po morzach pływało. On prowiantował armię rosyjską w wojnie, która panowanie rosyjskie w południowych guberniach ostatecznie ustaliła. Odmowa potem zapłaty należytości za te tak znaczne dostawy, stała się powodem jego bankructwa.

Ale wróćmy do Tomasza Łubieńskiego. W roku 1805 ożenił się z Konstancyą Ossolińską, córką Józefa hr. Ossolińskiego kasztelana podlaskiego, i Maryi Zaleskiej. Za nią dostał dobra Rejowiec w Lubelskiem. W roku 1806 wstąpił do pułku gwardyi Napoleona Chevaux-Legerów. W roku 1807 w kampanii pruskiej zyskał szlify oficerskie i pierwszą dekoracyą. Odbył następnie kampanię hiszpańską. On to komenderował szwadronem, który zdobył wąwóz pod Somosierą. Franciszek Łubieński należał do tej szarży jako oficer podkomendny Tomasza. Po tej kampanii miał sobie powierzoną formacyę w Sedan 2-go nadwiślańskiego pułku ułanów polskich armii francuskiej, później 8-mym pułkiem Chevaux-Legerów nazwanego. On pierwszy w armii francuzkiej zaprowadził w swoim pułku komitet gospodarski złożony z oficerów, dla zarządzania umundurowaniem, uprowiantowaniem i furażowaniem

swojego pułku. Odbył potem kampanię roku 1812 i 1813. Brał udział w bitwach pod Połockiem, Berezyną, Dreznem, Kulmem, Lipskiem i Hanau. Po abdykacyi cesarza Napoleona otrzymał w r. 1814 dymisyę z wojska francuskiego, już jako jenerał, i pojechał do Wiednia, zbyt go bowiem żywo obchodziły losy kraju, które się tam na kongresie ważyły, ażeby się o nich dopiero ze spóźnionych i niedokładnych nowin gazeciarskich dowiadywać. Po utworzeniu Królestwa Polskiego, wstąpił się do formującego się wojska. Miał sobie polecone sprawdzenie i zlikwidowanie praw do dotacyj i pensyi przywiązanych do orderu Legii honorowej wszystkich swoich dawnych towarzyszów broni. Ale już w roku 1816 podał się do dymisyi; odmówił także proponowanego mu urzędu Prezesa komisyi wojewódzkiej Lubelskiej, i osiadł na wsi. W roku 1822 wszedł z wyboru współobywateli do Rady Wojewodzkiej, a w r. 1825 wybrany został posłem na Sejm. Tam znowu o nim mówić będę.

Piotr Łubieński, urodzony w Szczytnikach 31 Stycznia 1786 roku, skończywszy nauki w Wiedniu, pracował także u stryja swojego Prota Potockiego. W roku 1806 wybrany został przez obywateli powiatu Sochaczewskiego, Komisarzem Cywilno Wojskowym. W roku 1807 miano-

wany został członkiem Izby administracyjnej czyli Radcą Prefektury warszawskiej, ale tegoż roku wstąpił do wojska. Odkomenderowany do zorganizowania Gwardyi narodowej w Warszawie, mianowany został jej komendantem. W r. 1808, został w stopniu podpułkownika szefem sztabu jenerała Kosińskiego. W r. 1809 mianowany został komendantem Miasta Warszawy. Wybrany potem posłem Sochaczewskim na Sejm 1812 roku, złożył mandat, dla odstąpienia go księciu Jenerałowi Ziem Podolskich, który wszedł do Sejmu dla objęcia Marszałkowstwa Konfederacyi narodowej. Pozostał przeto Piotr Łubieński w służbie wojskowej. Odbył kampanią 1812 roku. W r. 1813 był szefem sztabu w Modlinie, w czasie kiedy ta twierdza obleganą była. Szefem sztabu wojska oblężniczego był jednocześnie pułkownik Paskiewicz, późniejszy Namiestnik w Królestwie. W roku 1816 wyszedł ze służby wojskowej w randze pułkownika, ozdobiony wstęgą S-go Stanisława, orderem oficerskim Legii honorowej, i krzyżem komandorskim Virtuti Militari. Osiadł wtenczas na wsi, w Golach, powiecie błońskim, w majątku który wziął za żoną, Barbarą Szymanowską, starościanką wyszogrodzką, urodzoną ze Swidzińskiej. I znowu w r. 1826 powołany został przez wybór współobywateli, na Prezesa Dyrekcyi szczegóło-

wej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Później się jeszcze z nim spotkamy.

Jan Łubieński urodzony także w Szczytnikach d. 27 Grudnia 1786, wychowany w domu, dopomagał najprzód ojcu swojemu w gospodarowaniu w Guzowie. Ożeniwszy się następnie z Anną Klicką córką Stanisława Klickiego cześnika rożańskiego z Szymanowskiej, i po oddaniu Guzowa przez Ministra Łubieńskiego innym jego dzieciom, dopomagał swojemu teściowi w zarządzie bardzo znacznej jego fortuny. W roku 1812 jednak wszedł do Pospolitego Ruszenia, i obwołany został Komendantem Województwa Mazowieckiego, co mu nadawało rangę jeneralską. Odkomenderowany został do obrony twierdzy Kołobrzega. Z rozwiązaniem Pospolitego Ruszenia wrócił do życia prywatnego.

Henryk Łubieński urodził się d. 11 Lipca 1793 r. w Pradze w Czechach, dokąd jego matka musiała się schronić, w czasie bowiem zajmowania kraju przez Prusaków, na czele szlachty okolicznej, wypędziła ich z Sieradza, co naturalnie nie przeszkodziło zaboru. Nauki pobierał w domu rodzicielskim. Potem uczył się prawa w założonej przez jego ojca szkole, i z powodu nadzwyczajnej pamięci był przez swoich kolegów nazwany „kodeksikiem“. Kończył nauki w Paryżu.

Jeszcze w szkole prawa będąc, służył w Ministerstwie Sprawiedliwości, i w czasie cofnięcia się Rządu do Tykocina, wysłany był z depeszami do króla Saskiego do Drezna, dokąd szczęśliwie, przemykając się przez okolice wojskami nieprzyjacielskiemi zajęte, dojechał. W roku 1813 towarzyszył ojcu swojemu w podróży jego do Drezna i Paryża. Wielki admirator Cesarza Napoleona, starał się dotrzeć jak najbliżej do jego osoby, gdy tenże w czasie bitwy pod Droznem przez kilka godzin stał konno na moście, i ztamtąd ruchami wojsk kierował; a gdy na most zajęty wojskami dostać się nie mógł, doszedł aż do Cesarza, czepiając się zewnętrznie baryer mostowych. Potem w Paryżu, potrafił dostać się na tajne posiedzenie Senatu, na którem zdecydowaną została detronizacya Napoleona. Po wzięciu Paryża, będąc obecnym temu, jak zrzucano statuę Napoleona z kolumny Wandomskiej, kupił na razie tę statuę od ludu, który się nad nią chciał pastwić. Te szczegóły opowiadam, ażeby dać poznać przedsiębierczość i odwagę tego człowieka. Po pacyfikacyi mieszkał w Warszawie, i był w salonach warszawskich jednym z najświetniejszych młodych ludzi; co mu nie przeszkadzało wysługiwać się hrabinie Ordynatowej Zamojskiej, przy zakładaniu przez nią Warszawskiego Towarzystwa Do-

broczynności. W roku 1818 Henryk Łubieński ożenił się z panną Potocką, córką Jana hr. Potockiego z jego drugiej żony Konstancyi, córki Szczęsnego Potockiego z Mniszchównej. Pierwszą żoną Jana hr. Potockiego była Księżniczka Lubomirska, matka Artura i Alfreda hrabiów Potockich. — Za posag żony kupił Henryk Łubieński wieś Kazimierzę wielką w Proszowskiem, od brata swojego Franciszka. Tam osiadł, i zabrał się z zapałem do gospodarstwa, kierując się radami najsłynniejszych natenczas agronomów w Europie, Blocka i Thaera, z którymi korespondencyę bardzo ożywioną utrzymywał. Jeżeli się nie mylę, on pierwszy w Królestwie Polskiem wprowadził zasiewy na wielką skalę koniczyny i uprawę roślin okopowych w porządku płodozmianu. W roku 1822 wybrany został członkiem Rady Wojewódzkiej, a w r. 1825 posłem na Sejm. Tam o nim mówić będę.

Tadeusz Łubieński urodził się 19 Października 1794 w Żelechowie, w karczmie, w której matka jego na nocleg się tylko zatrzymała, uchodząc z domu przed wojskami nieprzyjacielskiemi. Imię Tadeusz nadane mu było dla przyjaciela osobistego jego ojca, Kościuszki, na którego wszystkie oczy, a jeszcze bardziej wszystkie serca były zwrócone. Życie czynne rozpoczął od za-

wodu wojskowego. Już w r. 1809 był podporucznikiem w Artyleryi Księstwa Warszawskiego. Pomimo to, w r. 1810 wszedł jako prosty żołnierz, do pułku Chevaux-Legerów, formowanego przez jego brata Tomasza. Odbył kampanią 1812 i 1813 roku. Awansowany na porucznika, i ozdobiony krzyżem legii honorowej, otrzymał dymisyą w r. 1814. W roku 1821 wszedł do Seminaryum w Kielcach, i pierwsze święcenia przyjął z rąk Księdza Biskupa Woronicza w Zagości. Dla zakończenia nauk teologicznych udał się do Rzymu, do Collegium Germanicum i dostąpił Doktoratu. Wyświęcony przez Ojca Świętego Leona XII i mianowany Prałatem domowym Jego Świątobliwości, wrócił do Krakowa. Tu mianowany został najprzód audytorem konsystorza, następnie Kanonikiem Krakowskim. Po przeniesieniu się Biskupa Woronicza na Arcybiskupstwo Warszawskie, i po przeprowadzeniu się jego Ojca z Krakowa do Guzowa, Ksiądz Prałat Łubieński, bo go tak nazywano, został proboszczem w Wiskitkach, w dobrach Guzowskich, i Członkiem Rady do Spraw Duchownych przy komisyi Rządowej Spraw Wewnętrznych. Na tem stanowisku zastała go rewolucya 1830 roku.

Józef Łubieński, najmłodszy z synów Feliksa Łubieńskiego urodził się 16 Października 1796 r.

w Zagości. Nauki odbywał w Liceum Warszawskiem, następnie w Szkole Artyleryi, w Uniwersytecie Krakowskim, i w Akademii Górniczej we Freibergu. W roku 1823 ożenił się z Józefą Pruską, córką Jana Pruskiego byłego Regimentarza Konfederacyi Barskiej, i posła na Sejm konstytucyjny, żonatego ze Szczaniecką. Objął za żoną znaczne dobra w Wielkiej Polsce. Pierwszy w całym Księstwie Poznańskiem uporządkował u siebie stosunki włościańskie. Był potem rozjemcą bardzo wielu nieporozumień z regulacyi tych stosunków u innych obywateli tej prowincyi wynikłych. Należał do organizacyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, czyli Landszafty Poznańskiej. Był przez czas niejaki jej Prezesem. Posłował na sejmach prowincyonalnych. Będę o nim później jeszcze mówił.

Nie pisząc monografii rodziny Łubieńskich, nic o córkach Feliksa Łubieńskiego pisać nie będę. Niepodobna jednak nie wymienić ich nazwisk. Nienajmniejszą bowiem ozdobą tej rodziny były. A było ich trzy. Marya wydana za Maksymiliana Skarzyńskiego, Paula małżonka Józefa Morawskiego, i Róża za Ludwikiem Sobańskim.

Słówko jeszcze o interesach majątkowych tych braci Łubieńskich. Już wyżej mówiłem, że ojciec ich oddał Guzowszczyznę synom swoim Fran-

ciszkowi i Piotrowi, i córce Skarzyńskiej, a Pałac w Warszawie i Jurydykę Bielino synowi Henrykowi, naznaczając im spłaty dla innych z rodzeństwa. Przez cały czas Księstwa Warszawskiego nikt żadnego przekazu nie zapłacił. Ten co płacił procenta uchodził wtenczas za bardzo już rzetelnego. Po pacyfikacyi Europy, ceny wszystkiego, to jest produktów rolnych i dóbr ziemskich, tak pospadały, że Franciszek i Piotr Łubieńscy oświadczyli rodzeństwu, iż nie są w stanie tak wielkich ciężarów ponieść. Wdał się w to, nie najstarszy wiekiem, ale najstarszy powagą i w sprawie tej zupełnie bezinteresowny, jako zupełnie wyposażony, Jenerał Tomasz Łubieński. Franciszek, Piotr i Henryk Łubieńscy zrzekli się własności Guzowa. Guzów stał się własnością całej nie wyposażonej części rodziny. Henryk Łubieński nie był pierwiastkowo współwłaścicielem Guzowa, ale jak siostra jego Skarzyńska musiała opuścić Strzemieszyce w Księstwie Siewierskiem, a miała dużo długów, Henryk Łubieński, dla okupienia jej spokojności, i postawienia jej w możności poświęcenia się wyłącznie pielęgnowaniu ojca i wychowaniu dzieci, przejął wszystkie jej activa i passiwa na siebie, za pewną umówioną sumę, i zobowiązał się oczyścić z dłu-

gów majątek dziedziczny jej męża Miłobędzyń pod Sierpcem.

Wszyscy nowi współwłaściciele Guzowa uprosili brata swego Jana Łubieńskiego, już osobiście nieinteresowanego, jako także wyposażonego, ażeby się podjął administracyi tego majątku. Pan Jan gospodarował starannie, przeprowadził separat gruntów włościańskich, postawił wiele budynków gospodarskich, płacił procenta od sum popruskich, ale nikomu z interesowanych nic płacić nie mógł. Były to wprawdzie czasy w których na zboże żadnego zupełnie pokupu nie było. Po dziesięcioletniem wyczekiwaniu, sprzykrzył się wszystkim ten stan rzeczy. Ztąd kwasy i żale. Podział dóbr Guzowskich był niemożliwy, nie tyle z powodów gospodarskich, ile z powodu obciążenia całości hypoteki znacznymi jeszcze długami popruskimi. Nikt z interesowanych nie był w stanie przejąć na siebie całego tego interesu. Godząc stosunki familijne, Henryk Łubieński nabył te dobra w r. 1827 od całej rodziny. W szacunku oddał Kazimierzę Wielką Kazimierzowi Łubieńskiemu, synowi nieżyjącego już Franciszka, a reszcie rodziny oddał Pałac w Warszawie, niełatwy do sprzedania ani do podzielenia, ale dający dochód pewniejszy i łatwiejszy do zrealizowania, od intraty z dóbr ziemskich. Zamiana

ta była dla Henryka Łubieńskiego wielkiem poświęceniem, bo Pałac dawał mu intratę pewną, na Pałacu ani na Kazimierzy długów nie miał, w Kazimierzy spędził pierwsze szczęśliwe lata pożycia małżeńskiego, pozawiązywał tam liczne i bardzo przyjemne stosunki sąsiedzkie, i zyskał już wzięcie w obywatelstwie tamtejszej okolicy. To też ojciec jego, wynagradzając mu to poświęcenie, przeniósł się w r. 1828 na resztę dni swoich do Guzowa.

Założenie Towarzystwa kredytowego ziemskiego i Banku polskiego.

Rok 1825 bardzo był ważnym w historyi rozwoju ekonomicznego Królestwa Polskiego. Na sejm w tym roku zebrany, książe Lubecki, minister skarbu, wniósł projekt prawa o Towarzystwie kredytowem ziemskiem, którego wzorem była „Landschaft“, założona w r. 1772 w Szląsku, a do którego materyały przygotowawcze zebrane były jeszcze za Księstwa Warszawskiego, staraniem ministra sprawiedliwości Feliksa Łubieńskiego. Na tym sejmie posłowali Tomasz i Henryk Łubieńscy. Oba przyjmowali żywy udział w dyskusyi tego prawa. Po zatwierdzeniu go, oba wybrani zostali na Radców Dyrekcyi głównej. Henryk Łubieński opracował całą organizacyę wewnętrzną władz towarzystwa, i manipulacyę rachunkową, które od tego czasu żadnej nie uległy zmianie. Tomasz jeździł do wszystkich miast wojewódzkich, i wprowadzał tę organizacyę i tę

manipulacyę w Dyrekcyach szczegółowych. W uznaniu tych zasług Tomasz Łubieński mianowany został kasztelanem na następnym sejmie koronacyjnym. Piotr Łubieński wybrany został, jak to już wyżej mówiłem, prezesem Dyrekcyi szczegółowej województwa Mazowieckiego i pozostał na tem urzędowaniu, bez przerwy, pomimo wyborów powtarzających się co dwa lata, przez lat 36. Jednego tylko prezesa Różyckiego w Kielcach, wytrwałość, była jeszcze większa. Henryka Łubieńskiego spotkał zaszczyt innego rodzaju.

Zaprowadzenie Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem, interesowało do najwyższego stopnia kapitalistów pruskich. W czasie bowiem posiadania tego kraju przez Prusy, rząd pruski, który od czasu Wielkiego Kurfürsta tak był zorganizowany, że dysponował bardzo znacznymi, chociaż nie swoimi kapitałami, skierował ku dawnym prowincyom polskim, czyli ku Prusom południowym, lokowanie kapitałów wszystkich instytucyj pod jego wpływem będących: kasy wdów, kasy sierot, depozytów sądowych i t. p., za których przykładem i kapitaliści prywatni w tym kraju kapitały swoje lokowali. Nigdy w Polsce kredyt nie był tak łatwy, ani tak tani. Korzystali też z niego właściciele dóbr ziemskich, i to nie zawsze roztropnie. Aż w roku

1806, znowu za wskazówką rządu pruskiego, wszystkie te kapitały zostały wypowiedziane. W roku 1807 miało nastąpić ogólne zsubhastowanie kraju, w celach germanizacyjnych. Wykonaniu tego projektu przeszkodziły świetne i niesłychane tryumfy Cesarza Napoleona, który z prowincyi Prus południowych utworzył Księstwo Warszawskie, a kapitały hypoteczne wszystkich instytucyj pruskich w tym kraju skonfiskował. Kapitały te, jak wiadomo, przeszły na mocy konwencyi podpisanej w r. 1809 w Bajonie, na własność rządu Księstwa Warszawskiego, który miał ich walutę spłacić ratami Francyi. Rząd Księstwa Warszawskiego zamierzał założyć Towarzystwo kredytowe, owcześnie systemem kredytowym zwane, w celu zebrania funduszów potrzebnych na zapłacenie tych rat Francyi, bez zniszczenia właścicieli ziemskich bezskutecznemi zresztą egzekucyami. Wykonaniu tego planu przeszkodziła wojna 1812 roku. Po roku 1815, kapitały te wróciły do ich pierwiastkowych właścicieli, różnych instytucyj pruskich. Te znowu likwidując swoje interesa, przekazywały je licznym osobom prywatnym, w bardzo nawet drobnych czasem kwotach. Po skończeniu wojen francuzkich nastały lata niesłychanie ciężkie dla rolnictwa. Spłacać tych długów nie było możności. Do

windykacyj, wierzyciele bardzo niechętnie przystępowali, bo dla windykacyj drobnych wierzytelności niepodobna było przedsiębrać kosztownych i zmudnych procedur subhastacyjnych i klasyfikacyjnych, utrudnionych jeszcze postanowieniami księcia Namiestnika i życzliwością sądów dla dłużników. Szczęściem dla wierzycieli, minister Lubecki, potrzebując pieniędzy dla zlikwidowania różnych ciężarów krajowych, pochodzących z tych czasów wojennych, postanowił skorzystać z kredytu hypotecznego, dla jakiego obszerne dobra narodowe mogły przedstawić bezpieczeństwo, i przeprowadził w r. 1825 prawo sejmowe o Towarzystwie kredytowem ziemskiem.

Prawo to było istotnem dobrodziejstwem dla właścicieli dóbr, było także dla ich wierzycieli środkiem odebrania należnych im kapitałów, ale środkiem bardzo uciążliwym, bo listom zastawnym nadany został przywilej, konieczny może w danych okolicznościach, iż wierzyciele musieli je przyjmować po nominalnej ich wartości. Kapitaliści pruscy, mający na hypotekach w Królestwie swoje wierzytelności, przewidywali, że kurs listów zastawnych będzie bardzo niski, jeżeli nie będzie istniała jakaś potężna instytucya finansowa, mogąca te papiery lombardować, mogąca niemi handlować, i na podnoszenie ich kursu wpły-

wać. Postanowili przeto założyć w Warszawie silny Bank akcyjny. Interesa tych kapitalistów reprezentował moralnie w Warszawie Dr. Behrends, niemiec, osiadły w Warszawie jeszcze za pruskich czasów, człowiek zamożny, właściciel domu przy ulicy Elektoralnej teraz N. 3 oznaczonego, i kapitalista. Ten w czasie dyskusyi prawa o Towarzystwie kredytowem bardzo regularnie na sesye sejmowe przychodził, i w ogóle za biegiem tej sprawy śledził. Otóż razu jednego przyszedł do Henryka Łubieńskiego, już Radcy Dyrekcyi głównej Towarzystwa kredytowego, powiedział mu o zamiarze korespondentów swoich założenia takiego Banku w Warszawie, i zaproszenia na dyrektora tego Banku jego, Henryka Łubieńskiego, który zwrócił na siebie ich uwagę, dyskusyą prawa o Towarzystwie na sejmie, i pracą swoją w Dyrekcyi głównej, zapytując go, czy się tej dyrekcyi podejmie. Henryk Łubieński, dziękując za okazane mu zaufanie, odpowiedział, że tradycyą jego rodziny jest przedewszystkiem służyć krajowi; że przeto o tyle tylko proponowanej mu dyrekcyi będzie się mógł podjąć, o ile się to będzie zgadzało z wolą i widokami rządu. Za zgodą też tego Dra Behendsa, zdał sprawę z tej rozmowy księciu Lubeckiemu. Ale książe minister nie pozwolił mu przyjąć propozycyi kapita-

listów niemieckich, mówiąc, że ma sam zamiar założenia Banku rządowego, i powołania jego, Henryka Łubieńskiego, do składu jego dyrekcyi. Czy taki zamiar istniał już w myśli księcia Lubeckiego, czyli też powstał dopiero w skutek tej rozmowy z Henrykiem Łubieńskim, nie wiem. Nie napotkałem jednak nigdzie śladu prac przygotowawczych w tym kierunku, poprzedzających tę rozmowę. a przeciwnie zaraz po tem, kwestya założenia Banku rządowego poddaną została studyom.

Nowe zupełnie pomysły rzadko się na tej ziemi zjawiają. Każdy, mający przed sobą jakie zadanie, ogląda się zwykle, jak sobie drudzy w podobnych radzili potrzebach; i dobrze robi, bo nic niema niebezpieczniejszego od nowych wynalazków, ani kosztowniejszego od prób. Dlatego też kiedy uznaną została potrzeba założenia Banku rządowego w Warszawie, szukano dla niego wzoru. Świetne w świecie finansowym zajmujące stanowiska, Bank angielski i Bank francuzki, nie były najprzód instytucyami rządowemi, i nie odpowiadały ówczesnemu rozwojowi naszego kraju. Instytucye finansowe założone w Cesarstwie rosyjskiem, miały zupełnie inny cel, i funkcyonowały w kraju o zupełnie odmiennym ustroju społecznym. Bank neapolitański nie był ani u nas,

ani w ogóle w świecie, dosyć znany. Polska, chociaż uboższa od Prus, bo całym szeregiem klęsk wyczerpana, pod względem ekonomicznym i społecznym jednak, najbardziej do Prus zbliżoną była. W Prusach przeto najwłaściwiej było szukać wzoru dla założyć się mającego Banku. A właśnie wtenczas rozwijała w Prusach silnie swoją działalność instytucya finansowa, zwana „See Handlung“, i to właśnie w takich kierunkach, jakie potrzebom Królestwa Polskiego najbardziej odpowiadać się zdawały. See Handlung był to Bank akcyjny, założony w Berlinie w r. 1772, z przywileju i przy pomocy rządu pruskiego, w celu rozwoju handlu zamorskiego Prus, i otwierania dróg dla kolonizacyi, o których, jak widać, już wtenczas w Prusach marzono. W tym kierunku jednak Bank ten oddał mało usług, aspiracye rządu pruskiego, były jeszcze przedwczesne. Potem nastały wojny francuskie. Wszystkie lokacye kapitałów, stały się ryzykowne. Wszystkie papiery giełdowe sprzedawane były po bardzo nizkich kursach. Dyrektor See-Handlungu, mianowany zawsze, stosownie do ustawy przez Rząd, mniemał, że nie może kapitałów bezczynnie w kasie leżących bezpieczniej lokować, jak skupując własne tego Banku akcye; i szczęśliwym wypadkiem, a także kierując się zasadami uczci-

wości, jaką słynęli wtenczas urzędnicy pruscy, wykupił je wszystkie. Towarzystwo akcyjne bez akcyonaryuszów, przestało legalnie istnieć. Aktywa jego stały się res nullius. Dyrektor złożył o tem sprawę Rządowi, który tą instytucyą owładnął, ale jej nie zwinął. Przeciwnie zużytkował jej kapitały, jej kredyt i jej organizacyę, ale już nie w kierunku pierwiastkowego jej przeznaczenia, przekonał się bowiem, że przed rozpościeraniem się na zewnątrz, potrzeba ażeby się kraj wewnętrznie zbogacił. Działalność See-Handlungu skierowaną została do przeprowadzania różnych operacyj finansowych dla Rządu; do wykonywania na rzecz Rządu różnych przedsięwzięć, użytek publiczny na celu mających, których jednak kierunek, z powodu ich natury, albo też niedostatecznego o ich naturze doświadczenia, a ztąd potrzeby większej swobody w działaniu, nie mógł być poddany zwykłym i koniecznym formom organizacyi biurokratycznej władz krajowych; i nakoniec do wspierania rozwoju przemysłu krajowego. W tych różnych kierunkach działając, See-Handlung w tej właśnie epoce o której mówimy, oprócz wielu usług oddanych Rządowi na giełdach, zbudował w Prusach na rachunek Rządu 125 mil dróg bitych, i zaczynał wpływać na rozwój przemysłu fabrycznego w tym kraju, a to nie-

tylko przez otwieranie kredytów fabrykantom, ale także przez przyjmowanie udziałów w ich przedsiębierstwach, a nawet przez zakładanie i prowadzenie fabryk rozmaitych na swój własny rachunek. Skutkiem takiego działania See-Handlung doszedł w r. 1840 do posiadania 4 wielkich przedsiębierstw młynarskich, 2 fabryk machin, 1 fabryki papieru, 1 fabryki wyrobów chemicznych, 1 walcowni cynku, 1 fabryki stali, 2 sortyerni wełny, 1 prządzalni wełny czesanej, 1 fabryki wyrobów wełnianych, 2 sztucznych rozczalni lnu, 3 przędzalni lnu i 1 przędzalni bawełny. Ten rozwój przemysłu prowadzonego bardzo umiejętnie, skłonił fabrykantów pruskich do wniesienia w r. 1842 do Tronu skarg na zgubną konkurencyę robioną przez rząd przemysłowi prywatnemu. I dyrekcya See-Handlung musiała się z tych zarzutów usprawiedliwiać. W roku jednak 1826 i 1827 rzeczy nie były tak daleko zaszły, i przemysł prywatny w Prusach znajdował w See - Handlungu bardzo poważną opieką i pomoc.

Założenie w Królestwie Polskiem banku, któryby obsługiwał skarb Królestwa, któryby oddawał handlowi przysługi w rodzaju przysług oddawanych przez banki angielskie i francuskie, a przemysłowi przysługi podobne do oddawanych

w Prusach przez See-Handlung, stało się ideałem księcia Lubeckiego i wszystkich osób użytych przez niego do opracowania projektu ustawy Banku polskiego. Wysłał też książe Lubecki Henryka Łubieńskiego do Berlina, dla przypatrzenia się zbliska organizacyi i funkcyonowaniu See-Handlungu. Wykonanie powierzonego komisoryum znakomicie mu ułatwiła okoliczność, że ówczesnym dyrektorem See-Handlung był tajny radca i minister stanu Rother, niegdyś urzędnik sądowy pruski w Warszawie, którego minister Łubieński zatrzymał w służbie Księstwa Warszawskiego w ministerstwie sprawiedliwości, dla obsługi masy interesów sądowych odziedziczonych po władzach pruskich. Henryk Łubieński znał przeto Rothera oddawna osobiście. Przy organizacyi Banku polskiego, Henryk Łubieński wprowadził do niego manipulacyą bardzo zbliżoną do tej, jakiej się w See-Handlung przypatrzył, z tem udoskonaleniem po raz pierwszy w świecie handlowym pojawiającem się, że główne rachunki były w Banku polskim codziennie zamykane, że przeto bilans jego mógł być codziennie dokładnie wiadomy.

Bank Polski przed rewolucyą listopadową.

Bank Polski ustanowiony postanowieniem królewskiem z dnia 17/29 Stycznia 1828, rozpoczął swoje czynności dnia 6 Maja tegoż roku. W pierwszym składzie Dyrekcyi Banku, Prezes hrabia Ludwik Jelski zajął się specyalnie dozorem nad giełdą, która dopiero wtenczas w Warszawie otwartą została, i stosunkami Banku z przełożonym nad nim ministrem skarbu. Chodził też codzień osobiście na giełdę. A stosunki jego z ministrem ułatwiało mu najprzód to, że książe Lubecki musiał go znać od młodości, bo oba byli rodem z gubernii Mińskiej, i chociaż tego twierdzić nie śmiem, ale bym się dziwił, gdyby między nimi nie było jakiegoś stosunku powinowactwa. Oprócz tego, Jelski był przez długi czas urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy księciu Lubeckim, używanym przez niego specyalnie do redagowania; książę bowiem bardzo

świetny w dyskusyi ustnej, zbyt może wielki miał napływ myśli do głowy, i skutkiem tego był bardzo złym redaktorem. Jelski przeciwnie, miał do tego i to w kilku językach talent i wprawę. Wice-prezes Józef Lubowidzki, uczeń uniwersytetu Królewieckiego z najświetniejszych jego czasów, przeszedł najprzód jako urzędnik sądowy bardzo zaszczytną karyerę. Ta praca, przy znakomitej inteligencyi, wyrobiła u niego bardzo jasny pogląd na interesa, wielką dokładność w pracy i wielki spokój. Dowodem uznania, jakiego Lubowidzki używał u Rządu i w kraju, był wybór jego na Marszałka Izby poselskiej ostatniego przedrewolucyjnego sejmu koronacyjnego. Przy organizacyi Banku polskiego, Lubowidzki objął specyalny dozór nad rachunkowością, który aż do wyjścia swego z Banku zachował. Dyrektor Głuszyński, dawny urzędnik, formalista, objął nadzór nad kantorem i kasą. Dyrekcya połączonych natenczas wydziałów przemysłu i handlu powierzoną została Henrykowi Łubieńskiemu. Taki podział pracy był bardzo trafnie przez księcia Lubeckiego naznaczony. Usposobienia Jelskiego, Lubowidzkiego i Głuszyńskiego, uzdolniały ich właśnie do kierowania wydziałami, które objęli. Wydział zaś przemysłu i handlu, to jest wydział, w którym się nowe

interesa wyrabiały i obrabiały, nikomu nie mógł być właściwiej powierzony, jak Henrykowi Łubieńskiemu; nietylko bowiem w składzie dydyrekcyi Banku polskiego, ale może w całym kraju nikt nie miał tyle inicyatywy co on. A jeżeli bez inicyatywy ze strony dyrekcyi, bank każdy może oddawać publiczności przysługi, których ta publiczność już wymaga, to bez takiej incyatywy, nie jest zdolnym do wytwarzania w kraju interesów jeszcze nie istniejących oraz do skierowania kraju na nowe tory. A ministrowi Lubeckiemu chodziło właśnie o nadanie krajowi takiego impulsu, bo stan ekonomiczny kraju był bardzo opłakany.

Stosunek, poprzednio zupełnie dla stron obu nieznośny, między właścicielami dóbr ziemskich nie mogących długów swoich spłacać, a ich wierzycielami hipotecznymi nie mogącymi przystępować do ich egzekwowania, zlikwidowanym do pewnego stopnia został przez Towarzystwo kredytowe ziemskie, ale zlikwidowanym z wielką dla wierzyciela stratą. Zmuszeni byli bowiem przyjmować w zapłacie swoich wierzytelności listy zastawne po ich nominalnej cenie, kiedy kurs tych papierów w pierwszych chwilach mało co 60 za sto przewyższał. I sprawiedliwość i sam interes rządu, posiadacza znacznego kapitału w listach

zastawnych, wymagały, ażeby rząd dołożył wszelkich usiłowań dla podniesienia ich kursu. To też książe Lubecki jeszcze przed założeniem Banku polskiego, skupował przez swoich agentów listy zastawne w Warszawie, posyłał je do Berlina, tam także przez swoich agentów, urzędników, to sprzedając je, to je znowu kupując, starał się o podniesienie ich kursu. Jakoteż z 60 za sto w roku 1826, podniosły się w roku 1828 blisko do 80 za sto. Ale takie operacye, dokonywane przez urzędników skarbowych, funduszami skarbowymi i na rachunek skarbu, nie zgadzały się ze zwykłym i koniecznym porządkiem kas skarbowych. Po założeniu Banku Polskiego, jemu to zadanie przekazane zostało. Bank Polski nie mając w początkach swego istnienia dostatecznego zajęcia dla kapitałów pochodzących z jego uposażenia i z przelanych do jego kasy depozytów sądowych, sum instytutowych i remanentów kas rządowych, operował niemi w handlu papierami publicznemi wogóle, a specyalnie listami zastawnemi towarzystwa kredytowego ziemskiego. Utrzymywał w interesie tych operacyj w Berlinie urzędnika swojego Adama Bagniewskiego, późniejszego Dyrektora głównego komisyi skarbu. Wskutek tych starań Banku, kurs listów zastawnych do roku 1830 do-

szedł już 90 za sto. Bank na tem nie mało zarobił i przysługę wielką oddał tak posiadaczom tych papierów przez podniesienie ich kursu, jak również przemysłowi i handlowi krajowemu, przez obniżenie stopy procentowej, jaką można było przy posiadaniu papierów publicznych osiągnąć, bez pracy i bez ryzyka.

Dla skierowania do listów zastawnych liczniejszych nabywców i dla obznajomienia z niemi najdrobniejszych nawet kapitalistów, a zarazem dla zachęcania najszerszego ogółu do tworzenia kapitałów przez oszczędność, z inicyatywy Henryka Łubieńskiego i pod opieką Banku Polskiego założone zostało w Warszawie Towarzystwo Oszczędności, które przyjmowało wkłady po dziesięć złotych polskich i wydawało na takie sumy akcye. Pieniądze tak zebrane używane były wyłącznie na zakupywanie listów zastawnych. Te listy składane były do depozytu Banku Polskiego. Akcyonaryuszom wolno było każdego czasu wycofywać swoje wkłady, które Towarzystwo im zwracało, z uwzględnieniem upłynionych kuponów, jak również różnicy kursu listów zastawnych w dacie wkładu i w dacie wycofania ich. W końcu roku 1830 już dosyć znaczny kapitał był przez to Towarzystwo Oszczędności zebrany. W ciągu roku 1831 jednak, pod wpływem potrzeb krajowych,

które na kieszeń najbiedniejszych nawet ludzi oddziaływały, większa część wkładek została wycofaną. Pewien czas upłynął, zanim się drobne oszczędności znowu formować zaczęły, te jednak opuściły taki kierunek lokacyi. Od rewolucyi też, pomimo ogłoszeń, ani jedno zebranie niewiadomych z pobytu akcyonaryuszów nie przyszło do skutku. Mandat pierwotnej Dyrekcyi upadł przez sam wpływ czasu. A po ustanowieniu w r. 1844 Kasy Oszczędności, pod opieką Dyrekcyi ubezpieczeń, pan Piotr Łubieński, dawny prezes Towarzystwa Oszczędności, wyjednał u rady administracyjnej postanowienie, upoważniające go do przelania depozytów tegoż towarzystwa, znajdujących się w Banku Polskim, do depozytu sądowego tegoż Banku i do złożenia tamże, dla wiadomości stron interesowanych, rachunków tego Towarzystwa.

Do obniżenia stopy procentowej w kraju, przyczyniła się także emisya pożyczki rządowej czterdziesto-dwu milionowej, dokonanej za pośrednictwem domu bankierskiego S. A. Fraenkel z Warszawy. Bank Polski jednak operacyą tej emisyi kierował i silnie jej w pomoc przychodził. Ta emisya zyskała dla giełdy warszawskiej pewne stanowisko w świecie handlowym europejskim.

Samo jednak obniżenie stopy procentowej przez zmobilizowanie tylu kapitałów w formie nizkoprocentowych papierów, nie stanowiłoby jeszcze dostatecznego poparcia rozwoju handlu w Królestwie Polskiem. Handel bez kredytu w ciasnych tylko ramach obracać się może. Każdy handlujący musi ścieśniać udzielane przy sprzedaży towarów kredyta, jeżeli nie jest pewnym, że tego dnia gdy sam pieniędzy potrzebować będzie, zeskontowane mu będą i to tanio, weksle z tej operacyi wynikające. Przed założeniem Banku Polskiego nie było nikogo w Warszawie, mogącego dużo i tanio weksli eskontować. Takim ostatecznym eskonterem może być rzeczywiście tylko instytucya, korzystająca z kredytu bezprocentowego, przez emisye biletów bankowych, a przynajmniej z kredytu bardzo taniego depozytów. Przy braku takiej instytucyi, nie mogła się wykształcić klasa eskonterów pośrednich, kontentujących się procentem eskontowym, umiarkowanym, jako wynagrodzenie samego tylko ryzyka przy takim interesie nieuniknionego, nie zaś wynagrodzeniem użycia tylko chwilowego, kapitału. W braku takich eskonterów, kupcy musieli operować albo tylko własnemi funduszami, albo posiłkować się bardzo drogim kredytem. W obu wypadkach nie mogli się zadowalniać umiarkowanemi handlo-

wymi zyskami. To znowu deprymowało ceny produktów i zwalniało rozwój produkcyi. Bank Polski miał temu wszystkiemu zaradzić, ale zadanie jego nie było łatwe. Bank francuzki w owym czasie na one miliony franków które eskontował, przyjmował do eskonty zaledwie dwadzieścia podpisów. Każdy z tych domów zajmujących się pośredniczeniem w eskoncie między publicznością a bankiem, miał znowu swoję klientelę podrzędniejszych eskonterów i tak dalej. Dozór handlujących nad operacyami handlowemi był takim sposobem hierarchicznie uorganizowany. U nas takich eskonterów nie było i być nie mogło. Temu brakowi miały zaradzić wykazy firm zarejestrowanych i opinie radców handlowych, w przedmiocie kredytu, na jaki każda firma miała zasługiwać. Przepis ten jednak okazał się niepraktycznym. Radcy handlowi zostali mianowani, ale oni nie byli w stanie oznaczenia wysokości kredytów, na jakie firmy kupieckie zasługiwać mogły. Kontrolę nad handlującymi i nad operacyami handlowemi musiał wykonywać sam Bank Polski. Poświęcił się temu specyalnie Henryk Łubieński, trzymając się tej zasady: że każdy weksel, pochodzący z rzeczywistego interesu handlowego, z rzeczywistego kupna i sprzedaży towaru, chociażby wystawca i indosant

nie byli zamożnemi, kwalifikuje się do eskonty; a przeciwnie, weksle podpisane przez bogate nawet osoby, ale wystawione tylko w celu zaciągnięcia pożyczki, nie powinny być do skupu przyjmowane. Badać nietylko stan majątkowy i charaktery osób bankowi weksle do skupu przedstawiających, ale także badać historyą że tak powiem powstania każdego wekslu zosobna, było zadaniem bardzo pracowitem, ale nie niewdzięcznem. Bo właśnie kierowanie się przy skupie weksli tą zasadą w latach 1828, 1829 i 1830, sprawiło, że pomimo przewrotów politycznych roku następnego, nie było w Warszawie ani w całem Królestwie Polskiem, ani jednego poważniejszego bankructwa, a i drobnych nie więcej jak zwykle. Znajomość zaś interesów i ludzi, do jakiej Henryk Łubieński przez tę pracę doszedł, postawiła go w możności wywierania następnie tak poważnego wpływu na rozwój przemysłu krajowego.

Przemysł był wtenczas bardzo jeszcze słabo rozwinięty w Polsce. Wystawa przemysłowa, zajmująca w ubiegłych latach cały plac Ujazdowski, w roku 1829 mieściła się cała w okrągłej sali giełdowej Banku polskiego. Zaledwie kilka fabryk sukna w Kaliszu, Opatówku i Tomaszowie, gdzie im dziedzice tych dóbr, Rado-

szewski i Ostrowski wielkie ułatwienia robili, były w silniejszych rękach. S. A. Fraenkel zamknął fabrykę sukna, którą posiadał w starej ludwisarni przy Gęsiej ulicy w Warszawie. Przędzalni bawełny ani jednej jeszcze w kraju nie było. Minister spraw wewnętrznych hr. Mostowski, rozporządzając dosyć znacznym nawet funduszem corocznie, z dochodów skarbowych, na podniesienie przemysłu krajowego przeznaczanym, sprowadzał z zagranicy i osiedlał w małych miasteczkach zachodniej części kraju tkaczów. Za jego staraniem powstało wtenczas miasto Łódź. Zresztą kilka fabryk powozów w Warszawie, mających nad najbardziej wtenczas modnemi powozami wiedeńskiemi wyższość silniejszej konstrukcyi, koniecznej przy złym stanie dróg naszych, i fabryki oparte na eksploatacyi lasów i na zużytkowywaniu pańszczyzny, jako to kilka hut szklannych, fabryka porcelany w Ćmielowie i huty żelazne, oto ówczesny cały przemysł Królestwa Polskiego. W dobrach rządowych, po biskupach Krakowskich, po kilku klasztorach zainkamerowanych i w dawnym starostwie Radoszyckiem, dziedzicznie prawie za dawnych czasów w rodzinie Małachowskich pozostającym, były różne kopalnie i huty metalurgiczne. Minister skarbu książe Lubecki zabierał się do dania im znakomitego roz-

woju i rozpoczął roboty, na które czerpał z Banku Polskiego fundusze. Na przemysł prywatny przed rewolucyą, Bank mało jeszcze miał wpływu, po części dlatego, że jeszcze nie było czasu dla rozwinięcia tej działalności, po części też dlatego, że dwaj Ministrowie książe Lubecki i hrabia Mostowski, oba rozumni, oba pracowici, oba najlepszemi dla kraju intencyami ożywieni, ale oba w działaniu samowładni, zanadto się jeszcze opiekowali przemysłem, jeden w dobrach rządowych, drugi prywatnym, ażeby Bankowi pod tym względem dosyć swobody działania pozostawić. Popieranie przemysłu krajowego natenczas, zasadzało się na szafowaniu funduszem na ten cel z dochodów skarbowych, do rozporządzenia Komisyi rządowej spraw wewnętrznych przeznaczonym. Ten stan rzeczy był bardzo podobnym do obecnego stanu rzeczy w Galicyi, gdzie Wydział krajowy i Sejm dyskutują, czy użyć kilka tysięcy guldenów dla dopomożenia jakiemuś drobnemu przedsiębiercy. Być może, że takie środki są w dzieciństwie rozwoju przemysłowego potrzebne, tak jak dziecko w braku piersi obficie mlekiem zaopatrzonych, potrzeba karmić z flaszeczki by życie ratować. Ale takimi środkami producya krajowa się nie rozwija.

Głównymi atoli producentami w Królestwie

byli rolnicy. Oni zbyt licznymi byli, ażeby nawet dla rozwoju przemysłu na rolnictwie opartego, od Komisyi rządowej spraw wewnętrznych mogli wsparcie jakieś, albo nawet poparcie otrzymywać. A jednak, bez pomocy trudno im się było obchodzić. Tak wtenczas jak i dzisiaj potrzebowali oni trzech rodzajów kredytu. Jednego na spłacenie uciążliwych długów hipotecznych, drugiego na nakłady gospodarskie, trzeciego na kapitał obrotowy. Pierwszej z tych potrzeb zaradziło do pewnego stopnia Towarzystwo kredytowe, i Bank tylko staraniem o podtrzymywanie kursu listów zastawnych mógł pod tym względem usługi oddawać, jakoż, jak już wyżej wspomniałem, czynił to. Drugiej z tych potrzeb Bank Polski starał się zaradzić, otwierając właścicielom dóbr, a nawet i dzierżawcom kredyta na kupno narzędzi i machin rolniczych, na sześcioletnie rozpłaty. Trzeci kredyt był może najpotrzebniejszy, bo jedynie dostarczanie go, mogło ziemian uchronić od zaciągania kosztownych małomiasteczkowych długów i od dokonywania uciążliwszych jeszcze sprzedaży produktów, przed ich wyprodukowaniem. Kierujący skupem weksli w Banku polskim Henryk Łubieński uznawał, że weksle przez rolników wystawiane w celu zabezpieczenia sobie kapitału obrotowego na żniwa, kopanie i tym podobne

potrzeby, powinnyby być wyjętymi z pod zasady, jakiej się trzymał przy skupie weksli handlowych. Ale ustawy krajowe nie dopuszczały do skupu przez Bank weksli wystawionych przez samych rolników. Pośrednictwo firm handlowych było konieczne. Kupcy jednak małomiasteczkowi w rzeczywistych i ciągłych stosunkach z rolnikami będący, nie byli wcale interesowanemi w dostarczaniu im taniego kredytu. Dla zaradzenia tej potrzebie, z inicyatywy Henryka Łubieńskiego. zawiązała się w Warszawie spółka bankierska pod firmą: „Bracia Łubieńscy i sp.“ Na jej czele stanął jenerał Tomasz Łubieński, spólnikami jego byli: hr. Jan Łubieński, hr. Jan Jezierski i hr. Edward Raczyński. Dom braci Łubieńskich i spółka dawał obywatelom ziemskim zaliczenia, brał od nich weksle, które reeskontował w Banku Polskim i zajmował się, o ile tego ci ziemianie żądali, sprzedażą komisową ich produktów. Programat ten, był podobny do programatu licznych, w 30 lat później powstałych w Królestwie polskiem Domów komisowo-rolniczych, z których żaden nie przetrzymał burzy 1863 roku. Operacye te domu Braci Łubieńskich i spółka, rozwijały się nawet dobrze aż do roku 1831. Straty na tej operacyi dom ten żadnej nie poniósł, bez kłopotów atoli czasem się nie obe-

szło, bo ze wszystkich obywateli z takiego kredytu korzystających, jeden tylko Dominik Krysiński, dziedzic dóbr Jeżewice, pilnował zawsze akuratnie terminów swoich weksli. Inni regulowali je, ale nie w terminie. Prawda że Krysiński był profesorem ekononomii politycznej. Po roku 1831 obywatele ziemscy tak ogólnie dostali się znowu w zależność małomiasteczkowych handlarzy, że kontynuacya tej operacyi przez dom Braci Łubieńskich i spółka stała się niemożliwą.

Drugiem zadaniem tego domu Braci Łubieńskich i spółka, miało być zastąpienie braku towarzystwa kredytowego ziemskiego dla prowincyj zachodnich cesarstwa, tak zwanego wówczas zabranego kraju. Dom Braci Łubieńskich i spółka miał wypuszczać obligacye procentowe i amortyzacyjne. Emisyj tych obligacyj podejmowały się domy Rotschildów w Londynie i Frankfurcie. Z funduszów ze sprzedaży tych obligacyj otrzymywanych, miały być udzielane pożyczki hipoteczne, a raczej jak je prawo tamtejszych prowincyj nazywało, pod zastaw majątków ziemskich. Interwencya domu Braci Łubieńskich i sp. w stosunku między wierzycielami a dłużnikami miała być zupełnie taka sama, jaką wykonywują wszystkie, różnej nazwy, w różnych krajach w 30 i 40 lat później powstałe Banki kredytowe ziem-

skie. Zpomiędzy obywateli ziemskich tamtejszych prowincyj, najsilniej projekt ten popierał książe Eustachy Sapieha, jeden z najbogatszych panów na Litwie. W nadziei prędkiego urzeczywistnienia tej operacyi, książe Sapieha potrzebując pieniędzy, bo któż u nas w Polsce pieniędzy nie potrzebuje, czerpał z kasy domu Braci Łubieńskich i spółka zaliczenia, które w końcu 1830 roku wynosiły z górą dwa miliony złotych polskich. Tymczasem przyszła rewolucya, książę Eustachy Sapieha został skompromitowany, emigrował, ogromny majątek jego został skonfikowany i dom Braci Łubieńskich i spółka dopiero po pięciu latach kosztownych i mozolnych starań, zdołał wywindykować od rządu rosyjskiego sumy księciu Eustachemu Sapieże pożyczone, bez procentu i naturalnie bez zwrotu kosztów.

Nie dosyć jednak było dopomagać rolnikom do zaopatrywania się w udoskonalone narzędzia i machiny rolnicze, i dostarczać im kapitału obrotowego; potrzeba było jeszcze myśleć o ułatwienie im zbytu ich produktów, i o uchronienie ich od wyzyskiwania ich przez kupców. Trzy tylko produkta rolne miały wtenczas odbyt: pszenica, wódka i wełna. Na inne zboże jak pszenica, oprócz Warszawy i kilku miast prowincyonalnych, ani trzeciej części ich teraźniejszej ludności nie

mających, żadnego zupełnie targu nie było. Bo ludność wiejska była cała zaopatrzona w potrzebne jej zboże i nabiał, rolą, kopiznami, przysiewkami lub ordynaryami. Na potrzeby zaś ubogiej małomiasteczkowej ludności żydowskiej, wystarczała produkcya mieszczan-rolników. Jak tedy nie było zapotrzebowania na naszę przenicę z Anglii, to jej literalnie na żadną cenę pozbyć nie można było. Wódki jeszcze od nas na Hamburg do Indyj nie wywożono, jedyny jej odbyt był na propinacye, a i tam odchodziła tylko o tyle, o ile się gotowy pieniądz za jakiś zarobek, między ludzi rozchodził. Najpewniejszy jednak dochód stanowiła wełna, bo Australia jeszcze konkurencyi nie czyniła. Wiedział o tem dobrze Fryderyk August Król Saski, Książe Warszawski, kiedy przysyłając z Saksonii stado owiec elektoralnych do Górzna i Krajna pod Kielcami, mówił że czyni krajowi temu najużyteczniejszy podarunek. Ale wełna miała także jednę niedogodność, tę mianowicie, że się strzyże w przeddzień najważniejszego dla każdego ziemianina terminu wypłat Sto-Jańskich. Póty przeto, póki nie można było inaczej z niej pieniędzy zrobić, jak przez sprzedaż, potrzeba ją było koniecznie sprzedawać, a sprzedawanie tej produkcyi z całego kraju w jednym terminie, obniżało jego cenę. Bank

polski starał się temu zaradzić, urządzając magazyn na wełnę i dając zaliczenia na złożony w nim towar, tak kupcom, jak i obywatelom ziemskim. Pierwszy taki magazyn założony był w opustoszałym kościele pojezuickim Najświętszej Panny Łaskawej, przy ulicy Święto-Jańskiej. Po rewolucyi dopiero i po ukończeniu teatrów na Marywilu, przeniesiono magazyn wełny do starego teatru na plac Krasińskich; a dopiero później do gmachu na ten cel przez Bank wystawionego przy ulicy Magazynowej.

Tak samo też Bank polski zamierzał już wtenczas, zrobić dla pszenicy to, co w pięćdziesiąt lat później zrobiło Towarzystwo kolei żelaznej Warszawsko - Terespolskiej i o czem teraz dopiero marzą we Lwowie. Zamierzał wznieść w Warszawie i na Pradze obszerne spichlerze i dawać zaliczenia na zsypywane w nich zboże. Wybór na ten cel Warszawy zdawał się dlatego pożądańszy od budowy spichlerzy na prowincyi, że zboże w Warszawie zgromadzone, nietylko na wywóz za granicę wyczekiwać by musiało, ale i konsumpcya miejscowa i zakładający się właśnie w Warszawie młyn parowy, stanowiłyby także dla niego drogi odbytu. Nie przystąpiono zaraz do budowy tych spichlerzy, bo dla wybrania miejsca na ich budowę wycze-

kiwano decyzyi rządu w przedmiocie budowy kanału spławnego z Serocka do Warszawy. W owym czasie daleko więcej pszenicy spławiano Bugiem i Narwią, aniżeli Wisłą powyżej Warszawy. Gdyby zboże nadbużańskie nie przychodziło do Warszawy, nie byłoby mogło korzystać ani z konjunktur handlowych Warszawskich, ani z zaliczek bankowych. Dlatego Henryk Łubieński namówił bogatego, a pochopnego do przedsiębrania wszystkiego, co krajowi pożyteczne być mogło, hrabiego Edwarda Raczyńskiego, do wybudowania swoim kosztem kanału, mającego łączyć Narew z Wisłą. Hrabia Raczyński nietylko gotów był to zrobić, ale miał zamiar nawet kanał ten krajowi darować. Sprowadzony do tej budowy z Holandyi inżynier Singels, wygotował już cały projekt, i projekt ten był przedstawiony rządowi do zatwierdzenia, kiedy wybuchła rewolucya listopadowa. Po rewolucyi hr. Raczyński już nie był powodowany taką samą sympatyą dla rządu porewolucyjnego, jak do poprzedniego, i zaniechał zamiaru budowy tego kanału. Bank chciał pomimoto budować w Warszawie spichrze, ale rząd z obawy, ażeby Warszawa, w razie jakiej nowej rewolucyi i następnego oblężenia, nie była w zbyt wielkie zapasy zboża zaopatrzona, nie pozwolił Bankowi tych spichlerzy

budować. W kilka lat później Steinkeller, nabywszy młyn parowy na Solcu, wyjednał sobie pozwolenie wybudowania przy nim spichlerzy, ale dozwolono mu to uczynić tylko pod warunkiem ażeby te mogły być na każde żądanie władz wojskowych we dwadzieścia cztery godziny zniesionymi. Natomiast rząd już po rewolucyi, kazał Bankowi wybudować bardzo kosztowny, a bardzo mało dla handlu pożyteczny spichlerz pod Modlinem. Spichlerze w celach handlowych urządzone zostały przez Bank tylko w Włocławku. Te oddawały usługi, ale o wiele mniejsze od spichlerzy, któreby były w Warszawie wzniesione.

Ten sam inżynier sprowadzony z Hollandyi dla budowy kanału łączyć mającego Narew z Wisłą, wypracował z polecenia Henryka Łubieńskiego, przy pomocy inżyniera polaka Wysockiego (który się później przy wielu robotach, a ostatecznie przy budowie Kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, użytecznie krajowi zasłużył), wypracował projekt uspławnienia rzeki Wisły, z Warszawy aż do granicy pruskiej. Bank chciał się wykonania robót i dostarczenia kapitału na nie potrzebnego podjąć. Rząd te plany rozpatrywał i negocyował z rządem pruskim o kontynuacyą przezeń tych robót na terytoryum pruskiem.

Dla ułatwienia spławów na tak poprawionem korycie Wisły, miano zamiar zaprowadzić statki parowe. Jeden statek parowy został już nawet sprowadzony, nie pamiętam przez kogo, czy przez Bank Polski, czyli też przez Piotra Steinkellera. Ale przyszła rewolucya. Zajęcie się tym projektem zostało zawieszone. Po rewolucyi, rząd pruski zawsze niechętny rozwojowi bogactwa naszego kraju, robił trudności w przyjęciu planów wspólnego działania. I Wisła jest jeszcze dotychczas jedną z najkapryśniejszych rzek, i najmniej pewnych dla spławu.

Kiedy mówię o projektach, których urzeczywistnieniu przeszkodziła rewolucya listopadowa, nie mogę także pominąć projektu zaopatrzenia miasta Warszawy w wodę. Potrzeba ta nie od dzisiaj uznawaną była. Już wtenczas myślano o jej zaspokojeniu, wprawdzie w inny sposób, aniżeli to dzisiaj czynią. Ten sam inżynier Singels, o którym dopiero co wspomniałem, robił z polecenia Banku potrzebne w tym przedmiocie studya. Zbadał mianowicie możność i koszta sprowadzenia do Warszawy wody z dwóch rzeczek: z Utraty z pod Pruszkowa, i z Jeziornej z pod Piaseczna. Sprowadzenie rzeki Utraty byłoby pod względem technicznym tańsze, ale było trudniejszem z powodu większej ilości

młynów tą wodą poruszanych poniżej Pruszkowa. Dla sprowadzenia rzeki Jeziornej potrzeba było zdezinteresować jednego tylko właściciela papierni w Jeziornej. Sprowadzenie jednej z tych rzek byłoby dostateczne dla zaspokojenia potrzeb ówczesnej ludności warszawskiej. Obecnie może by już obie sprowadzić wypadło. I kto wie czy Warszawa nie zrobi tego kiedyś, chociaż dzisiaj zupełnie się inne wodociągi budują. Woda z tych rzeczek przychodziłaby do Warszawy zupełnie czysta, filtracyi by prawie wcale nie potrzebowała, i przychodziłaby na najwyższe punkta miasta bez ogromnych kosztów pompowania jej z Wisły, które, kto wie czy nie są większe, od procentów od kapitału potrzebnego na sprowadzenie obu tych rzek do Warszawy. To też Bank przygotowywał się do wykonania tego projektu, i w tym celu naśladując tradycye See-Handlungu, polecił Piotrowi Łubieńskiemu kupić papiernię w Jeziornej. Piotr Łubieński kupił ją na swoje imię ale na rzecz Banku, i administrował nią nawet na rachunek Banku długie lata. Bank też zaraz wyrabiał w tej papierni papier dla wszystkich dykasteryj rządowych, a zwłaszcza papier na bilety bankowe, poprzednio z wielkim kosztem i trudnościami wielkiemi za granicą wyrabiany. Ale przyszła rewolucya. Warszawa

musiała ponieść koszta budowy cytadeli. O zaopatrywaniu miasta wodą myśleć nie można było; dopiero w 30 lat później się do tego wzięto, i po 55 latach jeszcze roboty nie są wykończone.

Nie wszystkie jednak ówczesne projekta Banku Polskiego, a raczej Henryka Łubieńskiego, (bo myśl żadna nie wychodzi z instytucyi, ale zawsze od pojedyńczego człowieka), pozostawiły ślady tylko w archiwach Banku Polskiego.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej nietylko nie zasypywały natenczas starej Europy swoją produkcyą pszenicy, ale przeciwnie, corocznie ekspedyowano z Anglii i Francyi bardzo wiele mąki pszennej do Ameryki, dla wyżywienia licznych jeszcze niewolników, zajętych wyłącznie produkcyą bawełny i cukru, których zapotrzebowanie szybko w Europie wzrastało; a młode te kraje, nietylko nie produkowały dostatecznej ilości zboża na zaopatrzenie tych potrzeb, ale nawet i młynów dosyć nie miały dla zmełcia go na mąkę. Zawiązało się też w Warszawie, głównie z inicyatywy Henryka Łubieńskiego, pierwsze w kraju Towarzystwo przemysłowe akcyjne, pod firmą „Towarzystwo Wyrobów Zbożowych“, i wybudowało do dziś dnia istniejący młyn parowy na Solcu. Młyn ten ukończonym został przed samą rewolucyą, i oddał wojsku

wielkie usługi, ułatwiając jego regularne prowiantowanie. Po skończonej wojnie, wrócono do pierwiastkowego zamiaru wyrobu mąki dla Ameryki północnej. Nie było kapitału obrotowego, bo w tej epoce niedoświadczenia przemysłowego, nie wiedziano jeszcze, że kapitał obrotowy jest najważniejszym czynnikiem każdego przemysłu. Kapitał obrotowy dostarczać i tym handlem zamorskim się zajmować miał Dom Braci Łubieńskich i Spół. Dla kierowania tym interesem, pod nieobecność naczelnika firmy Jenerała Łubieńskiego siedzącego w Petersburgu dla windykacyi sum księciu Eustachemu Sapieże pożyczonych, sprowadzono z Anglii człowieka, który od lat już kilku w tej gałęzi handlu, w swoim kraju, pracował. Ten specyalista, Georges Maier, bardziej z potrzebami i stosunkami amerykańskiemi obznajomiony, aniżeli z trudnościami, z jakiemi w naszym kraju walczyć potrzeba, zakupił nawet tanio wielką ilość pszenicy i spławił ją do Warszawy. Ale w Warszawie nie było spichlerzy na jej zsypanie. Przyszły deszcze, i galary z pszenicą na Solcu stojące pokryły się najbujniejszą zielonością. Dom braci Łubieńskich i Spół., poniósł na tem bardzo dotkliwą stratę. Ale i Towarzystwo Wyrobów Zbożowych musiało interesa swoje zlikwidować. Młyn parowy na Solcu sprze-

dany został Piotrowi Steinkellerowi bankierowi, który dopiero na kilka lat przed rewolucyą Listopadową opuścił Kraków, gdzie mu w ciasnych granicach Okręgu Wolnego Miasta, i pod panowaniem jeszcze ciaśniejszych wyobrażeń ówczesnego senatu, duszno było, i osiadł w Warszawie gdzie starając się zawsze interes własny połączyć z jakimś celem użyteczności publicznej, rozwijał gorączkową prawie działalność. W kilkanaście lat później, przy likwidacyi interesów Steinkellera, młyn parowy przeszedł na własność Banku Polskiego. W ostatnich już czasach, nabył go bankier J. G. Bloch. O wysyłaniu mąki do Ameryki już mowy niema, ale egzystencya młynów parowych musi odpowiadać potrzebom krajowym, kiedy ich w samej Warszawie powstało kilka, a w Królestwie kilkanaście.

Drugiem przedsięwzięciem przemysłowem powstałem w owym czasie, jeżeli nie zupełnie z inicyatywy Henryka Łubieńskiego, to z jego silnym udziałem, a które po przebyciu różnych kolei doszło obecnie do bardzo znakomitego rozwoju, była przędzalnia lnu. Cesarz Napoleon I., współzawodniczący zawsze i wszędzie z Anglią, nie mając nadziei ażeby Francya mogła jej tak prędko dorównać w rozwijającym się od końca przeszłego stulelcia przędzeniu mechanicznem ba-

wełny, chciał jej przeciwstawić przędzenie mechaniczne lnu. Ale przyrządy do tego nie były jeszcze wynalezione. Napoleon obiecał wynalazcy bardzo znaczne premium. Łamali sobie nad tem głowy mechanicy. Pierwszy praktyczny przyrząd wynalazł inżynier, francuz, Filip de Gérard, ale wynalazł już po upadku Napoleona. Wspomnienia napoleońskie nie popłacały pod rządami Burbonów. Rząd nietylko nie wypłacił Gérardowi obiecanej przez Napoleona nagrody, ale nawet odmówił mu wszelkiej pomocy dla zrobienia doświadczeń na większą skalę, dozwalających ocenić stanowczo użyteczność jego wynalazku. Publiczność francuska była wtenczas zrażoną do wszystkich nowości, po gorączce Gründerstw i Szwindlerstw przez jaką właśnie wtenczas giełda paryska przeszła. Gérard, były wojskowy napoleoński, nie miał w Anglii ani w Niemczech stosunków. W Polsce zaś miał swojego rodaka, i dawnego kolegę wojskowego, jenerała barona de Galichet, który ożeniwszy się za czasów Księstwa Warszawskiego z Dorotą Szymanowską, starościanką wyszogrodzką, siostrą Piotrowej Łubieńskiej, i objąwszy za nią dobra Izdebno w Błońskiem, pozostał w Królestwie. Galichet ściągnął Gérarda do Polski, i zaczął go protegować. Ministrowie hrabia Mostowski i książe Lubecki, nie mogli nowego

niewypróbowanego jeszcze przemysłu jawnie z funduszów skarbowych popierać. Ale objawili życzenie, ażeby jacyś prywatni protektorowie, niejakie ofiary na próby ponieśli, a jeżeli te pomyślny rezultat wykażą, Rząd będzie mógł czy to wprost czyli też za pośrednictwem Banku Polskiego wejść z nimi w stosunek protekcyjny, tak jak to Rząd pruski za pośrednictwem See-Handlungu czynił. Zawiązała się też i głównie z inicyatywy Henryka Łubieńskiego, Spółka firmowo-komandytowo-akcyjna pod nazwą „Towarzystwo Wyrobów Lnianych“, a pod firmą „Karol Scholtz i Spółka“. Spólnikami firmowymi byli niedawno w Warszawie osiadły niemiec, bankier Karol Scholtz, Jan Łubieński, Henryk Łubieński i Józef Lubowidzki. Z funduszów przez tych spólników złożonych i z bardzo niewielkiej jeszcze ilości wypuszczonych akcyj, założoną została najprzód na bardzo małą skalę przędzalnia lnu w młynie Ruda pod Marymontem. Gdy ta wydała rezultaty pod względem technicznym zupełnie zadawalniające, postanowiono przystąpić do budowy dużej już fabryki. Dla wyboru miejsca, jak równie dla obznajomienia się z gatunkami lnu w kraju naszym produkowanego, sprowadzono próbki z rozmaitych okolic. Najlepszym okazał się len wyprodukowany we wsi Kozło-

wice, w powiecie Sochaczewskim, a mającej grunta podobne do szczerków rawskich. Pod samą tedy wsią Kozłowice, na gruntach folwarku Ruda do dóbr Guzowskich należących, rozpoczęto budowę fakryki, którą od nazwiska wynalazcy metody mechanicznego przędzenia lnu, Żyrardowem nazwano. Fabryka ta, nie była jeszcze skończona w chwili wybuchu rewolucyi listopadowej. Wypadki krajowe wstrzymały pracę około niej, tak jak wstrzymały wszystkie inne ekonomiczne prace w kraju. Po rewolucyi ministrowie Mostowski i Lubecki już nie wrócili do władzy. Do obietnic pomocy przez nich czynionych odwoływać się już nie można było. Wypuszczanie wszelkich akcyj było zupełnie nie na czasie. Odwaga pierwiastkowych spólników firmowych, którzy się do pewnego stopnia uważali tylko za podstawione chwilowo przez Rząd figury, także bardzo ostygła. A jednak, szkoda było opuścić przemysł świetną przyszłość rokujący, szkoda było także poczynionych znacznych już nakładów. Karol Scholtz jednak nie uchylał się od dalszego współdziałania; a Henryk Łubieński, dostarczając na kredyt cegłę i drzewo do budowy fabryki, budując własnym kosztem wszystkie domy dla rzemieślników, dostarczając jeszcze długo z własnych lasów na

kredyt drzewo opałowe do fabryki, najbardziej się do jej dokończenia i do puszczenia jej w bieg przyczynił. Ale tutaj także dawał się czuć brak kapitału obrotowego. Karol Scholtz zażądał kredytu od Banku Polskiego, i uzyskał go w takich rozmiarach, jaki i innym zakładom przemysłowym był udzielany. Dla dobrego biegu interesu było to jeszcze niedostatecznem. Tymczasem Pan Karol Scholtz, nagle z Warszawy się wyniósł, dla powodów bardzo ważnych, z fabryką Żyrardowską ani z jego osobistemi interesami nic wspólnego nie mających, i powadze jego charakteru wcale nie ubliżających. Położenie Towarzystwa Wyrobów Lnianych stało się natenczas bardzo trudnem. Pan Jan Łubieński nic o tym interesie słyszeć nie chciał. Henryk Łubieński i Lubowidzki, Prezes i Wice-Prezes Banku Polskiego, musieli się od wszelkiej dyskusyi interesów tej fabryki dotyczących w Banku podejmowanych wyłączyć, pozostawiając innym Dyrektorom, mniej na nieszczęście od nich zaradnym, nietylko decyzyę ale i inicyatywę. Bank ustanowił do zarządzania tą fabryką rodzaj Rady Gospodarskiej, pod prezydencyą bankiera Józefa Epsteina. Do tej rady zaprosił także Księdza Prałata Łubieńskiego, proboszcza miejscowego. Taka Rada byłaby mo-

gła kontrolować bieg interesu, ale do kierowania jego działaniami okazała się zupełnie nieudolną. Zaliczenia dawane przez Bank, pod gwarancyą fabryki Żyrardowskiej tkaczom, którzy z tej fabryki przędzę na przerób brali, doszły do dosyć wysokiej cyfry. A nikt się o sprzedaż tych towarów nie troszczył. Po roku 1842 Rada Gospodarcza zastąpioną została przez administracyę bankową, która się jeszcze nieudolniejszą okazała, a zaliczenie Bankowe na rzecz tej fabryki znacznie powiększyła. W roku 1847, Bank Polski kupił tę fabrykę w drodze likwidacyi sądowej. Nie poprawił jednak wcale kierunku biegowi fabryki nadanego. Nareszcie w r. 1857 panowie Hille i Dittrich, saksończycy, posiadający podobną, ale o wiele mniejszą przędzalnię w Czechach, kupili fabrykę Żyrardowską od Banku, z bardzo małym zaliczeniem i z rozkładem szacunku na raty. Wartość gotowego zdanego im towaru, który oni w ciągu kilku tygodni spieniężyć potrafili, przewyższała znacznie zaliczenie przez nich uczynione. Z razu nie zaprowadzili w urządzeniu fabryki zmian żadnych, tylko umiejętniej fabrykacyę i administracyę, a zwłaszcza sprzedaż gotowych wyrobów pokierowali. Zaraz też doszli do korzystnych rezultatów. Potem, corocznie część zysków przeznaczali na rozwój interesu. Obecnie fabryka

Żyrardowska jest największą przędzalnią lnu na kontynencie europejskim, a trzecią co do wielkości na całej kuli ziemskiej. Zyski w ostatnich latach przez właścicieli realizowane, dochodziły do cyfr zupełnie bajecznych.

Rewolucya listopadowa.

Ta rewolucya listopadowa, już kilka razy mi się pod pióro nasuwała. Był też to wypadek wielkiej dla kraju doniosłości. Pamiętam doskonale, siedzieliśmy z naszą matką przy wieczerzy, kiedy wpadł do nas, zadyszany, mieszkający w tym samym domu co moi rodzice (przy ulicy Królewskiej w Pałacu Łubieńskich), mój stryj Piotr Łubieński, gorączkowo zapytując, „gdzie Henryk.“ „Abo co“? pytała moja matka. „Rewolucya wybuchła“ odrzekł. Rzuciliśmy się do okien. Na ulicy było cicho. Przyświecała tylko, ponad drzewami ogrodu saskiego łuna pożaru rozniecongo na rogu Nowolipek i ulicy Dzikiej, jako sygnał umówiony przez spiskowców. Za chwilę też spostrzegliśmy wyjeżdżającą cwałem na ulicę, całą Szkołę Podchorążych z koszar, mieszczących się w obszernych lokalach i stajniach straży niegdyś przybocznej Marszałków Wielkich Koronnych Bielińskich. Henryka Łu-

bieńskiego nie było w domu. Pracował on jeszcze jak zwykle o tej godzinie, w Banku Polskim, a przed Bankiem czekał na niego z koczykiem żółtym Pan Józef, stangret, który niegdyś służył przy koniach Księcia Józefa Poniatowskiego i był z nim pod Lipskiem. Znali go też wszyscy stangreci w Warszawie, a wszyscy dorożkarze uchylali przed nim czapki. Znał go też i lud cały, nie tylko dla jego okazałego wąsa i dla oznak deferencyi oddawanych mu przez jego kolegów po biczu, ale także dla tego, że koczyk przez niego powożony o różnych godzinach dnia i nocy, zajeżdżał w najodleglejsze dzielnice miasta, i zatrzymywał się tam, gdzie była jakaś nędza do wspomożenia, jakaś łza do otarcia. Bo Henryk Łubieński, jeden z założycieli Towarzystwa Dobroczynności za czasów swoich kawalerskich, osiadłszy teraz znowu w Warszawie, był, tak jak poprzednio, bardzo czynnym członkiem tego Towarzystwa, które jeszcze się nie było tak biurokratycznie ukształtowało jak później.

Wiadomość o wybuchu rewolucyi rozeszła się po całej Warszawie z szybkością telegrafu elektrycznego. Bo chociaż liczba spiskowców była bardzo ograniczona, ale przy otwartem i dobrodusznem usposobieniu polaków, sekretu prawie nie było, Czuć było w powietrzu zbliżanie

się jakiejś burzy. Nie widział tego tylko ten kto nie chciał, albo komu Pan Bóg odjął był jasny na rzeczy pogląd. Być może z resztą, że wyjęcie Wydziału Policyi tajnej zpod hierarchicznej zależności od Władz krajowych, i postępowanie ekstralegalne z osobami politycznie podejrzanemi, osłabiły czuwanie jakie Rząd powinien był mieć nad utrzymaniem legalnego w kraju porządku.

Wiadomość ta zastała Henryka Łubieńskiego w Banku. Prezesa ani Dyrektorów nie było. Poszedł przeto Henryk Łubieński korytarzami łączącymi gmach Bankowy z Pałacem Ministra Skarbu do Księcia Lubeckiego, po rozkazy. Książe, stracił był tego samego właśnie dnia jedynego jeszcze wówczas syna swego, i tą boleścią ojcowską był przygnębiony. Gdy się w dodatku od Henryka Łubieńskiego dowiedział o wybuchu rewolucyi, dostał ataku nerwowego, oczywiście nie ze strachu, bo temu uczuciu nie był przystępny, ale pod naciskiem gwałtownych wrażeń. Książe odpowiedział Łubieńskiemu, „zrób sobie Waćpan co chcesz“. Wrócił tedy Henryk Łubieński do Banku. Posłał w ten moment rekwizycyą do komendanta 4 pułku strzelców pieszych o przysłanie natychmiast batalionu tego wojska dla strzeżenia kasy Banku. Urzędnika dyżurnego, Michała Łuszczewskiego,

posłał do najbliższych piekarń dla zakupienia całego zapasu gotowego chleba, i do najbliższych folwarków za Wolskie rogatki, dla zakupienia wołów; tak ażeby to wojsko było czem przez dni kilka przekarmić. Sam zaś pojechał do Prezesa Rady Administracyjnej Sobolewskiego, po rozkazy. Sobolewski nie bardzo wiedział zrazu co robić. Jako naczelnik Rządu miał się z kolegami swoimi naradzić. Dowiedziawszy się zaś od Łubieńskiego, że Bank już jest wojskiem otoczony, zwołał natychmiast posiedzenie Rady Administracyjnej nie w zwykłym jej zebrań lokalu, ale w Banku Polskim, dokąd też sam koczykiem Łubieńskiego pojechał. Jeździł potem Łubieński po wszystkich członkach Rady Administracyjnej i zwoził ich wszystkich kolejno swoim koczykiem. Jeden tylko Książe Adam Czartoryski, członek Rady, nigdy na jej posiedzenia nieprzychodzący, nie chciał korzystać z incognita koczyka Łubieńskiego. Tym razem stawił się na wezwanie Prezesa i przyjechał przed Bank otwarcie własnym powozem.

Takim sposobem, w kilka godzin po wybuchu rewolucyi, bo dobrze przed północą 29 Listopada 1830 roku, Rząd legalny kraju, Rada Administracyjna, zebrany był w wielkim komplecie, w Sali Sesyonalnej Banku Polskiego, pod ochroną oddziału wojska, którego oficerowie

należeli wszyscy do spisku, i sami nie wiedzieli jaką przed Bankiem funkcyą pełnią; a żołnierze byli widocznie uradowani widokiem starania, jakie miano o ich przeżywienie. Ale w mieście panowała, a raczej wrzała rewolucya. Żadnej władzy, żadnej komendy widać nie było. Policya wykonawcza, nie była najprzód dosyć liczną, ażeby się ludowi oprzeć zdołała. Nie otrzymywała zresztą żadnego rozkazu, bo jej naczelnik, Wice-Prezydent Miasta Mateusz Lubowidzki był zakłóty w Belwederze. Wojska, które na pierwszy alarm udały się na wskazane im zawczasu posterunki, nie otrzymywały także od Naczelnego Wodza, Wielkiego Księcia Konstantego, ani od żadnego z podwładnych mu Jenerałów, żadnego rozkazu. Przywrócenie porządku, spokoju i bezpieczeństwa w mieście, było, że tak powiem, najpilniejszą potrzebą chwili. Członkowie Rady Administracyjnej nie wiedzieli co robić. Oglądali się jedni na drugich. Henryk Łubieński do rady naturalnie nie należał, ale jako gospodarz miejscowy, obowiązany myśleć o zaspokojeniu potrzeb i możliwych wygód zebranych w Banku osób, musiał się im ciągle na oczy nasuwać. Wszyscy się też na niego oglądali, jak gdyby z zapytaniem, „a pocożeś nas tutaj pozwoził?“. Oczywiście potrzeba było mianować nowego Wice-Prezydenta

miasta. Kogo na to miejsce wyznaczyć? „Hrabio Henryku, czyby Jenerał Łubieński przyjął tę nominacyą“. „Przyjmie, ręczę“. Ale jaką tu siłę dać mu do dyspozycyi? Policya wykonawcza nie dosyć liczna, a potem lud „salcesonów“ (tak wtenczas policyantów nazywano) nie lubi. Jakby się ich wyprowadziło na ulicę, toby dało powód do nowych awantur. Potrzeba naprędce uorganizować gwardyą narodową. Pan Piotr Łubieński organizował ją za czasów Księstwa Warszawskiego. „Hrabio Henryku, czy Hrabia Piotr podejmie się tego?“ „Każdy z moich braci jest zawsze gotów służyć krajowi i wykonywać rozkazy Rządu“. Nazajutrz Jenerał Tomasz Łubieński objął urzędowanie w Ratuszu, a Piotr Łubieński wyruszył przywracać porządek na ulicach miasta, na czele zebranego naprędce zastępu ludzi dobrej woli, uzbrojnych czem kto miał i odznaczających się kokardami białemi, które u pani Piotrowej Łubieńskiej i u mojej matki spinano. Ja byłem zbyt młodym ażeby do tej kohorty należeć, ale pamiętam z jaką zazdrością patrzałem na starszego mojego brata Edwarda, wychodzącego na tę ekspedycyą, z jakąś szabliną przypasaną do boku, i kieszeniami opakowanemi bułkami z masłem, któremi go troskliwa matka nasza zaopatrzyła.

Może być, że tem, iż Henryk Łubieński pozwoził wszystkich członków Rady Administracyjnej, na to nadzwyczajne jej posiedzenie, iż Tomasz Łubieński objął władzę wykonawczą w mieście, a Piotr Łubieński zajął się uformowaniem zarodku gwardyi narodowej, Łubieńscy, jak się pan P. P. wyraża „przeszkadzali wielom“. Ale komu? Chyba tym, których skryta ambicya była większa od ich zdolności i wziętości, tym przeto, którzy tylko w nieładzie i w nieporządku mogli mieć złudną nadzieję wypłynięcia na jakieś wybitniejsze stanowisko. To też Mochnacki, jeden z koryfeuszów ówczesnej agitacyi, napiętnował to działanie Łubieńskich nazwą nowego rozbioru Polski między braci Łubieńskich. Coby się było stało, gdyby się Rada Administracyjna nie była tak natychmiast zebrała i nie znalazła tak chętnych i tak energicznych wykonawców jej rozkazów? Gdyby porządek w mieście nie był tak śpiesznie przywrócony? Gdyby zjeżdżający się z całego kraju, na pierwszą wiadomość o rewolucyi obywatele, nie byli mieli około kogo się gromadzić? Gdyby Wielki Książe Konstanty, zdumiony odezwaniem się do niego legalnego w kraju Rządu i porządkiem panującym w mieście i w kraju, nie był miał komu oddać władzy nad wojskiem polskiem? Może być, że lud byłby się jeszcze kilku eksce-

sów na ulicach dopuścił, a potem bez kierunku pozostając, byłby się uspokoił i cała rewolucya byłaby się ograniczyła na burdzie ulicznej, a tylko kilku młodych szaleńców byłoby padło ofiarą tego wypadku, ratując się zresztą ucieczką. Może być także, że zpomiędzy spiskowców byłby powstał jakiś homo novus i nadał całemu ruchowi silny jednolity kierunek. Ale takiego człowieka nie było, bo gdyby istniał, to jego zdolności byłyby się chociaż później uwydatniły. Spisek zaś cały, który przez starannie obmyślaną kombinacyę, byłby mógł do pewnego stopnia zastąpić brak gienialnego człowieka, nie miał dokładnie obmyślanego planu. Przynajmniej w żadnej z licznych publikacyj, odnoszących się do rewolucyi listopadowej, nie znalazłem planu organizacyi władzy krajowej, po obaleniu tej którą spiskowcy zwalczyć zamierzali. Spisek sam nie miał tak obszernego rozgałęzienia, jakie miały spiski późniejsze, które wywołały wybuchy 1846 i 1863 roku. Spiskowanie w Polsce, kształtowało się na wzór karbonaryzmu, który w owym czasie nie był jeszcze tak dojrzały, jak później w latach 1848 i 1849. Po uśmierzeniu rewolucyi listopadowej wysadzona była z rozkazu Cesarza Mikołaja, Komisya tajna, dla zbadania organizacyi wszystkich spisków polskich, wykrytych poprze-

dnio w Wilnie, a potem w Warszawie. Członkiem tej Komisyi był ówczesny pułkownik, późniejszy jenerał Dannenberg. Ten opowiadał mi w 30 lat później, że życzeniem rządu było znaleść dowody, iż najwyższą sprężyną tych wszystkich spisków był książe Adam Czartoryski. Ale że Komisya ta żadnego nawet śladu stosunków tych spisków z księciem Adamem nie wykryła, i przeciwnie, dochodziła zawsze do Joachima Lelewela, jako najwyższego ich inicyatora, a dalej już śladów żadnych nie znajdowała. Lelewel zaś zatopiony w badaniach naukowych, i zamiłowany w narodowej przeszłości, umiał komunikować drugim zapał którym sam płonął, miłość lub nienawiść, któremi był sam miotany, i gotowość do poświęcenia, która u niego była bez granic, ale uorganizować cośkolwiek nie był w stanie, bo nie był człowiekiem czynu. Tak jak dzisiaj wszystkie opinie i wszystkie partye polityczne, kierują się mniej lub więcej uwydatnionym oportunizmem, tak samo wtenczas doktryneryzm był w modzie. Niemojewscy i cała ich partya, byli doktrynerami konstytucyonalizmu. Lelewel był doktrynerem radykalizmu. Mniemał, że dosyć jest wyzwolić świat zpod panowania różnego rodzaju przywilejów władz i tyranii, a ład i porządek społeczny, sam przez się wytworzy. I partya

Niemojewskich i Lelewel, powołani następnie naturalnym biegiem wypadków do władzy, nie okazali ażeby byli siłami dodatniemi. Dowodem braku myśli i siły organizacyjnej w spisku, który wywołał wybuch rewolucyi listopadowej, jest łatwość z jaką porządek w Warszawie został przywrócony, i to nie przez tych ludzi, którzy go byli zakłócili, i pomimo sympatyi, jaką ci ludzie przez całą publiczność otaczani byli. Gwardya narodowa naprędce zorganizowana, nie napotkała nigdzie żadnego oporu, nikt gdzieindziej jak po kawiarniach i klubach nie kwestyonował jej władzy. A i w mojej rodzinie mieliśmy dowód tego braku siły organicznej pomiędzy spiskowcami. W kilka dni po wybuchnięciu rewolucyi, Henryk Łubieński otrzymał list bezimienny, pisany nieznanem mu pismem, zaklinający go na wszystko co jest najświętszem, ażeby się oznaczonego dnia i o oznaczonej godzinie w nocy, stawił sam pieszo na ulicy Miodowej, pod filarami pałacu Dyzmańskiego dawniej Sołtyków. Gdy się na takie wezwanie stawił, przystąpiło do niego dwóch ludzi owiniętych płaszczami z podniesionymi kołnierzami tak, że ich twarzy pociemku zbliska nawet z nimi rozmawiając, nie można było rozpoznać. Ci zaproponowali mu formalnie ażeby stanął na czele partyi ruchu, i zagarnął chwiejącą się najwyższą w kraju wła-

dzę. Henryk Łubieński odepchnął stanowczo uczynioną mu propozycyą, odpowiadając, że w kraju jest rząd i że on zawsze rządu słuchając, krajowi służyć będzie. Odszedłszy po tej rozmowie, Henryk Łubieński, przed skręceniem na Senatorską ulicę, obejrzał się za siebie i spostrzegł już na ulicy stojące też same dwie osoby rozmawiające z trzecią, poprzednio oczywiście ukrytą, a w tej trzeciej osobie przy bladem świetle latarni, poznał Lelewela. Zaraz też po tem, kluby i pisma rewolucyjne zaczęły przeciwko Łubieńskim powstawać i Chłopicki obwołał się dyktatorem.

Ta dyktatura, powitana w pierwszej chwili z entuzyazmem przez młodzież akademicką, nie odpowiadała jednak jej nieokreślonym ideałom. Jedni mieli nadzieję, że Chłopicki da się kierować i pójdzie w jakimś kieruku postępowym. Tymczasem Chłopicki, chociaż nie był nieczułym na okazywane mu oznaki popularności, ale nie miał w swoich wyobrażeniach nic z postępowcami wspólnego. Drudzy mieli nadzieję, że Chłopicki „wojak, dzielny, śmiały“, energicznie się weźmie do organizacyi armii. A tu Chłopicki, chociaż życzył sobie i przypuszczał możność okrycia się chwałą w jakim świetnym wojennym czynie, nie przypuszczał możności przedsięwzięcia wojny

z nadzieją pomyślnego rezultatu. To też przygogotowań do wojny nie czynił, a sekretnie z Cesarzem Mikołajem negocyować się starał. Nastąpiło w partyi rewolucyjnej rozczarowanie, ale sama nie wiedziała kim Chłopickiego zastąpić. Ci co go z początku najbardziej pod niebiosy wynosili, widzieli potrzebę odwrócenia w inną stronę uwagi publicznej. Całą winę nieudania się rzekomego zamiaru sprzysiężonych, uwięzienia wielkiego księcia Konstantego, któryby był tak drogocennym zakładnikiem, zaczęto zrzucać na byłego wiceprezydenta miasta Warszawy, Mateusza Lubowidzkiego, bo to on uprzedzając na czas Wielkiego Księcia o wybuchu rewolucyi, i o prawdopodobnym napadzie na pałac Belwederski, skrzyżował plany spiskowców.

Mateusz Lubowidzki, wiceprezydent miasta Warszawy, czyli naczelnik policyi wykonawczej, spełniający tę funkcyą, którą obecnie spełnia oberpolicmajster, nie był i nie mógł prawie być przez młodzież warszawską i przez lud warszawski lubianym. Szpiegiem nie był i z policyą tajną nie miał nic wspólnego. Stanowisko jego jednak dawało mu możność świadomości co się w mieście dzieje. Od czasu wybuchu rewolucyi Lipcowej w Paryżu, bardzo liczne symptomaty wskazywały, że i w Warszawie na coś się zanosi.

Lubowidzki, z obowiązku służby, zwracał na to uwagę Ministra Spraw Wewnętrznych i Wielkiego Księcia Konstantego. Minister odpowiadał, że to do niego nie należy, że to jest rzecz policyi tajnej. Wielki Książe znowu, zbyt w raporty tej policyi wierzący, nie chciał wierzyć Lubowidzkiemu i nic więcej nie zrobił, tylko wydał rozporządzenie, które zresztą wszędzie i zawsze istnieje, wskazujące każdemu oddziałowi wojsk, gdzie się ma stawić w przypadku jakiego alarmu. Jak tylko rewolucya wybuchła, Lubowidzki nie próbował nawet walczyć z nią swojemi „salcesonami", ale pośpieszył do Pałacu Belwederskiego aby uprzedzić o tem wypadku brata Cesarskiego, za co mu nawet Barzykowski w swojej historyi, należytą pochwałę oddaje. Lubowidzki poprzedził w Belwederze spiskowców. Ci go tam zastali, a nie znalazłszy Wielkiego Księcia, zakłóli Lubowidzkiego. Po ich odejściu, służba miejscowa przeniosła rannego Lubowidzkiego do najbliższego szpitala Ujazdowskiego. Gdy tedy teraz zaczęto w klubach i w gazetach na Lubowidzkiego powstawać, i jemu całą winę nieudania się rewolucyi przypisywać, żona jego zaczęła się obawiać o niego, i jako troskliwa małżonka, szukała środków odwrócenia burzy nad głową męża się zbierającej. Trafiła także jakiemiś drogami do Lelewela. Czy się

z nim widziała, nie wiem. Ale razu jednego przyszła z szwagrem swoim wiceprezesem Banku Polskiego, do Henryka Łubieńskiego i oddała mu kartkę niepodpisaną, ale pisaną znanem pismem Lelewela, w tych słowach: „Udać się do Henryka Łubieńskiego, on zaradzi“. Tę kartkę Henryk Łubieński długo konserwował. Zniszczył ją dopiero w r. 1863, w Pokrzywnicy w Łęczyckiem mieszkając, kiedy się ciągle i wszędzie rewizyi obawiano, i wszystkie niepotrzebne papiery niszczono.

Henryk Łubieński znał Mateusza Lubowidzkiego, tak jak go wszyscy w Warszawie znali. Z bratem jego wice-prezesem Banku był w codziennych stosunkach, jako z kolegą służbowym, ale z nim jeszcze nie był w tak ścisłych stosunkach przyjaźni jak później. W danym wypadku, widział okazyą oddania przysługi człowiekowi, którego uważał za niewinnego. Kazał więc zaraz zaprządz do karety. Sprowadził sobie obecnego wtenczas w Warszawie Józefa Bontaniego, żonatego z jego siostrą cioteczną Krystyną margrabianką Wielopolską, uprzedzając go, ażeby się wybrał w kilkodniową podróż, nic zresztą mu nie mówiąc dokąd i poco ma jechać. Wsiadł z nim do karety, zajechał przed szpital Belwederski, kazał Bontaniemu na siebie w karecie czekać,

po chwili zaś, wyprowadził ze szpitala, uprzedzonego poprzednio Mateusza Lubowidzkiego, wsadził go do karety, i w dwóch słowach polecił Bontaniemu, ażeby go wywiózł za granicę. Bontani znał Lubowidzkiego, oba bowiem, pierwszy jako zięć byłego margrabiego Józefa Wielopolskiego, a drugi jako jeden z wierzycieli ojca tegoż margrabiego Franciszka Wielopolskiego, bronić się musieli w głośnym natenczas i jeszcze nieskończonym procesie, wytoczonym przez margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, o unieważnienie układu zawartego przez jego stryja Józefa i przez jego ojca także Józefa Wielopolskich, braci sobie stryjecznych, z wierzycielami ich przodków. Bontani był człowiek bardzo grzeczny i wielki ceremoniant. Zanim się przeto zoryentował o co chodzi, zanim się z Lubowidzkim przywitał, pan Józef, stangret mojego ojca, któregośmy już w nocy 29 Listopada czynnego widzieli, zaciął konie i był już daleko za rogatkami. Wiadomość o wywiezieniu Lubowidzkiego ze szpitala Ujazdowskiego, i o sprawcy tego wywiezienia rozeszła się po Warszawie, bo się wtenczas wszyscy wszystkiem interesowali. Ztąd, dla ludzi ruchu, już dla Henryka Łubieńskiego źle usposobionych, nowy asumpt, do wygłaszania przeciwko niemu objawów nibyto opinii publicznej,

groźnych, ale czy „słusznych“ jak mówi pan P. P. To inna materya. I wyznaję, że nie spodziewałem się, ażeby jeden z najodważniejszych i najczynniejszych później organizatorów partyi zachowawczej w Krakowie, tak oceniał czyn, mający na celu zabezpieczenie życia człowieka niewinnego, nie aresztowanego, niebędącego pod sądem, od możliwych skutków wściekłości ludu, rozdmuchiwanej przez podżegaczy rozruchów ulicznych.

To powstawanie przeciwko Henrykowi Łubieńskiemu było nawet bardziej hałaśliwe, aniżeli groźne. Dowód tego mam z opowiadanego mi przez bardzo wiarogodną osobę, Bernarda Potockiego, wypadku. Właśnie wtenczas przyjechał do Warszawy z księstwa Poznańskiego p. Józef Łubieński i chciał zwiedzić wszystko, co w Warszawie widzenia godnem było. Zaszedł też z Bernardem Potockim do jednego klubu, a raczej do kawiarni, w której oratorowie na stół wszedłszy, do zgromadzonej publiczności przemawiali. Zastali właśnie na stole Mochnackiego, powstającego gwałtownie przeciwko Henrykowi Łubieńskiemu, nieformułującego jednak swoich zarzutów, ale wyrażającego się ogólnikowo. Pan Józef Łubieński zniecierpliwiony, podszedł do mowcy i głośno go zainterpelował, żądając ażeby przestał ogólnikami tylko zarzuty swoje przeciwko jego

bratu popierać, ale przytoczył karygodne fakta. Mochnacki żadnych faktów przytoczyć nie umiał. A to znowu zebraną publiczność tak usposobiło, że mówcę ze stołu ściągnięto i za drzwi tej kawiarni czyli klubu wypchnięto.

Ten epizod nie powstrzymał jednak gwałtownych mów po klubach i niemniej gwałtownych artykułów w gazetach rewolucyjnych, na temat wywiezienia Mateusza Lubowidzkiego przez Henryka Łubieńskiego. Dla zabezpieczenia przeto tak tego ostatniego, jak i wiceprezesa Banku Józefa Lubowidzkiego od możliwych napaści ulicznych, jenerał Franciszek Morawski, ówczesny minister wojny, zażądał przyaresztowania ich obu. Sam fakt żądania tego aresztowania przez jenerała Morawskiego, brata rodzonego referendarza stanu Józefa Morawskiego, szwagra Henryka Łubieńskiego, i osobiście z tym ostatnim w najściślejszych stosunkach przyjaźni będącego, od czasu kiedy oba codziennemi gośćmi bywali w salonach Hrabiny Ordynatowej Zamoyskiej, dowodzi że tu nie chodziło wcale o zabezpieczenie wymiaru sprawiedliwości przeciwko jakimś przestępcom, ale właśnie o zabezpieczenie tych niewinnych osób od możliwych nieprzyjemności i gwałtów. Jenerał Morawski już nie żyje, żyją jego dzieci, Szambelan Tadeusz Morawski i Hrabina Karolowa

Jezierska. Oni musieli od swojego ojca coś o tych wypadkach słyszeć. Na ich świadectwo powoływać się będę jeszcze w innem miejscu, gdzie także o ich ojcu mówić będę.

Zresztą jakiż to był ten areszt mojego ojca, w dwóch pokojach parterowych, w oficynie Banku Polskiego. Okna jego wychodziły na dziedzińczyk mały, który jest zaraz za salą giełdową. Przez cały czas trwania tego aresztu, ja i mój brat Edward, dyżurowaliśmy kolejno przy naszym ojcu dniem i nocą. I widzieliśmy jak Henryk Łubieński od rana do późnego wieczora, w tym swoim nibyto areszcie, przyjmował nietylko żonę i krewnych, nietylko urzędników banku którzy do niego co moment z referatami i po rozkazy przychodzili; ale przyjmował licznych interesantów i gości, a między nimi i członków rządu. Pamiętam jak do tego aresztu prawie codziennie wtaczano beczki ze złotem, kiedy je z zagranicy przywożono w godzinach, w których kasa Banku już zamkniętą była. Myli się przeto pan Rembertowski w książeczce wydanej z okazyi pięćdziesięcioletniego jubileuszu Banku Polskiego, mówiąc, że natenczas Bank był bez zarządu. Być może, że dla przyzwoitości, pod nieobecność Prezeza Jelskiego, który był za granicą, nie aresztowany wiceprezes Lubowidzki, i nie Henryk Łu-

bieński podpisywali korespondencye banku, lecz je podpisywał który z młodszych Dyrektorów. Ale zarząd rzeczywisty Banku wykonywał już Henryk Łubieński, i w porozumieniu się z siedzącym już zagranicą prezesem Jelskim, bardzo gorliwie pracował nad przygotowaniem Banku Polskiego do dostarczania Rządowi funduszów, jakich miał wkrótce na koszta wojenne potrzebować. Takie oficyalne zaaresztowanie Józefa Lubowidzkiego i Henryka Łubieńskiego, zamknęło chwilowo usta klubistom i gazeciarzom. Znalazł się jednak jakiś naiwny oficer, komenderujący razu jednego odwachem do Banku Polskiego zaciągającym, który sobie za obowiązek poczytał, zaraportować władzy i opowiedzieć w klubie o takiej nieścisłości aresztu obu tych panów. Natenczas Jenerał Morawski poradził mojemu ojcu, ażeby wstąpił do wojska, i przeszedł tym sposobem, tak jak Kmicic Sienkiewicza, z pod juryzdykcyi cywilnej, pod juryzdykcyą wojskową. Jakoż Henryk Łubieński, nie opuszczając swoich zatrudnień w Banku, wszedł jako prosty żołnierz do formujących się właśnie Szwadronów Poznańskich, w których służyli: szwagier jego Bernard Potocki, najserdeczniejszy jego przyjaciel Tytus Działyński i wielu znajomych obywateli z Księstwa Poznańskiego. W wilią bitwy pod Grocho-

wem, szwadron ten wyszedł z Warszawy do wsi Ząbki. Towarzyszyłem tam ojcu z moim bratem konno. Nazajutrz rano przyjechały tam moja matka, pani Klaudyna Potocka i pani Celina Działyńska. Dopiero gdy od strony południowej dał się słyszeć huk armat, odesłano nas wszystkich, z wielkiem naszym żalem do domu.

W bitwie pod Grochowem Szwadron Poznański, tak jak cała kawalerya pod rozkazami Jenerała Tomasza Łubieńskiego, na lewem skrzydle wojska polskiego będąca, nie dokonała żadnej akcyi. Zarzucano w swoim czasie tę bezczynność Jenerałowi Łubieńskiemu i pan P. P. przypomina że „Chłopicki nie przestawał narzekać na Tomasza Łubieńskiego, że rozkazanej szarży pod Grochowem nie wykonał“. Wojskowym nie jestem. Sąd mój w tej mierze żadnej powagi stanowić nie może. Ale czytałem z uwagą różne o tej bitwie relacye, zwracając naturalnie szczególną uwagę, na wiadomy zarzut, czyniony mojemu stryjowi. Barzykowski n. p. opisuje tę okoliliczność dosyć szczegółowo i powtarza zarzut przez Chłopickiego Jenerałowi Łubieńskiemu czyniony. Mochnacki przeciwnie, którego jednak o względność dla Łubieńskich posądzać nie można, a który pod względem militarnym stanowi, o ile mi się zdaje, większą powagą od Barzykowskiego,

nic o tem zarzucanem Jenerałowi Łubieńskiemu nieposłuszeństwie nie wspomina. Nie musiała przeto wina jego, jeżeli jaka była, być tak wielką, jak tego wrażenie pozostało w pamięci Barzykowskiego, wielkiego ądmiratora Chłopickiego, albo w pamięci pana P. P., który długie lata Chłopickiego w Krakowie widywał. Z mojej strony także, ośmielę się dodać, że najprzód gdyby Jenerał Łubieński był stosownie do żądania Jenerała Chłopickiego, odesłał pod Grochów, to jest na prawe skrzydło armii polskiej, połowę kawaleryi, którą na lewem skrzydle komenderował, byłby to lewe skrzydło osłabił, i wystawił całe wojsko polskie na niebezpieczeństwo okrążenia go i odcięcia od Warszawy, od czego to wojsko strzedz, było jego pierwszym obowiązkiem. Powtóre, szarża której niedokonanie Jenerałowi Łubieńskiemu zarzucają, wcale o ile się zdaje, ani potrzebną, ani nawet możliwą nie była, bo tak samo byłby mógł ją dokonać oddział kawaleryi, pod rozkazami Jenerała Chłapowskiego, a pod ręką Jenerała Chłopickiego, na prawem skrzydle bezczynnie stojący; a ten oddział, żadnego rozkazu w tej mierze nie otrzymał. Nadto gdyby jenerał Łubieński był wykonał rozkaz Jenerała Chłopickiego, to jest gdyby mu był posłał żądany przez niego oddział kawaleryi, i gdyby szarża tej

kawaleryi odniosła jakiś skutek, to jakiż by z tego mógł wyniknąć rezultat? Oto tylko taki, że straty wojska rosyjskiego w bitwie pod Grochowem, byłyby nieco dotkliwszemi od tych, jakie poniosło, ale armia rosyjska nie byłaby zniesioną. Straty zaś wojska polskiego byłyby może cokolwiek mniejsze od poniesionych; porządek cofania się wojsk polskich po bitwie do Warszawy, byłby może cokolwiek większym, ale więcej nic. Bo jeżeli wojsko rosyjskie nie było w stanie po bitwie pod Grochowem, ani ścigać wojska polskiego aż do Warszawy, ani nawet utrzymać się na pobojowisku, to wojsko polskie niezawodnie nie było w stanie ścigać cofającego się wojska rosyjskiego. A dla czego? Już nie mówiąc o trudności ścigania wojska, osłoniętego lasami, okrążającymi cały plac bitwy grochowskiej, głównie jednak dlatego, że w dacie bitwy pod Grochowem (25 Lutego 1831 roku), wojsko polskie nie było jeszcze do wojny przygotowane. Jenerał Chłopicki, który w Grudniu 1830 r. samowolnie godnością dyktatorską zawładnął, a 19 Stycznia 1831 r., bez żadnego słusznego powodu ją złożył, nie zrobił przez ten cały czas żadnego przygotowania do wojny, w której skuteczność nie wierzył, i której negocyując directe z Cesarzem Mikołajem uniknąć się starał. Jenerałowi Chłopickiemu chodziło co

najwięcej o odznaczenie się jakim świetnym czynem wojskowym, przed upadkiem sprawy. Ale inni wojskowi mogli mieć inne nadzieje, a zwłaszcza inaczej się na swoje obowiązki zapatrywać. Nareszcie jenerał Chłopicki nietylko nie był główno dowodzącym pod Grochowem, ale nawet nie miał żadnego charakteru oficyalnego. Był on natenczas w zupełnej dymisyi. Przyjechał do głównej kwatery w Grochowie ubrany po cywilnemu, dopomagać naczelnemu wodzowi księciu Michałowi Radziwiłłowi radami, bez dzielenia jego odpowiedzialności. Rozkaz niewykonany przez jenerała Łubieńskiego, nie został mu dany w imieniu księcia Radziwiłła, który, jak już było wiadomo, do Warszawy był odjechał, ani też w imieniu tego z Jenerałów, który podług praw i zwyczajów wojskowych powinien był go zastąpić. Cóż więc dziwnego, że jenerał Łubieński, wychowany pod względem wojskowym w wielkiej praktycznej szkole wojen napoleońskich, nie usłuchał dyletanckiej komendy Jenerała Chłopickiego.

Tymczasem od początku kampanii chorzy i ranni przybywali z pola bitwy do szpitalów warszawskich, na zwykłe potrzeby miasta niewystarczających. Po raz pierwszy pojawiająca się epidemia cholery, grozę położenia zwiększała. Potrzeba było szpitale powiększyć, nowe poza-

kładać, wszystkie stosownie do potrzeb zorganizować. Praca ta powierzoną została, dawnemu wojskowemu, księdzu prałatowi Tadeuszowi Łubieńskiemu. Ułatwiły mu ją bardzo: poświęcenie lekarzy i ofiarność publiczna. Rezultaty otrzymane były o ile to być mogło, zadawalniające. Po wzięciu Warszawy, władze wojskowe rosyjskie podziwiały porządek szpitalów. Nadzór też nad niemi pozostawiły księdzu prałatowi Łubieńskiemu, który się od niego uwolnił dopiero po urządzeniu z jego inicyatywy, Rady Głównej Opiekuńczej Zakładów Dobroczynnych w Królestwie Polskiem. Rada ta funkcyonowała z pożytkiem dla kraju, aż do czasu zwinięcia wszystkich władz centralnych w Królestwie, w roku jeżeli się nie mylę 1869. Ale prezesowstwa tej rady już ksiądz prałat Łubieński nie przyjął.

Zaraz po bitwie pod Grochowem, Henryk Łubieński odkomenderowany został do Warszawy, gdzie praca jego daleko ważniejszą była od obecności jego w szeregach armii. Chociaż przeto przez cały czas kampanii 1831 roku munduru ułańskiego prostego żołnierza nie zrzucił, nie szablą wojował, ale głową. Pod nieobecność Prezesa Jelskiego, siedzącego wciąż za granicą, on faktycznie Bankiem Polskim zarządzał i zajmował się wszystkimi zakładami wojskowymi,

na które Bank pieniądze dostarczał. Mąka była mełtą i na chleb i suchary wypiekaną w młynie parowym na Solcu. Młyny krajowe nie mogły nastarczyć z dostawą kaszy, dla zastąpienia jej Bank sprowadził z Tryestu i z Hamburga znaczne partye ryżu. Dawano zaliczenia fabrykantom dostarczającym sukno na mundury, i kupcom sprowadzającym płótno i skóry, i pilnowano wykonania ich zobowiązań. Profesor szkoły politechnicznej Han, wyrabiał saletrę do fabrykacyi prochu potrzebną, ze starych tynków obtłukiwanych z kamienic warszawskich. Fabryka machin na Solcu zamienioną została na fabrykę broni. Inżynier Gérard wysilał się na wynajdywanie sposobów przyśpieszających dokonywanie robót. Pośpiechu w tym względzie pilnował Henryk Łubieński, codziennie te zakłady odwiedzając, i przez ustne porozumiewania się z ich dyrektorami, zwłoki korespondencyi unikając. Starania te nie były bezkuteczne. Armia polska ani razu nie cierpiała braku ubrania, prowiantu, ani amunicyi; a chociaż w ciągu tak krótkiej, nie całe dziewięć miesięcy trwającej kampanii, armia liczebnie w dwójnasób wzrosła, zaopatrzoną jednak została w broń ręczną, i codziennie jedno nowe działo schodząc z warsztatów, do właściwego użytku oddawane było.

Głównem jednak zadaniem Banku Polskiego było zaopatrywanie Skarbu Królestwa w ten nervus belli, w pieniądze. Pieniądze, które Bank ściągał, to były fundusze krajowe, owoc ofiar dawno bo jeszcze za wojen napoleońskich poniesionych, starannie przez księcia Lubeckiego zlikwidowanych i do dyspozycyi Banku tymczasowo oddanych. Zasługą Banku przeto było, nie stworzenie tych funduszów, ale staranne ściąganie ich na czas, tak że Rząd Narodowy był w stanie wszystkie wydatki kosztów wojennych regularnie płacić. Pod koniec wojny, nie pozostało żadnej niezaspokojonej zaległości. Ale fundusze wyczerpywały się. Potrzeba było myśleć, i myślano o zaciągnięciu pożyczki. Zajmował się tem Bank Polski, to jest w Warszawie Henryk Łubieński, a za granicą Prezes Banku Jelski. Do pomocy dodany mu został Józef Łubieński, który wysłany był do Londynu za kupnem i ekspedyowaniem do kraju broni, w czem mu znowu dopomagał Leon Łubieński, syn Jenerała Tomasza Łubieńskiego, uczęszczający na Uniwersytet w Edymburgu, po wypędzeniu go w r. 1829 z Uniwersytetu Warszawskiego, za zbyt głośny udział akademików warszawskich, w pogrzebie byłego prezesa sądu sejmowego, wojewody Bielińskiego. Pożyczka którą Bank Polski starał się zaciągnąć,

miała wynosić 150.000,000 złotych polskich czyli 90.000,000 franków. Ministeryum francuzkie już się było zgodziło na to, ażeby 40,000 ówczesnych gmin francuskich, wzięły każda po jednej obligacyi 1000 frankowej, dając tym sposobem namacalny dowód sympatyi narodu francuzkiego dla sprawy polskiej. Ta pożyczka miała być premiową i ewentualne premia, miały być przeznaczone na cele oświaty ludowej. Emisyi renty tej pożyczki podejmowały się domy Rothschildów londyński i paryski. Dla podpisania odpowiednych umów, oczekiwano na wiadomość o kilku, chociażby o jednej wygranej a stanowczej bitwie. Bo chociaż wyrażenie „faites moi de la bonne politique, et je vous ferai de bonnes finances", dużo później było powiedziane, wpływ jednak powodzenia na kredyt był już odwiecznie znany.

Tymczasem, po kilku zwycięztwach odniesionych przez wojska polskie w marcu i kwietniu 1831 roku, świetnych ale bezowocnych, dalszy przebieg kampanii, począwszy od bitwy pod Ostrołęką, świadczący zawsze o odwadze żołnierza polskiego, był już tylko powolnem cofaniem się armii polskiej okalanej przez nieprzyjaciela. Główna komenda w wojsku i rząd w kraju rozstrajały się. Nieukontentowanie i zaniepokojenie publiczne wzrastało. D. 15 sierpnia 1831 r. lud wy-

legł na ulice Warszawy i dopuścił się nadużyć, będących zawsze ideałem wichrzycieli, ale będących zawsze skazą na najświętszych nawet sprawach. Tej nocy rozuzdane tłuszcze, straciwszy kilka niewinnych ofiar, zaczęły sobie przypominać, na kogo je kiedykolwiek podszczuwano. Przypomniano sobie Henryka Łubieńskiego i szukano go, ażeby go powiesić. Zresztą nietylko Łubieńscy byli tej nocy w niebezpieczeństwie. Mochnacki, tak jest Mochnacki, ten niby trybun ludu i klubowy mówca, który na Łubieńskich tak gwałtownie i tak natarczywie nastawał, ogarnięty przestrachem, iż jego uczniowie tak go prześcignęli, przyszedł schronić się u szefa sztabu gwardyi narodowej Piotra Łubieńskiego, i kilka godzin przesiedział zamknięty w jego gabinecie w Dyrekcyi Szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, która się wtenczas mieściła w czterech ciasnych pokoikach oficyny pałacu Łubieńskich. We trzy tygodnie potem, podpisaną została kapitulacya miasta Warszawy. Minister skarbu Leon Dembowski, dał rozkaz Bankowi Polskiemu wywiezienia kasy Banku na Pragę. Wyjechał z nią Henryk Łubieński, i szedł z nią za głównym sztabem armii polskiej, aż do Brodnicy.

O tym smutnym pochodzie dwa epizody ze wspomnień rodzinnych opowiedzieć muszę, tem-

bardziej, że jeden z nich bywa czasem przytaczany jako grawamin przeciwko mojemu ojcu. Najprzód kiedy Jenerał Morawski wysłany został do Nowego Dworu, dla traktowania z Jenerałem Bergiem, późniejszym Namiestnikiem, o warunkach projektowanej kapitulacyi całego wojska polskiego, wziął ze sobą Henryka Łubieńskiego, bo sobie jego przytomność umysłu, bystrość sądu i dyskrecyą wysoko cenił. Jenerał Berg przyjechawszy do kwatery chwilowo przez Jenerała Morawskiego zajmowanej, nie zwracał początkowo uwagi na stojącego w pokoju prostego żołnierza, dziwił się tylko może, że Jenerał polski, nie wysyła swojego ordynansa do sieni. Ale zdziwienie jego było widoczne, kiedy zasiadano do śniadania, i kiedy ten sam żołnierz, zaprezentowany mu przez Jenerała Morawskiego jako Hrabia Łubieński, zasiadł z nimi do stołu. Pierwszego dnia Jenerał Berg, z polecenia Feldmarszałka Paszkiewicza, proponował zupełną amnestyą, i powrót do stanu rzeczy przedrewolucyjnego, to jest z konstytucyą, przy skasowaniu tylko wojska polskiego. Jenerał Morawski, wysłany dla negocyowania, nie miał upoważnienia do podpisania żadnej konwencyi. Musiał się odnieść do zebranego natenczas w Zakroczymie Sejmu. Druga konferencya naznaczona była na dzień następny. Jenerał Berg przyjechał

znowu z Warszawy, ale z poleceniem cofnięcia propozycyi dnia poprzedniego uczynionych, i podał nowe warunki, o wiele mniej łagodne. Jenerał Morawski musiał je znowu Sejmowi przedstawić. Trzeciego dnia Jenerał Berg zażądał prostego złożenia broni, i zdania się na łaskę i niełaskę. Ta propozycya naturalnie przyjętą nie została. Wojsko polskie atoli, nie spróbowawszy już żadnej rozprawy, cofało się przed postępującą za nim trop w trop awangardą rosyjską, aż do pruskiej granicy. Tutaj dopiero zebraną została wielka Rada mieszana, wojskowo-sejmowa, dla zdecydowania co dalej robić? Wszystkie obecne tam wybitniejsze osobistości, chociaż niemające tytułu do zasiadania w tej Radzie, przyjęły w niej udział. Henryk Łubieński proponował, nie składać broni przed wojskiem rosyjskiem, nie przekraczać granicy pruskiej, nie dać się prusakom rozbroić, ale broń wszystką i sztandary znieść na jeden wielki stos i spalić, a wszystkich tam obecnych, już bezbronnych, do domów rozpuścić. Ta rada przyjętą nie została. Nietylko osoby, przez swoje stanowisko więcej skompromitowane, ale i całe tam zebrane wojsko emigrowało. Kraj pozbawiony został wielkiej ilości sił intelektualnych i moralnych, a obdarzony emigracyą, która przez długie lata przywłaszczała sobie wyłączne prawo kierowania

opinią publiczną kraju, a przez nasyłanie emisaryuszów, starała się ciągle przygotowywać i pobudzać kraj do nowych ruchów powstańczych.

Z okazyi wychodzenia za granicę wojska polskiego, członków Sejmu i Rządu Narodowego, poruszoną naturalnie została kwestya, co zrobić z kasą Banku Polskiego, w której się jeszcze bardzo pokaźny fundusz znajdował, bo była gotowizna, były i depozyta. Było naturalnie objawione dosyć ogólne życzenie, ażeby ten fundusz, jako narodowy, rozdzielić między emigrujących, z których każdy miał bardzo słabo zaopatrzoną kaletę. Temu życzeniu oparł się stanowczo Henryk Łubieński z tej zasady, że dopóty dopóki Rząd Narodowy trzymał się w kraju, mógł go uważać za władzę legalną, której jako urzędnik, słuchać był w obowiązku; ale od chwili jak Rząd, Sejm i wojsko zdecydowali się kraj opuścić i dać się prusakom rozbroić, Rządu takiego już za Rząd uznawać nie może. Temu energicznemu wystąpieniu, nikt się nie odważył głośno oponować, pozostały tylko indywidualne żale, których oddźwięk w artykule pana P. P. jeszcze się znajduje. Henryk Łubieński zażądał od Głównodowodzącego Jenerała Rybińskiego, ażeby dla strzeżenia kasy Banku, i dla eskortowania jej, aż do pierwszych posterunków rosyjskich, odkomende-

rował znanego mu ze sprężystości i honoru pułkownika Russiana. Następnie wypłacił wojsku i urzędnikom cywilnym, żołd, pensye i dyety, aż do dnia przejścia granicy; wymienił na srebro i złoto wszystkie bilety bankowe, jakie kto miał, i jednocześnie z przejściem wojska polskiego do Prus, sam z kasą Banku powrócił do Warszawy wprost z Brodnicy a nie z Torunia, jak mylnie mówi p. Rembertowski, w błąd wprowadzony tą zapewne okolicznością, że korespondencye z Brodnicy do Warszawy, których musiał pewną ilość w aktach Banku polskiego znaleść, posyłane były przez Toruń, zkąd komunikacya była śpieszna i pewna, a nie przez prowincyonalne trakty pocztowe, pozajmowane wojskami i maroderami.

Po rewolucyi listopadowej.

„Czy w głębi duszy Łubieńscy sprzyjali powstaniu?“ Takie pytanie postawił pan P. P. w artykule swoim, i na to pytanie sam odpowiedział: „że jak wszyscy ludzie rozumni, uważali je za nieszczęście, ale go z pewnością nie zdradzili, robili powinność, bez zapału, ale uczciwie“.

Tak jest. Pamiętam ten okrzyk: „Jakie to nieszczęście!“ który się wyrwał z piersi moich rodziców i moich stryjów, w sam dzień wybuchu rewolucyi. Niezaprzeczenie oni się tak samo na ten wypadek zapatrywali, jak pan P. P. powiada, „iż wszyscy ludzie rozumni uważali“. I o tych wszystkich ludziach rozumnych można by się zapytać: „Czy byli dobrymi polakami?“ kiedy wobec wypadku, który uważali za nieszczęście, nie starali się jemu przeciwdziałać; nie założyli żadnego protestu, nie wysłali do Cesarza Mikołaja deputacyi liczniejszej, i w rozsądniejsze in-

strukcye zaopatrzonej, od wysłanej do niego deputacyi złożonej z Ministra księcia Lubeckiego, i z Posła hrabiego Jana Jezierskiego; kiedy nie odezwali się do niego otwarciej i jaśniej, jak przez listy sekretne Jenerała Chłopickiego; kiedy nie zdobyli się już wtenczas na wypowiedzenie słów, w innem miejscu i w innem czasie wygłoszonych: „Szlachta Polska, pomna swojej przeszłości i społecznego stanowiska, przychodzi złożyć u stóp Monarchy swojego wyznanie wierności etc.“; że mu nie powiedzieli: „Chcemy stać się podporą Twojego Tronu i porządku społecznego“. Takiego rodzaju przemówienie ludzi rozumnych i poważnych, byłoby prawdopodobnie wywarło wpływ jakiś na umysł Cesarza Mikołaja. Nie tyle żądał Minister Spraw Wewnętrznych Wałujew w rozmowach, jakie z nim miałem o potrzebach kraju w r. 1863, z których może mi także wypadnie kiedyś sprawę i rachubę zdawać. Minister Wałujew mówił, że sama obecność w Petersburgu ze stu znaczniejszych polskich rodzin, w powstaniu żadnego udziału niemających i spokojnie za granicą siedzących, byłaby już przez Rząd uważaną jako manifestacya dezaprobacyjna powstania, i byłaby już dostateczną dla skłonienia Rządu, do uwzględnienia niektórych życzeń kraju po uśmierzeniu powstania.

Ale ani w r. 1830 ani w r. 1863 ludzie rozumni w kraju zdobyć się na to nie mogli, i to nie przez brak rozumu, ale po części dlatego: że się obawiali ażeby im ich współobywatele nie czynili zarzutu, że nie są dobrymi Polakami, a zwłaszcza dlatego, że tak w jednej jak i w drugiej z tych epok, nie widzieli ażeby mogli stać się podporą Tronu i społecznego porządku, obok ochronienia tych interesów krajowych, których byli naturalnymi przedstawicielami i stróżami. Wiedzieli bowiem, że Tron tej podpory nie potrzebował i o nią nie dbał. Widzieli, że porządek społeczny natenczas jeszcze zagrożony nie był. Czuli zwłaszcza, że prywatni o tyle tylko przez swój wpływ na społeczeństwo podporą Tronu i porządku społecznego stać się mogą, o ile są w stanie wyjednywać u Tronu zaspakajanie prawdziwych i godziwych potrzeb społeczeństwa. Tego zaś nie mogli się spodziewać wobec rozwoju w otoczeniu Tronu zasad, sformułowanych za panowania Cesarza Aleksandra I., przez Karamzina, aplikowanych za panowania Cesarza Mikołaja przez Nowosilcowa, Bibikowa i innych, a później wszechwładnie już panujących.

Pobudkę działania wszystkich Łubieńskich w obec wybuchu rewolucyi, która była także po-

budką działania wszystkich ówczesnych ludzi, których pan P. P. rozumnymi nazywa, najlepiej może określił Jenerał Tomasz Łubieński w następującej okoliczności. Po skończeniu wojny 1831 roku, Jenerałowie wojsk polskich, którzy nie emigrowali, skazani zostali nie wyrokiem sądu, ale Najwyższem rozporządzeniem, na wywiezienie ich w głąb Rosyi. Jenerała Łubieńskiego także wywieziono. Miał jechać, jeżeli się nie mylę, do Tambowa. Droga tam prowadziła na Moskwę. Zbiegiem okoliczności, Cesarz Mikołaj był właśnie w Moskwie wtenczas, kiedy tam Jenerała Łubieńskiego przywieziono. Miejscowy Jenerał Gubernator, składając, jak zwykle co rano, raport Cesarzowi o wszystkiem co w mieście zaszło, doniósł mu także o przyjeździe Jenerała Łubieńskiego. Cesarz Mikołaj znał Jenerała Łubieńskiego osobiście, jeszcze z czasów kongresu wiedeńskiego, kiedy Mikołaj, wówczas tylko Wielki Książe, a nawet nie Następca Tronu, ale zawsze w rzeczach wojskowych bardzo zamiłowany, spotykając się w salonach dyplomatów, z człowiekiem tak w towarzystwie przyjemnym, jakim był Jenerał Łubieński, a z kwestyami wojskowości się dotyczącemi tak obznajmionym, chętnie i często z nim rozmawiał. Spotykał go potem w Warszawie. Gdy mu przeto doniesiono o przyjeździe

Jenerała Łubieńskiego, kazał mu się u siebie stawić i powitał go gromem najgwałtowniejszych wyrzutów, tak jak to Cesarz Mikołaj umiał czynić. Między innemi rzeczami powiedział mu, że mógłby się nie dziwić temu, że niedoświadczona młodzież dała się obałamucić jakiemiś złudnemi nadziejami, ale on (Jenerał), człowiek w wieku dojrzałym, doświadczony i wojskowy, powinien był ocenić niedorzeczność przedsięwzięcia i pamiętać o obowiązkach wynikających z wykonanej przysięgi na wierność swojemu Monarsze. Jenerał wysłuchawszy tej burzy, odpowiedział bez żadnej zresztą arogancyi, że zdaje sobie i zdawał sobie sprawę z doniosłości swojej winy, że poddaje się bez szemrania wymierzonej na niego karze, ale, że po wybuchu rewolucyi miał przed sobą dwa sprzeczne obowiązki, jeden względem swojego Monarchy, drugi względem swojej ojczyzny; że w wyborze między tymi dwoma obowiązkami nie wahał się, i że gdyby jeszcze w takiem samem znalazł się położeniu, także by się nie wahał. Taka jasna odpowiedź zastanowiła Cesarza. Już nie łajał więcej Jenerała ale mu powiedział między innemi rzeczami, że „wy Polacy nie wiecie jaką mi wyrządziliście szkodę. Oto panowałem nad dwoma krajami. Jednym wielkim, potężnym, ale bardzo

mało ucywilizowanym, i bardzo źle administrowanym, drugim małym, daleko wyżej w cywilizacyi posuniętym, i doskonałą administracyą posiadającym. Chciałem to Królestwo Polskie przedstawiać ciągle Rosyi jako wzór do naśladowania. Wiarołomnego i zbuntowanego kraju już teraz za wzór dawać nie mogę". Po tej rozmowie Cesarz zwolnił jenerała Łubieńskiego z wygnania, i pozwolił mu wrócić do Warszawy. Po tej audyencyi Jenerał widział się z jeżdżącym zawsze przy cesarzu, Szefem Żandarmeryi i Policyi Tajnej, Jenerałem Benkendorfem. Ten wdał się z nim wrozmowę o sposobach odwrócenia wpływu rewolucyi na umysły mieszkańców Królestwa. Jenerał Łubieński przedstawił mu, że najważniejszą i najpilniejszą rzeczą byłoby danie amnestyi, i to takiej, ażeby wszelka emigracya utraciła racyą bytu. Podał nawet w tym przedmiocie Jenerałowi Benkendorfowi memoryał na piśmie. Czy Benkendorf przedstawił ten memoryał Cesarzowi Mikołajowi, nie wiem; niepodobna jednak ażeby mu o nim nie był mówił. W każdym przypadku, amnestya, z której zresztą bardzo wielu emigrantów skorzystało, daną została dopiero później, i to nie w rozmiarach przez Jenerała Łubieńskiego wskazanych. A na nieszczęście, duch demagogiczny, jaki się zaczął

wśród emigracyi polskiej pozornie rozwijać, wstrętniejszy jeszcze Cesarzowi Mikołajowi od ducha patryotycznego polskiego, zdawał się usprawiedliwiać decyzyę cesarską.

Takie było zapatrywanie wszystkich Łubieńskich, na obowiązki wynikające z wybuchnięcia rewolucyi, którego oni nie wywołali i które za nieszczęście dla kraju poczytywali. Pomimo jednak poczytywania rewolucyi za nieszczęście dla kraju, wszyscy krajowi służyli. Tomasz Łubieński zaraz nazajutrz po jej wybuchu, przyjął, nie odpowiadający nawet hierarchicznie jego randze Jenerała i godności Kasztelana, urząd Wice-Prezydenta czyli Oberpolicmajstra miasta Warszawy. Jak tylko się na wojnę zanosić zaczęło, choć już niemłody, i w Senacie zasiadający, siadł na koń. Z zarzutu czynionego mu przez Jenerała Chłopickiego, mam nadzieję, że go w poprzednim rozdziale usprawiedliwiłem. Potem widzieliśmy go pod Nurem, przerzynającego się przez przeważne, okrążające go siły nieprzyjacielskie; następnie zasłaniającego armię polską przy jej odwrocie zpod Ostrołęki; niestarającego się nigdy oszczędzić swojej osoby; nieubiegającego się nigdy za wyższemi dostojeństwami, ani za władzą.

Piotr Łubieński także nie wahał się narażać się osobiście przy uspokajaniu miasta 30 Li-

stopada 1830 r. Naczelnictwa Gwardyi Narodowej, jemu z natury rzeczy należnego, jako doraźnemu jej organizatorowi, i z tradycyi jako jej naczelnikowi za czasów Księstwa Warszawskiego, nie wahał się odstąpić Antoniemu Ostrowskiemu, nie biorąc tego za urazę osobistą, i pozostając w tejże gwardyi Szefem Sztabu, to jest podejmując się całej pracy do tej służby przywiązanej. Wprawdzie pod koniec rewolucyi wynagrodzony został krzesłem w Senacie.

O działalności Henryka Łubieńskiego obszernie się w poprzednim rozdziale rozpisałem; powtarzać się nie będę.

Ksiądz Prałat Tadeusz Łubieński pracował gorliwie w zakresie odpowiadającym jego stanowi.

Józef Łubieński, poddany pruski, narażał się swojemu Rządowi, u którego poprzednio był dobrze notowany, jeżdżąc do Paryża i Londynu za interesami Rządu Narodowego, i starając się podejść czujność władz pruskich przy przemycaniu broni wysyłanej z Anglii do Królestwa Polskiego.

Z młodszej generacyi, Kazimierz, Feliks, Stanisław i Paweł Łubieńscy, Wojciech Morawski i Bronisław Skarzyński, oba z Łubieńskich urodzeni, to jest wszyscy z rodziny, którzy

byli zdolni do noszenia broni, służyli wojskowo; Kazimierz odznaczył się odwagą, Feliks był ranny, Stanisław cierpiał niewolę, a Morawski karę więzienia w Prusach.

Wszystkich członków tej rodziny, tak z resztą jak wszystkich obywateli w kraju, wojna 1831 roku naraziła na wydatki, na ofiary i straty, na pokrycie których potrzeba było w roku 1832, sprzedać i naturalnie za bezcen żydom, Pałac w Warszawie do rodziny Łubieńskich należący.

Nie rozumiem przeto dlaczego Pan P. P. zarzuca tym Łubieńskim, iż „robili powinność, bez zapału“. Cóż tedy mieli robić dla udowodnienia zapału? Czy może wygłaszać po honoratkach mowy, pełne zapału, a pozbawione treści?

Podejrzenia także przez Pana P. P. rzuconego na członków rodziny Łubieńskich, jakoby „mieli myśl zapewnienia sobie stanowiska, na przypadek przegranej,“ że „mieli podwójne usposobienie służenia krajowi,“ nie mogę także pozostawić ciążącego na pamięci mojego Ojca, i moich stryjów. A najlepszym dowodem, że nie mieli takiej „myśli“, że nie mieli takiego „usposobienia“, było to, że żaden z nich żadnego stanowiska urzędowego nie zajął, żaden o otrzymanie takiego stanowiska się nie starał, a wszyscy słu-

żyli krajowi, tak, jak na zacnych obywateli przystało.

Jenerał Tomasz wrócił do życia prywatnego i już tylko jako naczelnik domu bankierskiego Bracia Łubieńscy i Spół., oraz wpływem swoim towarzyskim, starał się być krajowi pożytecznym.

Piotr pozostał, tak jak był poprzednio, z wyboru współobywateli, Prezesem Dyrekcyi Szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i członkiem bardzo czynnym Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. W roku 1856 został z wyboru członków i tego Towarzystwa Prezesem. W roku 1861 wezwany został do Rady Stanu do której podług Ustawy, mieli być powoływanymi zasłużeni urzędnicy Towarzystwa Kredytowego; niepodobna zaś było nie uwzględnić 35-cio letniego nieprzerwanego Prezesostwa jego w tem Towarzystwie.

Jan nie opuszczał życia prywatnego, tylko po utworzeniu Rady Głównej Opiekuńczej Zakładów Dobroczynnych, został jej członkiem.

Ksiądz Prałat Tadeusz zatrzymany zrazu przy nadzorze szpitali, uwolnił się od tego zaszczytu jak tylko mógł spokojnie opiekę nad nimi powierzoną zdać utworzonej z jego inicya-

tywy Radzie, której Prezesostwa już nie przyjął. Osiadł też na swojem probostwie w Wiskitkach. Dopiero w r. 1841 został Biskupem Sufraganem, w czasie kiedy prawie wszystkie Stolice Biskupie w Królestwie wakowały, i gotowy zawsze na usługi kościoła i kraju, jeździł po wszystkich dyecezyach spełniać funkcye arcykapłańskie. To też nie wiem czy od czasu, jak Polska chrześcijańską została, którykolwiek Biskup tyle poświęcił kościołów, tyle wyświęcił księży, i tylu wybierzmował wiernych, co on.

Józef był poddanym pruskim, o żadne stanowisko w Królestwie ubiegać się nawet nie mógł, ale w Księstwie Poznańskiem nie zaniedbywał spełniania obowiązków obywatelskich. Zaraz po rozbrojeniu wojska polskiego przez Prusaków, przytulił u siebie, w Pudliszkach, bardzo wielu emigrantów. Adam Mickiewicz i Edward Antoni Odyniec, dłuższy czas wtenczas u niego przesiedzieli. „Pan Tadeusz“ był w znacznej części w tym właśnie czasie pisany. Potem w chwili kiedy wydawnictwo książek polskich w Warszawie i Wilnie prawie zupełnie było ustało, Józef Łubieński łożył na wszystkie wydawnictwa przez Bobrowicza w Lipsku dokonane i na różne wydawnictwa w Lesznie, na czem najniezawodniej żadnej materyalnej korzyści nie

osiągnął. Brał także czynny udział w pracach Dr. Marcinkowskiego i Hr. Macieja Mielżyńskiego, około podniesienia intelektualnego, moralnego i materyalnego poziomu średniego stanu w Księstwie Poznańskiem. Jak tylko w Prusach zwolniał trochę ucisk przeciwko Polakom, w r. 1848, on pierwszy wyjednał u Rządu pruskiego pozwolenie dla emigrantów z r. 1831, osiedlania się w Księstwie Poznańskiem, i znowu gościnne podwoje Pudliszek dla nich otworzył. U niego także pierwszy przytułek znaleźli Ojcowie Towarzystwa Jezusowego, i w jego parafii, w Krobi, pierwszą wygłosili missyą. On także chcąc stosunkami w roku 1831, w Londynie pozawiązywanymi, dopomódz usiłowaniom grona młodych ludzi, ujęcia w ręce polskie handlu, w naszym kraju w ręku niemców i żydów wyłącznie się znajdującego, założył w Gdańsku dom handlowy pod firmą „Łubieński &. Comp“. Ci młodzi ludzie byli Wolicki, Konstanty Pruszak, Oborski, Jawornicki i inni. Niepowodzenia Domu Gdańskiego, spowodowane głównie przez nieoględność i niedoświadczenie tych współpracowników, w chwilach kryzysów zbożowych w Londynie, stały się dla Józefa Łubieńskiego powodem utraty bardzo znacznego majątku.

Jeden tylko ze wszystkich siedmiu braci, Henryk pozostał po rewolucyi na urzędo-

waniu Dyrektora Banku Polskiego, które przed rewolucyą i podczas rewolucyi zajmował. Nie supponuję ażeby mu z tego powodu jakiś zarzut mógł być czynionym. Nie on jeden był w tym samym wypadku. Tak samo uczynili Adam Łęski, Fryderyk hr. Skarbek, Wacław Łuszczewski, i tylu innych, których nikt nigdy nie podejrzywał, ażeby nie mieli być dobrymi polakami. Henryk Łubieński pozostał wtenczas na tem urzędowaniu, w poczuciu spełnienia ciężkiego obowiązku względem swojego kraju, za co już wtenczas przewidywał, jak to dowodzi list z dnia 31 Grudnia 1831 r. pisany do jednego ze swoich dawnych przyjaciół Tytusa Brezy, że mu kiedyś przypadnie w udziale „wygnanie, śmierć lub sromota". Karyery też żadnej nie szukał i nie zrobił. Po skonstatowaniu w r. 1832, wyemigrowania Prezesa Banku Jelskiego, na Prezesostwo awansował Wice Prezes Lubowidzki, a jego miejsce zajął Henryk Łubieński. To mu się z samego prawa należało. Mianowany został potem rzeczywistym Radcą Stanu, i ozdobiony wstęgami orderów Śgo Stanisława i Śtej Anny. Ale to odpowiadało zaledwie zasadzie przyjętej w służbie rosyjskiej, że każdy urzędnik powinien co trzy lata otrzymać awans, order lub gratyfikacyę. Henryk Łubieński starając się zawsze być krajowi użytecz-

nym, nie starał się nigdy korzystać ze sposobności mogących mu, pod względem karyery być użytecznemi. I tak w czasie słynnej rewii wojsk rosyjskich pod Kaliszem, Cesarz Mikołaj miał ostatecznie zdecydować kwestyę oczynszowania włościan w dobrach rządowych w Królestwie, i kwestyę donacyi Jenerałom rosyjskim. Książe Namiestnik sprowadził tam Dyrektora Głównego Komisyi Skarbu Fuhrmana, dla dania ostatecznych wyjaśnień. Fuhrman wziął ze sobą Henryka Łubieńskiego jako doradcę, a Henryk Łubieński nie postarał się tam nawet o to, ażeby być przedstawionym Cesarzowi. Albo np. Bank Polski corocznie, a nawet kilka razy do roku, posyłał swoich urzędników do Petersburga, za różnymi interesami. Henryk Łubieński ani razu się nie postarał o to, coby mu oczywiście odmówionem być nie mogło, ażeby jemu to komisoryum powierzone zostało, co byłoby mu dało sposobność pozawiązywania tam stosunków dla karyery użytecznych. A jednak, umiał, jak tego było potrzeba stosunki zawiązywać i takowe pielęgnować.

Po wzięciu Warszawy, najważniejszym chwilowo w Warszawie urzędnikiem, był Warszawski Jenerał Gubernator. Był on bowiem przy Głównodowodzącym a następnie przy Namiestniku, tym urzędnikiem, do którego odnosiły się wszystkie

interesa polityczne. A wtenczas interesa polityczne szły przed wszystkimi innymi. Jenerał Gubernatorem był natenczas Jenerał Witt, syn Komendanta, za czasów Rzeczypospolitej, twierdzy Kamieńca Podolskiego, z Greczynki która następnie wyszła za Szczęsnego Potockiego. Henryk Łubieński znał Witta osobiście, bo się z nim spotykał na Podolu kiedy się sam o rękę Ireny Potockiej w Dymidówce starał. Między Dymidówką bowiem, własnością Konstancyi Potockiej córki Szczęsnego Potockiego, a Tulczynem, gdzie Witt u swojej matki często przesiadywał, bardzo częste stosunki bywały. Teraz zbliżyły go znowu do Witta nie tylko dwa śledztwa, o których później opowiem, ale i ta okoliczność, że Witt chciał koniecznie napowrót do kraju sprowadzić brata swojego przyrodniego Aleksandra Potockiego, który opuściwszy stopień pułkownika Gwardyi Cesarskiej, i ogromną fortunę na Ukrainie Humańszczyznę, przyjechał do Warszawy, aby wypłacić swój dług ojczyznie zaledwie na kilka tygodni przed kapitulacyą Warszawy. Do wojska przeto już nie wstąpił, ale z wojskiem wyemigrował i bawił u siostry swojej przyrodniej Konstancyi 1° voto Potockiej, 2° voto Raczyńskiej, teści Henryka Łubieńskiego w Rogalinie, w Księstwie Poznańskiem. Wittowi nie wypadało korespondować

wprost i po bratersku z emigrantem, więc używał do tego pośrednictwa Henryka Łubieńskiego.

Bezpośrednim zwierzchnikiem Banku Polskiego był, nienoszący już tytułu Ministra, Dyrektor główny Komisyi Rządowej Przychodów i Skarbu. Urząd ten powierzony został Tajnemu Radcy Fuhrmanowi, który z niemieckiego pochodzenia, ale zupełnie zruszczały, nie umiał ani słowa po polsku. Wice-Prezes, a późniejszy Prezes Banku Lubowidzki, chociaż człowiek wysoko wykształcony, nie władał jednak tak biegle językami którymi można się było z Fuhrmanem ustnie porozumiewać. Załatwiania przeto tych codziennych, ustnych stosunków Banku z Dyrektorem Głównym, musiał się podjąć Henryk Łubieński. Stosunek ten ułatwiała mu jeszcze ta okoliczność, że Fuhrman bardzo lubił przesiadywać w swojem gronie familijnem, tam go też najczęściej Henryk Łubieński znajdował. A Fuhrman był żonaty z Engelhartówną, córką byłego Prezesa Rady Najwyższej Tymczasowej, która zarządzała Księstwem Warszawskiem, od zajęcia tego kraju przez wojska rosyjskie w r. 1813, aż do uorganizowania władz Królestwa Polskiego utworzonego w r. 1815. Henryk Łubieński, bawiący przez ten czas przy ojcu w Paryżu, kilka razy przyjeżdżał do Warszawy po pieniądze, by-

wał też wtenczas u Engelharta i widywał u niego młodą jeszcze panienkę, jego córkę, późniejszą Fuhrmanowę która z tych czasów miłe zachowała wspomnienie.

Stanowisko Fuhrmana przy Paszkiewiczu, było tem jeszcze wzmocnione, że w owym czasie bardzo mało było osób w Rosyi dobrze po rosyjsku pisać umiejących. Styl rosyjski, z wyjątkiem kilku pierwszorzędnych pisarzy, dopiero co był przeszedł z typu cerkiewnego, w typ kancelaryjny. Używano w pisaniu peryodów tak długich, że zanim się dochodziło do końca, początek zupełnie z pamięci wychodził. Fuhrman był natenczas najlepszym redaktorem w rosyjskim języku w Warszawie, a obok tego był człowiekiem już niemłodym i dyskretnym. Używał go też Paszkiewicz, nie jako Dyrektora Głównego Komisyi Skarbu, ale zupełnie prywatnie, do redagowania swojej korespondencyi poza urzędowej z Cesarzem, która była bardzo ożywiona i do której Paszkiewicz bardzo wielką naturalnie przywiązywał wagę. Ale dla pisania o interesach, nawet w kierunku wskazanym, potrzeba było znać interesa, znać stosunki krajowe, znać prawa i przepisy obowiązujące. Nie znał ich Paszkiewicz, nie znał ich także i Fuhrman. Ten ostatni wolał się o nich informować u Henryka Łubieńskiego, którego codziennie wi-

dywał, aniżeli u urzędników swoich podwładnych z Komisyi Skarbu. Bo liczył na dyskrecyą Henryka Łubieńskiego i ten go też informował dokładnie i swobodnie, a nie wykrygowany przed nim z trwogą. To jednak okazało się niedostatecznem. Paszkiewicz nie podpisywał referatów których nie rozumiał. Fuhrman bywał dostatecznie o interesach poinformowany, ażeby korespondencyę napisać, ale nie znał ich dosyć ażeby odpowiadać na wszystkie pytania przez Paszkiewicza mu stawiane. Przyszło niezadługo do tego, że Fuhrman z temi ustnemi objaśnieniami, posyłał do Namiestnika Henryka Łubieńskiego.

Ale Paszkiewicz był wielki służbista. Henryk Łubieński nie miał takiego stanowiska urzędowego, ażeby mógł w godzinach audyencyonalnych, z teką pod pachą do Namiestnika przychodzić; miał zaś stanowisko towarzyskie, dozwalające mu przychodzić wieczorami do salonu Księżny Paszkiewiczowej. Chodził też tam przez długie lata prawie codziennie. Paszkiewicz grywał co wieczór w karty, Henryk Łubieński do partyi nie należał. Nie po to tam przychodził. Wyczekiwał tylko chwili, kiedy Paszkiewicz z gry wychodził, dla rozmówienia się z nim natenczas często na partykularzu. Wyczekując, starał się, jak mógł, Księżnę zabawiać. Wprowadzono wtenczas

w użycie małe pochyłe bilardziki, chińskiemi, jeżeli się nie mylę, zwane. Księżna lubiła grywać na nich z Henrykiem Łubieńskim, bo jej jakoś w tej grze dziwnie szczęście służyło, każdego wieczora wygrywała około dziesięciu dukatów, co jej niemałą satysfakcyę sprawiało.

Te także codzienne stosunki Henryka Łubieńskiego z Namiestnikiem, z Dyrektorem Głównym Komisyi Skarbu, z Jenerałem Gubernatorem, wywierały na cały zastęp podwładnych im urzędników w kraju ten skutek, że każdy z nich gotów był zrobić dla Henryka Łubieńskiego wszystko co tylko się dało, a to tem bardziej, że Henryk Łubieński starał się i umiał wywdzięczyć się za uczynność każdego, i to nie czczą grzecznością, albo jakiemiś tajemnymi a mniej godziwymi sposobami, ale zawsze w sposób dla każdego najpożyteczniejszy. Nie małą mu też w tej mierze pomocą było to, że został wybrany Dyrektorem Resursy Kupieckiej, założonej przed samą rewolucyą z inicyatywy Piotra Szteinkellera, przy współdziałaniu wielu osób, a w ich liczbie Henryka Łubieńskiego, i Jenerała Tomasza Łubieńskiego późniejszego jej Dyrektora. Był to może najświetniejszy peryod egzystencyi Resursy Kupieckiej. Henryk Łubieński starał się o urozmaicenie i o ożywienie zabaw. Sciągał też na

nie Namiestnika i innych dygnitarzy. Niżsi urzędnicy poczytywali sobie za szczęście, możność spotkania tam wysoko położonych osób. Przytem jednak, Henryk Łubieński przestrzegał bardzo surowo doboru zbierającego się tam towarzystwa. Pamiętam n. p., jak razu jednego, za odmówienie biletu na jakiś bal, nie wiem już komu, o mało nie przyszło do pojedynku między Henrykiem Łubieńskim a Panem (jeżeli się w nazwisku nie mylę) Bauerem, fabrykantem kart na placu Sgo Aleksandra, w tym domu w którym się obecnie mieści dystylarnia Schneidera.

Te wszystkie stosunki zawiązywały się nie skutkiem jakiejś „namiętności czynu lub wpływu“ jak to suponuje Pan P. P., ale zupełnie naturalnie, prawie z konieczności. A do ich zawiązywania i utrzymywania, oprócz wrodzonej uprzejmości i uczynności, posłużyło Henrykowi Łubieńskiemu to, że twardy dla siebie, nigdy się w niczem nie lenił. Z tych wszystkich stosunków dla siebie nigdy żadnej korzyści wyciągnąć nie starał się, ale one dawały mu możność oddawania najrozmaitszych usług najrozmaitszym osobom. A ileż to było wtenczas osób w kraju potrzebujących uporządkowania różnych stosunków z władzami rządowemi. Jedni potrzebowali ażeby ślady ich czynniejszego udziału w rewolucyi zostały zatar-

temi; drudzy przeniesienia ich z jednej kategoryi politycznie skompromitowanych do innej, mniej uciążliwemu nadzorowi policyi podlegającej; inni znowu potrzebowali ratować szczątki majątków od grożącej im konfiskaty, i tak dalej i tak dalej. Zgłaszali się też do Henryka Łubieńskiego znajomi i nieznajomi, prosząc o radę, o protekcyę, o pomoc. Wysłuchał on każdego cierpliwie, wiedział do kogo należy każdego zaadresować, i jak do tej osoby trafić. Nie lenił się też i nie obawiał sam za tymi interesami chodzić. Wstawianie się jego tem było skuteczniejsze, że wszyscy wiedzieli o jego zupełnej bezinteresowności. Ta uczynność Henryka Łubieńskiego sprawiła, że przez cały szereg lat po roku 1831, nie było prawie interesu w kraju, któryby się o niego jakoś nie oparł. Mieszał się tedy rzeczywiście Henryk Łubieński do każdej prawie sprawy, ale nie słusznie Pan P. P. dodaje, że czynił to „potrzebnie czy niepotrzebnie". Mieszał się do nich bowiem o tyle tylko, o ile go o to proszono i o ile mógł być użytecznym. Ale codziennie niemal proszono go o to, i umiał być pożytecznym, bo nikt lepiej od niego nie umiał położenia rzeczy i charakterów osób tak trafnie i tak prędko ocenić, sprzeczne na pozór interesa pogodzić, przeszkody materyalne i moralne nawet pousu-

wać, szorstkości i obraźliwości łagodzić. Nikt sobie też tak chętnie, tak bezinteresownie i tyle pracy w cudzych interesach nie zadawał jak on, i to było powodem jego w kraju znaczenia i wzięcia.

Bank Polski po rewolucyi listopadowej.

Zaledwie Henryk Łubieński powrócił z pod Brodnicy do Warszawy z kasą Banku Polskiego, po uratowaniu jej od grożącego jej tam niebezpieczeństwa, potrzeba było ratować egzystencyę samej tej instytucyi.

Wiadomo bowiem wszystkim, że nie można prowadzić wojny bez pieniędzy. Rząd rossyjski wiedział z raportów dyplomatycznych, że negocyowane przez Rząd narodowy za granicą pożyczki nie doszły do skutku. Władze co kraj zajęły, przekonały się że Rząd narodowy nie pozostawił żadnych rachunków nie popłaconych. Wiadomo było, że potrzebne na to fundusze dostarczał Bank Polski. Wiadomo także było, że uposażenie Banku nie tak wielkie było a jego prawo emissyi biletów bankowych bardzo ściśle Ustawą Banku ograniczone. Ztąd wyradzała się bardzo naturalna supozycya, że Bank Polski pod naciskiem potrzeb skarbowych, albo przekroczył granicę emissyi

Ustawą mu dozwolonej, albo że naruszył nietykalności depozytów w nim złożonych.

Na Banku ciążyło inne jeszcze podejrzenie. Wiedziano także z relacyj dyplomatycznych, że Bank zajmował się przez swoich agentów Józefa i Leona Łubieńskich, kupnem broni w Anglii dla wojska polskiego i przemycaniem jej jako kontrabandę przez Prusy. Ile jednak tej broni było zakupionej i co się z nią stało, czy nie pozostały jeszcze w kraju lub za granicą jakie składy broni ukryte i oczekujące na potrzebę jakiegoś nowego powstania, o tem nie wiedziano.

Te wszystkie pytania nasuwały się naturalnie podejrzliwym władzom rosyjskim i gdyby te podejrzenia okazały się uzasadnionemi, Bank Polski byłby niezawodnie natychmiast zwiniętym. Dla zbadania tych kwestyi wysadzone zostały dwie specyalne komisye przed któremi Bank Polski, a raczej Henryk Łubieński, musiał się tłomaczyć. Ale jaknajporządniej zawsze utrzymywane rachunki, kontrole i korespondencye udowodniły, że Bank nie wypuścił w obieg ani na jeden Złoty polski więcej Biletów Bankowych aniżeli miał do tego prawo, że żaden depozyt nigdy naruszonym nie został, że wszystkie przez Bank na cele rewolucyjne czynione

wypłaty następowały z funduszów własność Rządu stanowiących, i tylko za najformalniejszemi asygnacyami tych władz, które tymi funduszami dysponować miały prawo; dalej, że broń za granicą z polecenia Rządu narodowego przez agentów Banku Polskiego zakupiona, o tyle, o ile do kraju wprowadzoną została, albo oddaną była władzom wojskowym polskim, albo też już się znajdowała w posiadaniu władz wojskowych rosyjskich; ta zaś jej część, która się jeszcze za granicą znajdowała, zwróconą została dostawcom z bardzo nieznaczną dla Skarbu stratą. Jasność i dokładność dowodów dostarczonych przy obu tych śledztwach, tak przez Bank Polski jak i przez inne władze administracyjne w Królestwie, przekonały feldmarszałka Paszkiewicza i cesarza Mikołaja, że pomimo rewolucyi, pomimo detronizacyi, i wojny, wszystkie w ogóle Władze rządowe w Królestwie Polskiem funkcyonowały przez cały czas zawieruchy krajowej zupełnie prawidłowo. Rezultat tych śledztw uratował nietylko egzystencyę Banku Polskiego, ale także całego ustroju Władz zarządu cywilnego krajowego, od przewrotów które go dopiero po powstaniu 1863 roku dotknęły.

Pogłoska o tych śledztwach i o zagrożeniu egzystencyi Banku Polskiego, spowodowała chwi-

lową obawę, żeby Bilety bankowe, a zwłaszcza bilety jednozłotówkowe, w czasie rewolucyi z odmiennym herbem w obieg puszczone, nie zostały przy ich wymianie kwestyonowane. Znaleźli się naturalnie i w Warszawie i na prowincyi, tak jak zawsze w takich wypadkach bywa spekulanci, zwiększający z umysłu popłoch dla skorzystania z niego. Czy Kośmiński do ich liczby należał, jak to twierdzi były urzędnik, na pamiętnikach którego osnuły się „Kartki z dziejów Banku Polskiego“ pomieszczone w Dodatku miesięcznym do Przeglądu Tygodniowego, nie wiem, i o tem nigdy nie słyszałem. Ale tę okoliczność pamiętam doskonale, że przez kilka dni popłochu Henryk Łubieński osobiście przy okienku wymiany biletów bankowych w kasie Banku po całych dniach przesiadywał, dla pilnowania ażeby w tej wymianie żadna zwłoka nie zachodziła ani żadne kwestye czynionemi nie były. Niepodobnaby także prawie było, ażeby baczności Łubieńskiego uszło było działanie Kośmińskiego, gdyby tenże był wtenczas na deprecyacyi papierów bankowych spekulował, ani też, ażeby był na to obojętnie patrzał. Tymczasem ten sam Kośmiński był potem entreprenerem budowy spichrza bankowego w Modlinie, później przy pomocy Banku zadzierżawił dochód konsumpcyjny

w Warszawie, i dorobił się pokaźnego majątku, kupił Dobra Nasielsk i postawił dużą kamienicę przy ulicy Grzybowskiej, lecz później wszystko to stracił.

Przy ratowaniu Banku Polskiego, potrzeba było myśleć o ratowaniu kraju. Najpilniejszą jego potrzebą było, ażeby zasiewy wiosenne i jesienne w 1832 roku, były dobrze zrobione; bez tego zagrażałyby krajowi ruina i głód. A tu w ciągu kampanii 1831 roku bardzo wiele wołów roboczych w Królestwie zostało przez obie armie zjedzonych. Wojska wprawdzie płaciły za zabierane woły, ale te pieniądze się rozchodziły; zresztą nie było możności zakupienia w kraju tak znacznej ilości bydła. Sprowadzanie wołów gdzieś z daleka, było zbyt uciążliwe dla każdego prywatnego z osobna. Sprowadzanie ich w wielkich partyach, zanimby się ich ceny znacznie nie podniosły, przechodziło i przedsiębierczość i możność nawet zwykle wołami handlujących kupców. Bank Polski sam się tym interesem zajął. Już w roku 1831 rozesłał agentów za kupnem wołów, na przeddnieprzańską i zadnieprzańską Ukrainę. W r. 1832 sprowadził ich jeszcze więcej, i rozdał je obywatelom ziemskim na kilkoletnie rozpłaty. Gospodarstwa rolne w kraju uchronione zostały od upadku. Ale ta robota wcale nie była łatwą.

Wynalezienie agentów na zaufanie zasługujących, zakupno większych ilości bydła bez wywołania zbytecznego podwyższenia ich ceny na miejscach ich produkcyi, sprowadzenie ich w dużo większej ilości od tej na jaką przygotowane były przyjmować etapy na traktach któremi bydło w tym kierunku pędzane bywało, polokowanie je tymczasowo na przekarmienie przed ich rozdaniem, — to były zadania nie łatwe do wykonania. Kilku z pomiędzy agentów do tego interesu użytych, nie wyrachowało się jak się należy z zaliczeń na ten cel od Banku otrzymanych. Ci których nazwiska pamiętam, bo ich rachunki sam później regulowałem, Eizyk Schönberg i Halpert, pozostali dłużnymi Bankowi Polskiemu kilkakroć sto tysięcy złotych polskich. Henryk Łubieński mniemając, że gdy on sam tych agentów wybierał i sam tem całem przedsięwzięciem kierował, strata ta, nie Bank Polski ale jego osobiście dotknąć powinna, przyjął więc ten dług na siebie. Był to pierwszy dług jego w Banku Polskim, a może i pierwszy błąd przez niego w własnych interesach popełniony.

Po zabezpieczeniu zasiewów, potrzeba się było wrócić do przedrewolucyjnego zadania, ułatwiania zbytu produktów rolnych. W tym celu potrzeba było ułatwić ich wywóz przez wydosko-

nalenie środków komunikacyjnych i starać się o powiększenie ich miejscowej konsumcyi przez wytworzenie ludności fabrycznej. Przed rewolucyą Ministrowie hrabia Mostowski i książe Lubecki, zaczęli już nad zaspokojeniem tych potrzeb krajowych pracować; obaj rozumnie i sumiennie, i każdy z odcieniem swojego charakteru, Mostowski samolubstwa, Lubecki samowładzy. Po rewolucy i spadkobiercą ich zamiarów pozostał jeden tylko Łubieński, i tej pracy oddał się z natężeniem, wytrwałością i poświęceniem, które jego znowu charakteryzowały.

Budowa dróg bitych postanowioną była jeszcze przed rewolucyą, pomimo opozycyi wnoszonej na Sejmie przez posła Łęczyckiego Starzyńskiego, który wołał, „że to nieprzyzwoicie nawet po drogach murowanych jeździć do naszych miasteczek drewnianych“. Dla usunięcia tej opozycyi Rząd dał mu pożyczkę hypoteczną, nibyto na dźwignięcie jego dziedzicznego miasta Ozorkowa. Budowa dróg bitych powierzoną była jeszcze przed rewolucyą Bankowi Polskiemu, tak jak w Prusach powierzoną była See-Handlungowi. Rewolucya wstrzymała roboty. Zaraz po rewolucyi wzięto się do niej napowrót. Przedsiębiercami robót byli prawie wyłącznie obywatele tych okolic, w których drogi te budowane były. W ciągu

łat kilku główne trakty zostały pokończone i drogi były doskonałe. Popsuły się dopiero po roku 1863, kiedy entrepryza konserwacyi, najprzód zanadto zcentralizowana, przeszła rzeczywiście w ręce drobnych prowincyonalnych żydków. Niebawem też Steinkeller zaprowadził po głównych traktach dyliżanse do dziś dnia Steinkellerkami zwane. I z tych dróg bitych nietylko Królestwo Polskie skorzystało. Miasto Białystok, winno po części rozwój swoich fabryk, zbudowaniu szosy Tykocińskiej. Projektowana przed rewolucyą regulacya koryta Wisły, nie doszła do skutku jak to już mówiłem, z powodu przeszkód jakie Rząd pruski wciąż tworzył systematycznie, od dawna sprzeciwiając się rozwojowi bogactwa w kraju naszym. Natomiast, także staraniem Banku Polskiego wykonaną została budowa Kanału Augustowskiego. Rozpoczęta przed rewolucyą kanalizacya rzeki Kamionnej, nie mogła być doprowadzoną do skutku, dla przyczyn które później opowiem.

W kilka lat potem, Henryk Łubieński skorzystał ze swoich własnych stosunków i z wpływu jaki u Namiestnika miał Jenerał Rautenstrauch, ówczesny Naczelnik zarządu komunikacyj lądowych i wodnych i Dyrektor Teatrów Warszawskich, (słynnych z doboru artystów, i z wielkiej

wprawy baletu), dla wyjednania upoważnienia do budowy Drogi Żelaznej Warszawsko Wiedeńskiej. Droga ta była jeżeli się nie mylę, szóstą koleją żelazną przedsięwziętą na kontynencie europejskim. Przed nią koncesyonowane i wybudowane zostały tylko krótkie linie Lyon-St Etienne, Paryż-Versal, Nürnberga-Fürt, Drezno-Lipsk, i Berlin-Potsdam. Droga Warszawsko-Wiedeńska była pierwszą w Europie dłuższą linią. Koncesyonaryuszami tej drogi byli, zawsze przedsiębierczy Piotr Steinkeller, i zawsze gotów do usług publicznych Dom Braci Łubieńskich i Spół. Dokończeniu budowy tej drogi w terminie przez koncesyonaryuszów zamierzonym i dokończeniu jej przez tychże samych koncesyonaryuszów, przeszkodził Maurycy Coniar, Administrator czyli dzierżawca fabryk Rządowych Żelaznych.

Coniar, był jednym z trzech finansistów sprowadzonych z Rosyi przez Księcia Lubeckiego, w celu powierzenia im administracyi poręczających, (fermes générales), monopolu tabacznego i dochodu konsumpcyjnego przez niego w Królestwie wprowadzonych. Finansistami tymi byli Coniar, Halpert i Nowachowicz. Ten ostatni otrzymał dnia 29 Listopada 1830 roku w chwili kiedy się na teatr wybierał, list zawiadamiający go że tegoż wieczora wybuchnie rewolucya. Zamiast

pojechania na teatr, wyjechał natychmiast do Petersburga, i już stamtąd do Warszawy nie wrócił. Halpert umarł w Warszawie przed rewolucyą jeszcze. Zostawił kilku synów, którzy zupełnie spolszczeli. Najstarszy z nich Ludwik, służył nawet podczas rewolucyi w wojsku polskiem, i później wybranym został na Dyrektora Resursy kupieckiej; młodsi jego bracia byli także w Warszawie znani i lubieni. Trzecie ich pokolenie, obecnie żyjące, wybitniejsze jeszcze stanowiska zajmuje. Coniar człowiek tak oszczędny, że o nim mówiono że przez całe życie swoje zawsze kapitalizował swoje coroczne dochody, a wydawał tylko procenty od tych dochodów, dorobił się bardzo na owe czasy znacznego majątku. Była chwila, iż miał złożonych w Banku Polskim na procent 12,000,000 złotych polskich, co na owe czasy bajeczną summę stanowiło; a oprócz tego miał inne interesa i jak kto potrzebował jakiego rodzaju papierów procentowych, mógł je zawsze u niego znaleść. Żonaty był z rosyanką, z dobrego domu. Miał skutkiem tego stosunki w Petersburgu i miał kilka bardzo pięknych córek. W domu swoim przyjmował wyłącznie towarzystwo rosyjskie, to jest wojskowych i urzędników cywilnych Rosyan zamieszkałych w Warszawie. Przez nich miał także wpływy u Namiestnika. A tak skutkiem

pochodzenia swojego, jak równie skutkiem ciągłego obcowania z Rosyanami, przyzwyczajony był do procedury rosyjskiej w interesach.

Otóż koncesionaryusze Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, Steinkeller i Bracia Łubieńscy i Spół. zamówili szyny do budowy tej drogi potrzebne w Anglii i umówioną za nie należytość mieli zapłacić Akcyami Towarzystwa tej Drogi Żelaznej. Coniar dowiedziawszy się o tem, wystąpił do Namiestnika ze skargą o to, że umowa w przedmiocie dostawy szyn w Anglii zawarta pozbawia jego, a raczej administrowane przez niego Fabryki Żelazne Rządowe bardzo znacznego i korzystnego obstalunku. Jednocześnie postarał się o to, ażeby policya tajna zwróciła uwagę najwyższej w kraju władzy na niebezpieczeństwo powierzenia kompanii prywatnej prawa dyspozycyi nad tak licznym zastępem rzemieślników i wyrobników jakim rozporządzać będzie Dyrekcya Drogi żelaznej. Bo policya tajna jest zawsze i wszędzie, bardzo potężnem narzędziem intrygi w ręku osób, które umieją się z nim obchodzić. To też Namiestnik zabronił koncesionaryuszom Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej sprowadzania relsów z zagranicy. Coniar zaś nie był wcale w stanie wyrabiać relsów, byłby się dopiero musiał do tego przygoto-

wać przez stosowne przekształcenie fabryk. A w każdym razie, odmówił stanowczo przyjęcia zapłaty za nie akcyami Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Akcye Dróg Żelaznych były natenczas na wszystkich jeszcze giełdach nowością. Wmieszanie się Rządu, i to wcale nie życzliwe, do obstalunków przez Dyrekcyą tego Towarzystwa czynionych, zdyskredytowało ostatecznie akcye Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Szteinkeller i Bracia Łubieńscy i Spół. zmuszeni byli rozwiązać Towarzystwo i zrzec się Koncesyi. Wyjednali zaledwie od Rządu zwrót akcyonaryuszom wniesionych przez nich pieniędzy. Sami jednak nie otrzymali zapłaty za akcye, które im były przyznane aktem koncesyi, jako wynagrodzenie za koszta studyów przygotowawczych tej Drogi, za koszta organizacyi Towarzystwa, i za koszta Dyrekcyi od założenia do czasu rozwiązania tego Towarzystwa. Szteinkeller likwidując później swoje rachunki z Bankiem Polskim, zcedował mu swoję pretensyą do Rządu z tego tytułu. Domowi Braci Łubieńskich i Spół. należytość ta nigdy zwróconą nie została. — We dwa czy trzy lata dopiero po rozwiązaniu Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, Rząd zabrał się do jej wykończenia. Dokończoną została w roku 1847,

a w r. 1857 oddaną w dzierżawę teraźniejszemu Towarzystwu Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Te szczegóły muszą być wiadome, żyjącym dotychczas, panu Juliuszowi Wertheimowi który wtenczas pracował w interesach Szteinkellera i panu Mecenasowi Wincentemu Majewskiemu o którego się wtenczas wszystkie ważniejsze interesa w kraju opierały. On także będzie mógł poświadczyć wszystko w ogóle, co w tym rozdziale opowiadam, jemu bowiem te wszystkie szczegóły jeszcze lepiej będą wiadome, aniżeli mnie samemu.

Nietylko komunikacye w Królestwie Polskiem zajmowały Łubieńskiego. Granica celna między Cesarstwem Rosyjskiem a Królestwem Polskiem nie była jeszcze otwarta. Można było jednak już wtenczas przewidywać, że Cesarstwo stanie się głównym rynkiem dla zbytu wyrobów przemysłu w Królestwie. Ale stan dróg w Cesarstwie był najopłakańszy. Oprócz szos spacerowych w okolicy Petersburga, istniały tylko szose z Petersburga do Warszawy i z Petersburga do Moskwy. Henryk Łubieński zorganizował konsorcyum bankierów krajowych i zagranicznych, do których grona wszedł także Rzeczywisty Radca Stanu Miłkiewicz, Rosyanin, poprzednio wojskowy, następnie urzędnik cy-

wilny wtenczas już dymisyonowany, różnymi przemysłami się zajmujący, mający między innemi udziały w kopalniach złota w Syberyi. To konsorcyum zaproponowało Rządowi Rosyjskiemu wybudować swoim kosztem 12,000 wiorst szosy w różnych kierunkach w Cesarstwie. Robotami mieli kierować inżynierowie Polacy. Propozycya nie została przyjętą. Niektóre jednak z tych dróg bitych później kosztem Rządu wybudowane zostały. Szosa z Brześcia Litewskiego do Moskwy, pod kierunkiem pułkownika inżynieryi Berskiego, który jej studya dla tego konsorcyum był robił i po jej skończeniu do rangi Jenerała był podniesiony.

Mówiłem dopiero co o Coniarze administratorze Fabryk Rządowych Żelaznych, muszę przeto zaraz mówić o Górnictwie Rządowem, tembardziej iż praca Henryka Łubieńskiego nad rozwojem Górnictwa Rządowego, była jedną z ważnych gałęzi pracy jego około rozwoju przemysłu krajowego.

Rząd w Królestwie był właścicielem, jak to już mówiłem, w różnych dobrach swoich, wielu kopalń i hut metalurgicznych, będących w stanie zupełnie pierwiastkowego rozwoju. Książe Lubecki, jako Minister Skarbu, chciał tym źródłom bogactwa krajowego nadać większe

znaczenie. Użył do tego specyalnie, pracującego przy nim już od niejakiego czasu, urzędnika wielkich zdolności, Piotra Michałowskiego. Roboty rozpoczęto na różnych punktach. Pieniądze potrzebne czerpano z Banku Polskiego. Sposób ich zwrotu miał być dopiero następnie obmyślony. Rewolucya wstrzymała te roboty. Po rewolucyi książe Lubecki nie wrócił do władzy. Michałowski emigrował jak tylu innych. Bank Polski zaczął się upominać u Rządu o uregulowanie rachunku zaliczek poczynionych na Górnictwo Rządowe. Takowe nie było już nawet w stanie pierwiastkowego rozwoju, ale raczej w stanie przejściowego rozstroju. Z pomiędzy urzędników Komisyi Skarbu i Dyrekcyi Górnictwa Rządowego, żaden nie zdołał wzbudzić we Władzach wyższych zaufania, że potrafi tym interesem pokierować. Szkoda zaś było i dawnych dochodów z tego źródła, i kapitałów już w ten interes włożonych. Dlatego też Rada Administracyjna Królestwa Polskiego w roku 1833 postanowiła, powierzyć Bankowi Polskiemu Dyrekcyą Górnictwa Rządowego, dla dokonania reorganizacyi tego źródła dochodów skarbowych, rozpoczętej przed rewolucyą. W tem postanowieniu nie były wcale wskazane granice, w jakich rozwój tego interesu ma być utrzymany. Dyrekcyę Wydziału

Górniczego w Banku Polskim objął Henryk Łubieński, zatrzymując Dyrekcyę Wydziału Przemysłu, oddzieloną od Dyrekcyi Wydziału Handlu, która powierzoną została Radcy Stanu Niepokojczyckiemu.

Dla przemysłu hutnictwa żelaznego była to chwila bardzo ważna. Właśnie wtenczas wynaleziono metodę pudlingowania, szwajsowania i walcowania żelaza, zastępującą dawne fryszerki. Podług tej metody można było wyrabiać żelazo taniej i na większą skalę, ale jej zastosowanie wymagało znacznych nakładów. Ten wynalazek musiał wpłynąć na zmodyfikowanie planów organizacyi górnictwa wypracowanych za czasów Księcia Lubeckiego. Pierwszą pudlingarnię i walcownię w Królestwie założyła w Niwce pod Będzinem, jednocześnie z powstawaniem podobnych zakładów na Górnym Szlązku, spółka prywatna, już nie pamiętam pod jaką firmą zawiązana; pamiętam tylko że do niej należeli Lipski, Szuppe i Fritsche, młodzi i pełni nadziei inżynierowie górniczy Polacy. Drugą taką fabrykę założyła w Chlewiskach pod Szydłowcem także spółka prywatna, pod firmą: Lipski, Klimkiewicz i spół. Obie te spółki, pomimo silnego wspierania ich przez Bank Polski, nie zdołały przetrzymać strat, jakie brak doświadczenia po-

woduje w każdym prawie nowym przemyśle. Bank kupił następnie zakład w Niwce dla górnictwa rządowego. Koleje przez jakie przechodziły fabryki Chlewiskie opowiem później. Ale po próbach w tych zakładach odbytych, Bank Polski zdecydował się założyć walcownie żelaza w Hucie Bankowej pod Będzinem, w Sielpi pod Suchedniowem i w Nietulisku pod Kunowem. Powiększył także ilość wielkich pieców rudę żelazną przetapiać mających. Zakłady te miały etatowo wyrabiać 500,000 centnarów żelaza. Odbyt na to żelazo był z natury rzeczy wskazany w zachodnich guberniach Cesarstwa rosyjskiego, które żelaza wcale nie produkowały i musiały je sprowadzać albo z Anglii, obłożone znacznem cłem, albo też z Uralu, po dwuletniej wędrówce na wspaniałych, ale przez pół roku zamarzniętych rzekach, i po drogach, na których transporty stawały się możliwymi dopiero gdy się na nich tor śnieżny ustalał.

Zarzucano budowanym przez Bank fabrykom żelaznym, że były zbyt kosztownie budowane. Nie przeczę, że budowle te były kosztowniejsze od wznoszonych jednocześnie przez prywatnych właścicieli fabryk, jakimi byli Krygar, Bocheński, Kotkowscy i inni. Ale przeczę ażeby pobudką do tak kosztownego budowania, miało być mo-

tywem cytowanej przez pana P. P. odpowiedzi Henryka Łubieńskiego: „Co wam to szkodzi że fabryki drogo kosztują, te miliony w kraju zostaną, będziemy mieli fabryki i ludzi bogatych“. Odpowiedź taka była rzeczywiście dana, ale komu? bardzo wtenczas jeszcze młodemu, bardzo przez nas wszystkich kochanemu i osobiście panu P. P. znajomemu, powinowatemu Henryka Łubieńskiego, który później wyrobił się na bardzo znakomitego obywatela, ale który się na fabrykach wcale nie znał, a był wtenczas takim statystą, że chwalił się właśnie Henrykowi Łubieńskiemu, iż potrzebując krokiew do budowy owczarni w majątku bezleśnym, posyłał swoich kmieci zaciężnych do sąsiedniego lasu rządowego defraudować takowe. Większych kosztów budowy fabryk rządowych od prywatnych, były trzy przyczyny. Zapatrywanie się naszych inżynierów na przykład sąsiednich Prus, gdzie natenczas także wiele hut prywatnych i rządowych powstawało, a nawet może współzawodniczenie o lepsze naszych inżynierów z inżynierami pruskimi. W Prusach wtenczas panowała mania przepychu w budowlach fabrycznych, tak samo jak w budowlach gospodarskich. Nadto, wtedy nie była jeszcze wynaleziona metoda zużytkowania na opał pod kotły parowe, gazów z fabrykacyi

żelaza odchodzących. Motory parowe same przez się kosztowniejsze od dzisiejszych, wymagały znacznego zużywania opału. Dla oszczędności opału potrzeba było urządzać fabryki na motorach wodnych, a wszystkie budowy wodne są bardzo kosztowne. Że zaś te roboty były wykonane fundamentalnie, dowodem jest, że po upływie lat blisko pięćdziesięciu, uszkodzeniu nie uległy. Potrzeba nareszcie było budować fundamentalnie dlatego, że te fabryki miały być oddane w dzierżawę, a obawa potrzeby łożenia większych kosztów na reparacye budowli fabrycznych, i obawa stagnacyi fabryk w przypadku ich uszkodzenia, oddziaływałyby niekorzystnie na czynsz dzierżawny.

Jeżeli Rząd mógł, i to prawie tylko przy takiej swobodzie działania jaką miał Bank Polski, wykonać budowę fabryk, to ich prowadzenie, a zwłaszcza sprzedaż ich wyrobów przez Rząd, kiedy ta sprzedaż miała być po większej części dokonywana po za granicami kraju pod jego władzą będącego, były prawie niemożliwemi. To też Bank Polski zamierzał, po wykończeniu projektowanego kompletu fabryk Rządowych Żelaznych, oddać w dzierżawę, a raczej w administracyą poręczającą dochody z nich. Administrator miał prowadzić fabrykacyę pod nad-

zorem i kontrolą Inżynierów i Urzędników rządowych; miał się zobowiązać do wyrabiania jakiegoś minimum ilości żelaza, z możnością powiększania produkcyi; miał płacić Rządowi umówiony czynsz dzierżawny od każdego wyrobionego centnara żelaza i płacić nadto za drzewo i za węgiel kamienny. Z zamiarem zadzierżawienia tych fabryk zgłosił się najprzód słynny przemysłowiec belgijski John Cocquerill. Wymagał on jednak zrobienia o wiele większych nakładów od tych, jakie Bank Polski poczynić postanowił i dlatego rokowania z nim nie doszły do skutku. Potem zajęły się studyowaniem kwestyi tych fabryk warszawskie domy bankierskie Sam. Ant. Fraenkel, Józef Epstein i Bracia Łubieńscy i Sp. Nareszcie nie do Banku Polskiego po informacye, ale wprost do Namiestnika wystąpił Coniar ze skargą o to, że Bank jego, największego w kraju kapitalistę, który od tak dawna różne dochody skarbowe administruje i dzierżawi, nie zaprasza do konkurowania o administracyą Fabryk Żelaznych Rządowych. Skarga Coniara popartą została przez wielu uczęszczających do jego domu urzędników Rosyan z otoczenia Namiestnika. To też Namiestnik dał rozkaz, ażeby administracya tych fabryk wypuszczoną została przez licytacyę. Tak też się stało. Licytacya odbyła

się przez deklaracye opieczętowane. Fraenkel, Epstein i Bracia Łubieńscy i Spół. zamierzali zapewnić Rządowi po dwa złote polskie czystego dochodu od każdego wyrobionego centnara żelaza surowego, z progresyą in minus w przypadku powiększenia produkcyi ponad zagwarantowaną ilość. Dochód taki, obok zapłaty za drzewo i węgiel, i obok zabezpieczenia wpływu regularnego czynszów od włościan, między których rozchodziłoby się dużo pieniędzy za transporty, zabezpieczałby dochód z dóbr rządowych i oprocentowywałby dostatecznie wkłady na budowę fabryk poczynione. Z obawy konkurencyi Coniara, ci panowie postąpili na licytacyi cenę o pięć groszy wyższą. Coniar nie studyował wcale interesu. Starał się tylko przez swoich agentów dowiedzieć się, ile dochodu tamci konkurenci skarbowi zapewnić zamierzają. Źle jednak został poinformowany i w swojej deklaracyi podał cenę czterech złotych od centnara, z progresyą in plus w razie powiększenia produkcyi. Była to cena niemożliwa. Ale cofnięcie się było także niemożliwe. Henryk Łubieński obiecał Coniarowi dopomagać wszystkimi środkami w rozporządzeniu Banku będącymi i czynił to póty, póki Bankiem zarządzał. Pomimo to Coniar, nie w zwiększeniu produkcyi zakładów w jego

zarząd oddanych i nie w zdobywaniu nowych odleglejszych rynków zbytu na swój towar, szukał zapewnienia sobie korzyści, ale przeciwnie, w ograniczeniu produkcyi i w podnoszeniu cen żelaza. W tym celu, nibyto dla przyśpieszenia wykończenia zakładów fabrycznych jeszcze niegotowych i dla unikania kolizyi między Administracyą Bankową budującą jeszcze te fabryki na rachunek Rządu, a Administracyą prowadzącą je już na jego rachunek, Coniar podjął się wykonania niepokończonych jeszcze robót. Ale wykończenie to pod najrozmaitszymi pozorami opóźniał, o co miał ciągle z Henrykiem Łubieńskim zatargi. Oprócz tego starał się zakupywać produkcyą fabryk żelaznych prywatnych, dla zmonopolizowania handlu żelaza i sztucznego podnoszenia jego ceny. Szło to jako tako dopóty, dopóki Bank Polski silnie mu w pomoc przychodził. To też produkcya Fabryk Żelaznych Rządowych, z 60,000 cetnarów w roku 1833, wzrosła do 250,000 cetnarów w roku 1842. Ale po dymisyi Prezesa Banku Lubowidzkiego i Wice-Prezesa Łubieńskiego w r. 1842 i po przyjęciu przez Bank Polski zupełnie innych praktyk w stosunkach z kupcami i przemysłowcami, Coniar nie mógł już wytrzymać; a korzystając z tego że wysadzona była Komisya dla

zbadania czynności dawnej Dyrekcyi Banku Polskiego, postarał się o to, ażeby Policya Tajna w raportach swoich, przedstawiła cały interes oddania mu Fabryk Żelaznych Rządowych w administracyą, jako jedno z nadużyć dawnej Dyrekcyi Banku; a jednocześnie występował z najrozmaitszemi pretensyami do Rządu, opartemi nibyto na kontrakcie Administracyi tych Fabryk, redagowanym przez najwybitniejszych w kraju Adwokatów. Raporty tajne o tych mniemanych nadużyciach i raporty urzędowe o tych urojonych także pretensyach, dochodziły do Namiestnika, bo wtenczas już nikt, bez odwołania się do Namiestnika, nic decydować nie śmiał. Namiestnik zniecierpliwiony, wydał rozkaz odebrania natychmiastowego fabryk Coniarowi. Tego też sobie właściwie Coniar życzył. Fabryki oddał natychmiast, ale przygotowanych zapasów materyałów surowych i gotowych wyrobów nie chciał oddać przed zapłaceniem mu ich wartości, którą znowu nadmiernie wysoko oceniał. Spory o to trwały lat kilka. Górnictwo Rządowe tymczasem, zaraz po dymisyi Lubowidzkiego i Łubieńskiego przeszło było z pod Zarządu Banku pod Zarząd Komisyi Rządowej Przychodów i Skarbu. W Zarządzie Skarbowym, ani w Zarządzie Górniczym nie było nikogo zdol-

nego, do pokierowania tem tak trudnym przedsiębierstwem. Nikt także nie obmyślił funduszów potrzebnych na utrzymanie fabryk w biegu. Nastąpiła ogromna stagnacya Fabryk Rządowych. Ceny żelaza podniosły się jeszcze więcej, niż poprzednio za staraniami samego Coniara. On zaś jako nabywca znacznej części produkcyi fabryk żelaznych prywatnych, zyskiwał na tej podwyżce ceny. Opóźnienia jednak w zlikwidowaniu ogromnych kapitałów w tych interesach uwięzionych, spowodowało takie straty, że nie przetrzymał kryzysu finansowego r. 1848 i majątek jego stopniał.

Mniej ważną gałęzią Górnictwa Rządowego, chociaż także poważną, była fabrykacya cynku, za którego sprzedażą przed rewolucyą jeszcze, posyłany był przez księcia Lubeckiego do Indyj Wschodnich Hr. Władysław Małachowski. W tym peryodzie czasu o którym mówię, między rokiem 1833 a 1842, produkcya cynku w Hutach Rządowych podwojoną została i z 30,000 centnarów doszła do 60,000. Obok tego, wiele już galmanu, którego pokłady w naszym kraju są prawie nieprzebrane, zaczęto wywozić do Prus. Największych pokładów tego kruszcu, a przytem srebrodajnego, w Olkuszu, od czasu wojen Szwedzkich zalanych, osuszanie rozpoczęto. Po ustąpieniu Henryka Łubieńskiego z Banku i przejścia napowrót Gór-

nictwa Rządowego pod zarząd Komisyi Skarbu, roboty te zaniechane zostały i dopiero po kilkudziesięciu latach, teraz się znowu podobno do nich wzięto. Szczęść Boże! Dla sprzedaży cynku nie potrzeba już było do Indyj posyłać, bo handel tego metalu już się był w Londynie ustalił. Tam sprzedaż komisową cynku powierzono Szteinkellerowi, który, już na swój rachunek wybudował w Londynie walcownię cynku. Po niejakim czasie, przy zachwianiu się Szteinkellera, Bank ustanowił w tej fabryce kontrolę, później nawet zaprowadził w niej swoję własną administracyą, która także nie wyratowała Szteinkellera od konieczności zlikwidowania swoich interesów, zawsze jednak lepsze rezultaty dała, od podobnej administracyi zaprowadzonej przez Bank mniej więcej w tej samej epoce w Fabryce Wyrobów Lnianych w Żyrardowie. Po zlikwidowaniu interesów Szteinkellera, walcownia cynku w Londynie przeszła na własność Banku Polskiego, który ją finalnie sprzedał, podobno nawet z korzyścią.

Trzecią gałęzią Górnictwa Rządowego były kopalnie węgla. Te nie mogły jeszcze w tej epoce o której mowa, między 1833 a 1842 rokiem, otrzymać takiego rozwoju, jakiego się teraz chociaż już w wielkiej części w rękach prywatnych,

doczekały. Ani przemysł krajowy, ani opał miasta Warszawy jeszcze wtenczas węgla nie potrzebowały, ani też Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska, głównie dla przewozu węgla zbudowana, jeszcze otwartą nie była, a jednak produkcya węgla w kopalniach rządowych, w czwórnasób, bo z 300,000 do 1.200,000 korcy podniesioną została, a zwłaszcza dokonanych zostało bardzo wiele badań i robót przygotowawczych.

Do górnictwa także odnosiły się poszukiwania soli, której obecność w północno-zachodniej części Królestwa wskazywały źródła słone Ciechocińskie. Rozpoczęto też poszukiwania, które wprawdzie nie zostały uwieńczone pożądanym skutkiem, bo do tego zabrakło zwłaszcza czasu. Poszukiwania te posłużyły tylko Prusakom za wskazówkę, z której korzystając, odkryli wkrótce potem prawie na granicy Królestwa, pod Inowrocławiem kopalnie soli, podobno równie bogate jak w Wieliczce. Gdyby po roku 1842 wszystko w górnictwie nie było uległo zaniedbaniu, możeby i w Królestwie odkryto części tych samych pokładów. W każdym razie rozwój dany Warzelni Soli w Ciechocinku, nietylko zaopatrzył część znaczną potrzeb mieszkańców Królestwa w sól, i obdarzył Kraj nowem miejscem kuracyjnem, ale także wpłynął na obniżenie ceny

po jakiej Rząd Austryacki sprzedawał Rządowi Królestwa sól z Wieliczki a wtenczas sprzedaż soli stanowiła monopol rządowy.

Po zapewnieniu odbytu drzewa z lasów rządowych w okręgach górniczych na potrzeby fabryk żelaznych, bardzo się naturalnie nasunęła Komisyi Rządowej Skarbu potrzeba, zapewnienia dochodów z obszernych lasów rządowych, znajdujących się w innych częściach Królestwa. Handel drzewa w Królestwie znajdował się w owym czasie, tak zresztą jak dotychczas, wyłącznie w ręku żydów, którzy eksploatowali lasy zupełnie nieumiejętnie, starając się przytem naturalnie zarobić jak najwięcej. Dla przerwania tych, tak dla kraju zgubnych tradycyj, Bank Polski podjął się eksploatacyi lasów rządowych Augustowskich i Płockich. Do kierowania tym handlem powołał kilka osób, które zdawały się na specyalne pod tym względem zaufanie zasługiwać. Jedną z nich był Konstanty Pruszak, syn bardzo bogatego obywatela ziemskiego, i najlepszego może w swoim czasie rolnika w kraju, który podług dawnych tradycyj, całą swoję produkcyą pszenicy sam do Gdańska spławiał. Konstanty Pruszak obznajomiony był skutkiem tego z kwestyami spławu i z handlem Gdańskim. Czy Bank Polski przy tym handlu

drzewnym zdołał uniknąć skutków walk giełdowych, do jakich z nim naturalnie wystąpić musiało całe grono gdańskich kupców i polskich żydów, broniących swojego dotychczasowego monopolu, nie wiem dokładnie. O stratach żadnych nie słyszałem. Ażeby Bank Polski eksploatowane przez siebie lasy był wyniszczył, jak to twierdzi autor kilka razy już wspomnianych przeze mnie „Kartek z historyi Banku Polskiego", temu zupełnie przeczę, i w tem powołuję się na świadectwo donataryuszów, którym następnie części tych lasów nadane zostały. Przeczę także twierdzeniu autora tych „Kartek", ażeby Konstanty Pruszak na tym interesie majątek był stracił. Na tym interesie, którego czasowo był tylko Administratorem, nic osobiście stracić nie mógł. Nadwyrężył on znacznie swój majątek, skutkiem strat poniesionych w r. 1843 na handlu pszenicą, a stracił go dopiero po roku 1850 na fabryce cukru w Sannikach, na której znowu wzrośli, skutkiem rozumnej i uczciwej pracy, Nathansonowie, i to bez skrzywdzenia Pruszaka. Zupełnie kto inny z majątku go wyzuł. W każdym przypadku eksploatowanie lasów rządowych Augustowskich i Płockich przez Bank Polski ten skutek miało, że od tego czasu dopiero rozpoczęto sprzedawać w nich drzewo na sztuki

mierzone; a nawet przy wystawianiu na sprzedaże ryczałtowo odpadków leśnych lub całych porębów, zaczęto sporządzać dokładne rachunki zawartości tych lasów i wartości drzewa w nich się znajdującego. A zatem Skarb Królestwa, a za jego przykładem i wielu prywatnych, zyskali zaniechanie sprzedaży czynionych dawniej na oślep.

Pierwszy tartak parowy w kraju, założony został przez Bank Polski w Jaworze w Radomskiem, gdzie Bank miał do wywindykowania od dziedzica tych dóbr p. Jawornickiego, sumę hipoteczną, którą od jednego ze swoich dłużników, likwidującego swoje interesa, przejąć musiał. Ażeby ten tartak był Bankowi spowodował jakie straty, jak to twierdzi autor „Kartek“, o tem nigdy nie słyszałem. Wiem przeciwnie, że użyty do administrowania tym interesem sąsiedni obywatel Napoleon Świdziński, odbierał z Banku Polskiego jakieś należne mu za to tantiemy, obrachowane już po ustąpieniu Lubowidzkiego i Henryka Łubieńskiego z Banku. Właściciel dóbr Jaworza, którego wierzyciele chcieli z majątku wyzuć, utrzymał się przy nim. A przemysł krajowy zyskał przykład nowego sposobu eksploatacyi bogactw miejscowych, z którego później niejeden obywatel skorzystał.

Mówiąc o przemysłach prowadzonych przez Bank Polski na rachunek własny, albo na rachunek Skarbu Królestwa, nie powinienem pominąć fabryki Machin na Solcu, o której już wspomniałem, gdy broń w r. 1831 wyrabiała. Fabryka ta, różnemi kolejami przechodząc, dostała się Bankowi Polskiemu. W roku 1839 John Cocquerill, przewidując zniesienie granicy celnej między Królestwem Polskiem a Cesarstwem Rosyjskiem, przyjechał do Warszawy dla rozpatrzenia się, czyby nie było korzystnem, przy pomocy swoich wspólników i korespondentów belgijskich i holenderskich, pozakładać w Królestwie kilka fabryk. W Warszawie naturalnie zetknął się przedewszystkiem z Henrykiem Łubieńskim, z którym już poprzednio miał do czynienia, kiedy się o dzierżawę Górnictwa Rządowego starał. Ci dwaj, tak przedsiębierczy ludzie, łatwo się porozumieli. To zdecydowało Cocquerilla do wykonania swojego zamiaru. Zawarł tedy punktacye w przedmiocie kilku interesów. Z punktacyami temi miał wrócić do Seraing w Belgii, tam swoich spólników i korespondentów zebrać, odpowiednie spółki pozawiązywać i wrócić do Warszawy dla pozawierania na zasadzie tamtych punktacyj, stanowczych już umów. Nie potrafiłbym już wyliczyć wszystkich przemysłów, jakie

Cocquerill natenczas w kraju naszym rozwinąć zamierzał, pamiętam jednak że przedmiot samych punktacyj co do kupna różnych fabryk już istniejących w Królestwie, wynosił przeszło 53,000,000 złp. W liczbie fabryk o których kupno pozawierał punktacye były, fabryka wyrobów lnianych w Żyrardowie, fabryka stali i wyrobów stalowych w Serocku, i fabryka machin na Solcu. Inaczej się stało. Po spisaniu tych wszystkich punktacyj, Cocquerill, nagle w Warszawie umarł. Jego spólnicy i korespondenci belgijscy i holenderscy, pozbawieni kierunku tak genialnego, tak przedsiębierczego i tak doświadczonego przemysłowca jakim był John Cocquerill, nie chcieli z pozawieranych przez niego umów skorzystać. Natenczas Henryk Łubieński oddał administracyą fabryki machin na Solcu Wilhelmowi Rau, stryjowi obecnie w Warszawie mieszkającego wielkiego przemysłowca E. W. Raua, a jednemu ze starszych ówcześnie urzędników u Johna Cocquerilla, który z nim właśnie do Warszawy był przyjechał. Zatrzymanie tego człowieka w kraju było jedną z największych usług oddanych przemysłowi krajowemu, bo wprowadziło do kraju człowieka, który obok najzacniejszego charakteru, znakomitych zdolności i szalonej pracowitości, posiadał to doświadczenie w prowadzeniu

interesów przemysłowych, którego narody z wiekami dopiero nabierają.

W tem co dotychczas opowiedziałem, mówiłem między innemi rzeczami, że Henryk Łubieński wyjednał dla Steinkellera i Braci Łubieńskich koncesyą na budowę Drogi-Żelaznej Warszawsko-Wiedeńską, że oddał administracyą Fabryk Żelaznych Rządowych Coniarowi, sprzedaż Cynku Steinkellerowi, administracyą Fabryki Machin na Solcu Rauowi. Mylnem by jednak było mniemanie, że z tem praca jego w tych interesach się kończyła. Musiał on przeciwnie ciągle jeszcze o tych interesach myśleć, ciągle się nimi zajmować, ciągle się nimi opiekować, ciągle je obsługiwać i robił to z niezmordowaną pracą i nieustającą wytrwałością.

Nietylko jednak rozwój przemysłu wykonywanego na rachunek Rządu, albo na rachunek własny zajmował Bank Polski, a w Banku Henryka Łubieńskiego. Więcej daleko myśl jego zaprzątało, więcej mu czasu zajmowało, więcej go pracy kosztowało, staranie około rozwoju przemysłu prywatnego w Królestwie Polskim. Szczegółów tutaj na pamięć spisywać nie podobna. Ale wszyscy przemysłowcy w kraju, mogliby poświadczyć, że Łubieński, kogo mógł nakłaniał do przedsiębrania eksploatacyi jakiej gałęzi prze-

mysłu, że prawie nikt w kraju fabryki nie założył ani nie prowadził bez oparcia się o Bank Polski, a pośrednio o Henryka Łubieńskiego; że mało kto mógł się obchodzić bez takiej pomocy i rady, która mu zawsze chętnie i hojnie dawaną była. Już poprzednio mówiłem że przed rewolucyą, przemysłu w Królestwie prawie nie było żadnego; potrzeba było wszystko tworzyć. A dzisiejsze pokolenie nie ma już wyobrażenia, ile to trudności potrzeba było przełamać, zanim się przemysł jaki w kraju naszym przyjął. Nietylko machiny wszystkie i różne przyrządy do budujących się fabryk potrzeba było z zagranicy sprowadzać, ale dla ich sprowadzenia po naszych złych drogach, potrzeba było budować specyalne wozy i kary, a nawet i mosty po których one miały być przewożonemi. Potrzeba było robotników fabrycznych gromadzić i kształcić. Trzeba było studyować potrzeby i gusta konsumentów, i zdobywać rynki odbytu na swoje wyroby. A zwłaszcza potrzeba było zdobywać doświadczenie, stanowiące główną wyższość krajów w których się przemysł oddawna zakorzenił, nad krajami w których się dopiero rozwijać zaczyna. Najtrudniejszym do zjednania, a jednakże najważniejszym elementem każdego przemysłu, byli ludzie, i to nie tylko specyaliści technicy, któ-

rych potrzeba było sprowadzać z zagranicy, a i tam nie było ich do zbytku, to też tysiączne bywały zawody, ale nawet ludzi zdolnych do kierowania przedsiębierstwami albo do współdziałania w ich prowadzeniu; kraj nasz był mniej ludny niż dzisiaj; zakładów naukowych średnich i wyższych było daleko mniej; kierunek naukowy był wyłącznie klasyczny. Całe prawie jedno pokolenie opuściło było kraj, i marniało w emigracyi. To też wyszukiwanie ludzi, którychby mógł użyć do licznych przedsiębierstw przez niego kierowanych, albo którychby mógł polecić osobom skłonnym do lokowania swoich kapitałów w przemyśle, było jednem z głównych zatrudnień Henryka Łubieńskiego. Sprowadzał ich naturalnie z zagranicy. W Paryżu utrzymywał stałego ajenta, Adama Łuszczewskiego emigranta, syna Ministra Łuszczewskiego za czasów Księstwa Warszawskiego, a brata znanych w Warszawie Wacława i Michała Łuszczewskich, na to specyalnie, ażeby fabryki zwiedzał i zdawał mu sprawę o wszystkich postępach w przemyśle, jak równie ażeby zbierał informacye o ludziach których się z zagranicy sprowadzało, lub którzy się sami do naszego kraju z zagranicy zgłaszali. A w kraju, gdziekolwiek spotykał człowieka jakich takich zdolności, ożywionego dobrą wolą, bez względu

na jego stan, na jego opinie a nawet na jego nieprzychylne kiedyś przeciwko niemu osobiste działanie, starał się ściągnąć i zaprządz do różnych prac, których był kierownikiem lub doradcą. Przyciągać zaś ludzi, przywiązywać ich do oznaczonego kierunku pracy, mógł on tylko przez sprawiedliwe ocenienie potrzeb każdego z tych ludzi i wymagań przedmiotu ich pracy i przez zabezpieczenie tych potrzeb i tych wymagań, co też z prawdziwie ojcowską czynił pieczołowitością.

To też osób którym Henryk Łubieński dopomógł, których los ustalił, zliczyćby prawie niepodobna. Nazwisk wszystkich nie wiem nawet, ani też wielu z nich osobiście nie znałem. Żadnego nawet nazwiska nie wymienię, bo niejednej osobie dzisiaj niemiłem mogłoby być wspomnienie, że to dopiero ich ojcowie, i to wskutek poparcia jakiego od Henryka Łubieńskiego w swoim czasie doznali, dorobili się często, pańskich prawie majątków. A zresztą nie dla skarbienia sobie, lub wywoływania jakichś objawów wdzięczności, Henryk Łubieński to czynił. A dla mnie dosyć było widzieć jak wszyscy prawie, którzy z nim mieli do czynienia, przywiązywali się do niego aż do poświęcenia. A i teraz jeszcze, chociaż czterdzieści przeszło lat mi-

nęło od czasu jak przestał kierować Wydziałem Górniczym i Wydziałem Przemysłu w Banku Polskim, chociaż fabryki i huty ówczesne poprzechodziły w znacznej części w obce zupełnie ręce, chociaż pracują w nich już wnukowie tych którzy z Łubieńskim byli w stosunkach, albo którzy byli świadkami jego działalności, w okręgach górniczych zwłaszcza, w których nagromadzenie w jednem miejscu większej liczby osób pod jego niegdyś władzą lub wpływem pozostających, przechowywanie się tradycyi ułatwiło, pamięć o nim pozostała jeszcze żywa, a nazwisko jego wspominane jest z wdzięcznością i uszanowaniem. Uznania jego zasług przez kraj cały dowodem także było, uszanowanie jakiem był przez wszystkich w kraju, do późnej starości, otaczany, pomimo niełaski jaka go była dotknęła i wyroku od sławy go odsądzającego. A i życzliwość jakiej dzieci jego w kraju całym doznawały, była dowodem uznawania przez współziomków zasług ich ojca. Nie mogę jednak pominąć jednego dowodu uznania jego zasług, zupełnie w kraju naszym nie zwykłego, i tem szczególniejszego, że od osób które z nim nigdy żadnego osobistego stosunku nie miały. Panowie Hille i Dittrich, którzy fabrykę Żyrardowską kupili i do Królestwa się sprowa-

dzili dopiero w r. 1857, to jest w lat piętnaście po wyjściu jego z Banku, a w lat dziesięć po kupieniu tej fabryki przez Bank, portretami Henryka Łubieńskiego i Filipa de Gérard, jako tworców przemysłu przędzenia lnu, ozdobili swoję wystawę na Wielkiej międzynarodowej Wystawie Paryskiej 1867 roku. A nadto w r. 1869 przyjechali do Łubieńskiego osobiście z prośbą, ażeby im pozwolił wyrażając mu swoję wdzięczność za założenie tej fabryki, na ustanowienie dwóch stypendyów na wychowanie dwóch jego wnuków. I te stypendya opłacane przez ciąg lat czternastu, kosztowały ich 14,000 rubli.

Pomimo skłonności i chęci popierania rozwoju przemysłu krajowego, i dopomagania każdemu chętnemu do pracy, Henryk Łubieński nie mógł wszystkim żądaniom zadosyć czynić, bo w ich liczbie bywały zupełnie bezzasadne i możność jego przechodzące. Nie mógł też wszystkich ambicyj zaspokajać, bo one nie zawsze odpowiadały zdolnościom i zasługom. Ztąd też wyradzały się nieukontentowauia i zazdrości, które im mniej uzasadnione bywały, im bardziej były pozbawione nadziei uzyskania decyzyi zmieniających poprzednie odmowy, z tem głośniejszemi odzywały się żalami. Te nieukontentowania i zazdrości były

powodem tylu dyskusyj w całym kraju, przez lat przeszło dziesięć, o wrzekomych winach Henryka Łubieńskiego się powtarzających, których ostatnim może objawem są „kartki z Dziejów Banku Polskiego“, pomieszczone w Dodatku miesięcznym „*Przeglądu tygodniowego*“, a ostatnim echem artykuł Pana P. P. w „*Czasie*“. Wyznaję jednak, że tak względem Henryka Łubieńskiego usposobionego podwładnego jemu urzędnika, ani też nikogo innego mającego z nim do czynienia, jakim się okazał „b. Urzędnik“, z którego pamiętników te „Kartki“ czerpane zostały, nie zdarzyło mi się spotkać. A stanowczo zaprzeczam ażeby kiedykolwiek jakiemukolwiek urzędnikowi proszącemu go o zapomogę na pogrzeb żony, dał odpowiedź w „Kartkach“ tych cytowaną: „Postawiłem cię przy żłobie, w którym znajdował się złotodajny obrok, nie umiałeś z niego korzystać, boś głupi, niedołęga, cierp teraz za twoję głupotę“. Nie wiem bowiem ile razy miałem sposobność widzieć, jak on nietylko nieszczęśliwym, ale nawet przestępnym, a winy swojej żałującym podwładnym swoim, przychodził w pomoc i to nie z kasy Banku, ale z własnej kieszeni. Zaprzeczam także ażeby Henryk Łubieński, kiedykolwiek chciał ubliżyć, a tem bardziej ubliżył któremukolwiek ze swoich podwład-

nych, a mianowicie panom Cieszkowskiemu i Lipskiemu, jak to mówi tenże sam „b. Urzędnik“ inspirator wyżej wspomnianych „Kartek“, nie pamiętając nawet że Lipskiemu nie było na imię Jan, ale Jacek. Wiem przeciwnie, że obu tych panów wysoko cenił. Znałem ich też obu osobiście. Widywałem ich niejednokrotnie u mojego ojca, a zwłaszcza w czasie jego podróży po Górnictwie w Lutym 1841 roku, w której mu towarzyszyłem. Z Jackiem Lipskim miałem później, w r. 1854 stosunki osobiste, a zaś z synem jego w r. 1869, i nigdy u nich nie spostrzegłem innego dla mojego ojca usposobienia, jak uszanowania, wdzięczności i przywiązania.

Nie przeczę znowu, że łajanie Henryka Łubieńskiego, bo każdy Naczelnik jest czasami w konieczności łajania, nie były nudnemi zrzędzeniami, ale trafnie dotykały blizny, i dlatego były bolesne, ale nie obrażliwe. „Były Urzędnik“, z którego pamiętników wysnute są wspomniane już „Kartki“, opowiada: że „lakonizm jakiego Wice-Prezes używał, dając do wykonania polecenia dyżurnym, znany był urzędnikom“, a jeżeli go który prosił o bliższe objaśnienie, „wtedy Łubieński zamiast odpowiedzi, wskazywał na czoło pytającego z gestem mającym znaczenie, że jest g......“. Taka przy-

goda musiała się zapewne temu b. Urzędnikowi przytrafić, *et inde irae.*

Tak samo jak nie wszystkie do niego zanoszone żądania mogły być przychylnie załatwianemi, tak samo też i nie wszystkie przez niego wspierane przemysły pomyślnie się rozwinęły i nie wszyscy przez niego popierani przemysłowcy szczęśliwie swoje interesa finalnie pokierować zdołali. Z niejednym z nich niemałe nawet miewał kłopoty. Dwa tylko nazwiska z pomiędzy nich wspomnę, bo są w kraju znane Szteinkellera i Gajera. Szteinkeller, człowiek z domu zamożny, ale niepohamowanej przedsiębierczości i przez tę swoję przedsiębierczość zresztą bardzo dla kraju użyteczny, zaledwie jedną fabrykę w bieg puszczał, często nie czekając nawet ażeby już w bieg puszczoną została, rozpoczynał budowę innej, w innej zupełnie miejscowości, w innej zupełnie gałęzi przemysłu. Gajer był znowu można powiedzieć ojcem przemysłu bawełnianego w Łodzi i w kraju. Wszyscy Scheiblerzy, Schlosserzy, Poznańscy i inni książęta bawełniani, poszli drogami przez Gajera utorowanemi. J. Szteinkeller i Gajer doznawali ciągłego poparcia w Banku Polskim dopóty, dopóki Łubieński w nim Wydziałem przemysłu kierował. Czyby się oba potrafili fi-

nalnie wyrobić, gdyby był dłużej w Banku pozostał, nie wiem; zwłaszcza dlatego że nie wiem czyby byli potrafili przedsiębierczości swojej granice zakreślić. Oba musieli swoje interesa likwidować. Ale takie bywają losy przemysłu nietylko w naszym kraju. Zanim gmach okazały stanie na gruncie niestałym, a cóż jest bardziej niestałe nad usposobienie ludzkie, toną liczne kamienie w fundamentach, na których dopiero gmach ten silnie oprzeć się może. W rozwoju przemysłu, który jest tylko cząstką ogólnej walki o byt, pod formą walki o dobrą produkcyą i o odbyt, tak jak w każdej innej walce, niepodobna prawie dojść do zwycięstwa, nie przeszedłszy po trupach. A często na wojnie większa bywa zasługa tych, którzy w walce polegli, aniżeli tych, co zwycięzkie sztandary na zdobytych szańcach zatknęli.

Specyalnie jak już mówiłem, Łubieński zajmował się Dyrekcyą Wydziału Górniczego i Wydziału Przemysłu w Banku Polskim, ale i na prace innych Wydziałów wpływ niemały wywierał. Opracowywał zwłaszcza wszystkie nowe kierunki interesów, do innych Wydziałów Banku się odnoszące, bo on jeden miał inicyatywę. I tak, jemu zawdzięczać należy utworzenie Agencyi Berdyczowskiej. Na jej czele postawił

Adolfa Dobrowolskiego, bardzo zdolnego urzędnika Banku, rodem z gubernii Podolskiej, i bardzo wiele stosunków w guberniach południowo-zachodnich Cesarstwa mającego. Ten pan Dobrowolski opuściwszy później urzędowanie w Banku Polskim, miał sobie przez księcia Witgensteina powierzony zarząd całej jego ogromnej po-Radziwiłłowskiej fortuny. Pełniąc ten obowiązek, wygrał premię na pożyczkę Królestwa Polskiego i założył Kantor bankiersko-komisowy w Odessie, cieszący się zaufaniem całego obywatelstwa Podola. Zwinął go nareszcie skutkiem strat poniesionych z okazyi wojny Krymskiej. Czy Bank Polski zarobił dużo na Agencyi Berdyczowskiej, nie wiem. O stratach nigdy nie słyszałem. Że likwidacya niektórych aktywów tej Agencyi po jej nagłem zwinięciu była pracowita i długa, to przypuszczam; ale tego jeszcze stratą nazwać nie można. Zresztą nie sam zysk był celem założenia tej agencyi. Południowo-zachodnie gubernie Cesarstwa Rosyjskiego, zaopatrywane w swoich potrzebach materyalnych przez dwa pograniczne miasta wolnego handlu, Odessę i Brody, żadnych już materyalnych a coraz to mniej moralnych stosunków miewały z Warszawą. Wznowienie tych stosunków skłoniło właśnie ówczesnego Kijowskiego Jenerał

Gubernatora Bibikowa, do rozkazania zwinięcia tej Agencyi. Agencya też została zwiniętą, ale stosunki pozostały, pomimo długo jeszcze trwających trudności paszportowych. I na wznowieniu tych stosunków przemysł Królestwa Polskiego bardzo wielkie następnie korzyści osiągnął. Natychmiast zaś, ta Agencya, tę korzyść handlowi Królestwa dostarczyła, że skierowała ku Warszawie handel weksli z Odessy na Londyn corocznie w znacznej ilości ciągnionych, które poprzednio w Petersburgu i Wiedniu zbytu szukać musiały. To nadało kapitałom w Warszawie, w handlu bankierskim się obracającym korzystne zajęcie i nadało Giełdzie Warszawskiej większą w handlu międzynarodowym powagę.

Ożywiły także obroty Giełdy Warszawskiej pożyczki Skarbowe w tym czasie zaciągnięte, jedne za pośrednictwem Banku Polskiego, drugie za jego współdziałaniem i protekcyą. I tak za pośrednictwem Banku Polskiego dokonanemi zostały w latach 1834, 1838 i 1841 emisye Obligacyj Skarbowych, w sumie ogólnej 120,000,000 złotych polskich. W roku zaś 1835 jeżeli się nie mylę, znegocyonowaną została pożyczka na 150,000,000 złotych polskich, taż sama, która była projektowaną w r. 1831 pod trochę odmiennymi warunkami i już nie za pomocą gmin

francuzkich i za pośrednictwem Rotschildów, ale za pośrednictwem Warszawskich Domów Bankierskich Sam. Ant. Fraenkel i Józefa Epstein. Gdy jednak ta ostatnia pożyczka okazała się zbyt wielką dla kredytu firm warszawskich, które po raz pierwszy z tak znacznymi interesami na giełdach występowały, Bank Polski który im i tak bardzo silnie w pomoc przychodził, przejął znaczną część tych pożyczek na siebie i w miejsce tytułów pierwiastkowych, Obligacyami cząstkowemi zwanych, wypuścił inne tytuły zwane Certyfikatami Lit. A. i Lit. B. z premiami, które jeszcze nowość giełdową stanowiły.

Ożywienie handlu papierami publicznemi na Giełdzie Warszawskiej, pozwoliło Bankowi Polskiemu, a raczej Łubieńskiemu, przeprowadzić przy odnawianiu pożyczek Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, dozwolonych w r. 1838, wbrew nawet opinii Prezesa Dyrekcyi Głównej tego Towarzystwa Morawskiego, nową także wówczas w świecie handlowym zasadę, konwersyi nieumorzonych części poprzednich pożyczek. I Bank podjął się tej operacyi, taniej aniżeli to teraz kosztuje.

Dozór nad Giełdą Warszawską należał podług Ustawy do atrybucyi Prezesa Banku Pol-

skiego. Prezes Lubowidzki nie wykonywał go tak pedantycznie jak poprzednio Prezes Jelski. Nie chodził codziennie na Giełdę. Meklerzy otrzymywali przed godziną giełdową zlecenia kupna i sprzedaży papierów publicznych i weksli na rachunek Banku, z oznaczeniem kursów. Ale rzeczywisty dozór nad operacyami giełdowemi wykonywał Henryk Łubieński. Ważniejsi Bankierowie Warszawscy, Aleksander Laski spólnik i Goldstand Naczelnik Domu Bankierskiego Sam. Ant. Fraenkel, Józef i Herman Epsteinowie i inni, nie przedsiębrali żadnej operacyi bez zasiągnięcia zdania jego. Wpływ Łubieńskiego na Leopolda Kronenberga nie był tak bezpośredni, bo L. Kronenberg nie był wtenczas jeszcze taką potęgą finansową. Ale następnie Kronenberg nie przedsiębrał także żadnej ważniejszej operacyi, bez porady Leona Łubieńskiego, synowca Henryka i jego ucznia pod względem finansowym, bo przez długie lata urzędował przy nim w Banku Polskim. I tak zdaje mi się, że śmiało twierdzić mogę, że wpływ Henryka Łubieńskiego na ówczesnych Finansistów Warszawskich, nie mało się przyczynił do nadania drugorzędnej zresztą Giełdzie Warszawskiej tego charakteru solidności w in-

teresach, którym się dotychczas jeszcze odznacza.

Powodzenia jakiego doznały zaciągnięte przez Rząd Królestwa Polskiego pożyczki i konwersya Listów Zastawnych i zyski jakie Bank Polski na tych operacyach zrealizował, podały Henrykowi Łubieńskiemu myśl, uporządkowania ostatecznego wszystkich długów publicznych Królestwa. Oprócz bowiem trzech pożyczek skonsolidowanych, przez Rząd Królestwa Polskiego zaciągniętych, jakoto pożyczki 42,000,000 złotych zaciągniętej jeszcze przed rewolucyą listopadową, w Obligacyach Udziałowych, pożyczki 120,000,000 złotych w trzech seryach Obligów Skarbowych i pożyczki 150,000,000 złotych, reprezentowanej Obligacyami Cząstkowemi i Certifikatami Lit. A. i Lit. B., których rozmaitość sama nie przyczyniła się do zwiększenia kredytu krajowego, istniały jeszcze długi nieuporządkowane, bezprocentowe i bezterminowe, jakoto Dowody Komisyi Centralnej Likwidacyjnej, różne rachunki zalegagające z czasów Księstwa Warszawskiego, pretensye z czasów Komisyi Trilateralnej, pretensye do Depozytów Sądowych z czasów austryackich, i inne. Myśleć o uporządkowaniu tych różnych długów, było obowiązkiem Banku Polskiego,

ustanowionego w części w celu umorzenia długu krajowego. Nadanie życia tym kapitałom martwym, było interesem krajowym. Za staraniem tedy Łubieńskiego uformowało się w roku 1841 potężne konsorcium bankierów krajowych i zagranicznych, które przy pomocy i współdziałaniu Banku Polskiego podejmowało się konwersyi wszystkich długów Królestwa Polskiego i zamiany ich różnorodnych tytułów, na jeden jednostajny tytuł, podobny do renty angielskiej i francuzkiej. Operacya ta miała zapewnić Skarbowi Królestwa znaczną oszczędność w budżecie, a Bankowi Polskiemu znaczy zysk. Interes tej wagi, nie mógł być zdecydowanym w Warszawie, potrzeba było odnieść się do Petersburga. Cesarz Mikołaj zwracał bardzo baczną uwagę na wszystkie interesa finansowe swojego Państwa. Z objaśnień tego projektu dostrzegł, że warunki przez rzeczone konsorcium bankierów Rządowi Królestwa Polskiego proponowane i te na jakich poprzednie pożyczki publiczne w Królestwie negocyowane były, mniej były uciążliwe od warunków pożyczek w tychże samych epokach przez Skarb Cesarstwa zaciąganych lub negocyowanych. Cesarz nie zataił swojego niezadowolnienia z tego powodu Ministrowi Finansów Cesarstwa Kankrinowi.

Hrabia Kankrin, oddawna już niechętnym okiem patrzał na porządek zarządu Skarbu Królestwa, większy daleko od porządku istniejącego w Cesarstwie, ulepszonego dopiero, po kampanii krymskiej przez Ministra Finansów Reuterna. Zawistnym także okiem patrzał na przysługi jakie Skarbowi Królestwa oddawał Bank Polski, daleko ważniejsze od przysług oddawanych Skarbowi Cesarstwa przez istniejące w Rosyi Instytucye Finansowe, rozwijające się w kierunku bardzo niebezpiecznym, na którym dopiero przez reformy w roku 1859 i 1860 wstrzymane zostały. Wkraczanie działalności Banku Polskiego do granic Cesarstwa i zakłócanie spokoju jaki tam panował przez Agencyę Berdyczowską i przez propozycyę budowy kilkunastu tysięcy wiorst szosy z dostarczeniem potrzebnego na tę budowę funduszu, także nie bardzo mu dogadzało. Ale objawienia Najwyższego niezadowolnienia z okazyi projektowanej konwersyi wszystkich długów rządowych w Królestwie Polskiem, taką wyższość finansów tego małego kraiku nad finansami kolosalnego i potężnego Cesarstwa uwydatniającej, przepełniło miarkę jego cierpliwości. Najprzód tedy przeszkodził zatwierdzeniu tego projektu, a potem postanowił pozbyć się tak nie-

dogodnych mu konkurentów. Niezadługo też zdarzyła się ku temu sposobność.

Cesarz Mikołaj, w intencyi zapewne przeprowadzania, chociaż powolnie, coraz to ściślejszego wcielenia Królestwa Polskiego do Cesarstwa, ale zwłaszcza naśladując świeżo w Niemczech wprowadzony „Zoll-Verein“, kazał w roku 1841 znieść granicę celną między Cesarstwem a Królestwem. Rozmaitość monopolów istniejących, w Cesarstwie wódczanego w Królestwie tabacznego, była powodem, pomimo utrzymania co do nich straży granicznych, różnych kłopotów dla obu Rządów, które Minister Kankrin z naciskiem Cesarzowi przedstawiał. Nadto nagromadzone w Królestwie zapasy wyrobów fabrycznych tak krajowych jak i zagranicznych, posprowadzanych w przewidywaniu otworzenia granicy i powyższenia ceł, rzucone zostały na targi rosyjskie. Fabrykanci moskiewscy skarżyli się Kankrinowi na tak zgubną dla nich konkurencyę. Cesarz wybierał się w r. 1842 do Warszawy. Kankrin poradził fabrykantom, ażeby ze swojemi skargami wprost do Cesarza się zwrócili, przyjęcie zaś ich deputacyi tak urządził, że wypadło w wilią wyjazdu Cesarskiego. Cesarz poświęcał chętnie dla idei jakieś tam, straty skarbu na dochodach wódczanych lub tabacznych, ale dla

kupca rosyjskiego i dla fabrykanta moskiewskiego miał zawsze szczególne względy, bo wiedział że tam jest siła narodu rosyjskiego. Odbył tedy podróż do Warszawy pod wrażeniem skarg reprezentantów przemysłu rosyjskiego, że ten przemysł nie może współzawodniczyć z przemysłem polskim. Może też przypomniały mu się dawniejsze przestrogi policyi tajnej, o niebezpieczeństwach wytwarzania w Królestwie zbyt licznej i od rządu niezależnej klasy robotników fabrycznych. To też za przybyciem do Warszawy powitał Namiestnika Księcia Paszkiewicza burą, że krajowi przez niego administrowanemu nawskróś rolniczemu, dozwala rozwijać się w kierunku przemysłowym i że przez to przemysł rosyjski zabija. Paszkiewicz przeląkł się, bo przed Cesarzem Mikołajem wszyscy truchleli, i przyznał się do winy, bo to był najpewniejszy sposób rozbrojenia Cesarza. Mikołaj znów, lubił Paszkiewicza nie tylko jako ozdobę i chlubę swojej armii, i jako znanego z poświęcenia sługę, ale także jako swojego dawnego mentora. Zaraz mu tedy odpowiedział, że to nie prawda, że nie on jest winien, że musi temu być winnym ktoś inny i zażądał ażeby mu Paszkiewicz winnego wskazał. Paszkiewicz nie mógł się nawet wahać bo wiedział dobrze że to Bank Polski, a w Banku Henryk Łubieński był

inicyatorem całego ruchu przemysłowego w Królestwie. Wymienił przeto jego i Prezesa Banku Lubowidzkiego, którego nie mógł logicznie oddzielić od podwładnego mu hierarchicznie Wice-Prezesa Łubieńskiego. Dymisya obu podpisaną została tego samego wieczora 11 Października 1842 roku. Dyrektor Główny komisyi Rządowej Przychodów i Skarbu Fuhrman, ich bezpośredni zwierzchnik, dowiedział się o tej dymisyi dopiero po jej podpisaniu. Ta dymisya doręczoną im została nazajutrz rano i zaraz też miejsca ich zajęli mianowani jednocześnie z podpisaniem dymisyi, Prezesem Banku Tymowski, Wice-Prezesem Niepokojczycki.

Obie te nominacye były bardzo naturalne. Tymowski, ówcześnie Sekretarz Stanu przy Radzie administracyjnej Królestwa Polskiego, już bardzo dawno ten urząd piastował, czas mu było na jakąś promocyą; odpowiednej posady nie było a Namiestnik będąc z nim w codziennych urzędowych stosunkach, miał go naturalnie na myśli. Prawda że Tymowski nie był wcale przygotowanym do zarządzania Bankiem, bo jak sam Paszkiewiczowi oświadczył gdy go tenże o swoim zamiarze powierzenia mu Prezesostwa Banku uwiadomił, żadnych innych operacyj bankowych nie znał, oprócz przy grach w faraona i landsknechta.

To decyzyi Paszkiewicza naturalnie nie zmieniło, bo Tymowski miał już oddawna odpowiednią do tej posady rangę służbową. Należy zresztą oddać sprawiedliwość Tymowskiemu, że gdy poprzednio grywał dużo grubo i nie zawsze szczęśliwie, od chwili wstąpienia do Banku zaprzestał grać grubo i w gry hazardowne. Później, mianowany Ministrem Sekretarzem Stanu do Spraw Królestwa Polskiego i Członkiem Rady Państwa, mając większą pensyą nad potrzeby życia, pospłacał co do grosza wszystkie długi pozaciągane niegdyś, na pokrycie nieszczęśliwych dyferencyj. Tymowski był zresztą człowiekiem zdolnym, miał nadzwyczajną pamięć, urzędując długo przy Radzie Administracyjnej znał doskonale interesa kraju, znał się jeszcze lepiej na winie węgierskim, był bardzo przez wszystkich lubiany, wszystkich znał, ale na bieg interesów Bankowych żadnego wpływu mieć nie mógł, nie tylko dla nieznajomości fachu, ale dla zupełnego braku inicyatywy.

Niepokojczycki, urodzony na Litwie, rozpoczął służbę w Cesarstwie i jeżeli się nie mylę przybył do Królestwa jako urzędnik cywilny przy kancelaryi Główno Dowodzącego Armią w 1831 r. Feldmarszałka Paszkiewicza. Wkrótce mianowanym był jednym z Dyrektorów Banku Polskiego.

Człowiek uczciwy, światły, w kwestyach ekonomicznych i finansowych oczytany, ale do najwyższego stopnia formalista, nie mógł się pogodzić ze swobodą działania jaka Bankowi Polskiemu przysługiwała. Poróżnił się z kolegami swoimi głównie z okazyi układania przez sam Bank Polski projektu Instrukcyi dla tegoż Banku, następnie w r. 1840 przez Radę Administracyjną Królestwa Polskiego zatwierdzonej. Opuścił natenczas Bank i był urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy Namiestniku, referentem specyalnym do interesów ekonomicznych i finansowych. Na tem stanowisku będąc, zdaje mi się że przeprowadził swoje idee w tej Instrukcyi. Nominacya jego była tedy także bardzo naturalna. A gdy przytem był pracowity, gdy miał dużo energii i wytrwałości, on rzeczywiście Bankiem Polskim zarządzał. Gdy jednak usposobienie jego było nie twórcze ale tylko krytyczne, a zwłaszcza negacyjne, w miejsce zasad poprzednio czynnościami Banku kierujących, tj. inicyatywy i gotowości dopomagania o ile można było każdemu, wprowadził do tego zarządu zasady któreby można scharakteryzować dwoma później dopiero i z innej okazyi wypowiedzianemi wyrazami, *prudentia et inertia*. Dwa tego przytoczę przykłady.

W Warszawie istniał oddawna drugorzędny wprawdzie ale bardzo szanowny Dom handlowy, pod firmą Aquilino i Hordliczko. Dom ten zajmując się głównie handlem eksportowym i importowym, nie dając swoim interesom zbyt wielkiego rozwoju i operując własnymi funduszami, nie potrzebował nigdy pomocy Banku Polskiego, nie postarał się nawet o zamieszczenie w rejestrze firm, którym Bank Polski otwierał kredyty wekslowe, uformowanym w wykonaniu Instrukcyi z roku 1840. I faktycznie weksle tego domu nie potrzebowały nigdy do Banku dochodzić. Ale w r. 1843 wybuchło przesilenie handlowe. Każdemu kupcowi rozleglejsze stosunki z zagranicą mającemu, spadały na głowę weksle indosem jego zaopatrzone i gdzieś po świecie zaprotestowane. Takie weksle potrzeba było w ciągu dwudziestu czterech godzin płacić. Panowie Aquilino i Hordliczko znaleźli się także w takiej potrzebie. Udali się wtenczas do Wice-Prezesa Banku Polskiego Niepokojczyckiego z portfelem napełnionym różnymi wekslami, ich własność stanowiącymi, reprezentującymi bardzo pokaźną sumę, i prosili o zaliczenie im przez Bank, ale zaraz, sumy niewynoszącej ani czwartej części wartości tego portfelu, dając Bankowi do wyboru zeskontowanie części tych

weksli, któreby Bank sam za najbezpieczniejsze uznał, albo zatrzymania ich wszystkich do inkasa w zabezpieczeniu żądanego zaliczenia. Niepokojczycki odmówił wręcz temu żądaniu mówiąc, że najprzód interes ten musiałby pójść na Sesyę Bankową, która się dopiero za trzy dni zebrać miała, a i na tej Sesyi musiałby być odmownie zdecydowanym dlatego, że Dom Handlowy Aquilino i Hordliczko nie figuruje w wykazie firm, których podpis Bank eskontuje, a wykazy takie Bank formuje i przedstawia do zawierdzenia Dyrektorowi Głównemu Komisyi Skarbu tylko dwa razy do roku. Wiedziała o tym wypadku cała Warszawa.

W roku 1845 ja sam miałem z Niepokojczyckim takie przejście. Zajmowałem się wtenczas przeprowadzeniem układu mojego ojca z Bankiem Polskim. Projekt układu był już przez Bank zaaprobowany i przedstawiony pod zatwierdzenie Rady Administracyjnej. Podług tego projektu, Bank miał kupić od mojego ojca dobra Lubartowskie i Ostrowieckie, i uzyskać na dobrach Guzowskich wpis hipoteczny na 300,000 rubli. Dzieci Henryka Łubieńskiego miały uwolnić hipotekę Lubartowa od wpisu przeszło 200,000 rubli wynoszącego i ustąpić pierwszeństwa hipotecznego

na Guzowie dla sumy bankowej, ze swojemi sumami około 100,000 rubli wynoszącemi; Bank zaś miał spłacić kilka długów na hipotece Ostrowca zabezpieczonych, w ich zaś liczbie około 75,000 rubli Gabryelowi Bergson, który nietylko na Ostrowcu lecz i na Guzowie miał zabezpieczenie. Termin długu Bergsona upłynął, Bergson rozpoczął subhastacyę Guzowa, bo prowadzenie w Warszawie subhastacyi Guzowa było mu dogodniejsze od prowadzenia subhastacyi Ostrowca w Radomiu. Podałem tedy do Banku Polskiego proźbę, ażeby tę sumę rubli 75,000 spłacił Bergsonowi i podstawił się w jego miejsce, nie czekając na decyzyą Rady Administracyjnej. Proźbę moję tem usprawiedliwiałem, że jeżeli Rada Administracyjna projektowany układ zatwierdzi, to Bank będzie w obowiązku spłacenia długu Bergsona, w wykonaniu warunków układu. Jeżeli zaś Rada Administracyjna odmówi zatwierdzenia układu, to Bank będzie musiał przystąpić do subhastowania Ostrowca, Lubartowa i Guzowa, dobra te kupić, oprócz tego, spłacić Bergsonowi z szacunku Ostrowca te same 75,000 rubli i dzieciom Henryka Łubieńskiego ich kapitały przeszło 200,000 rubli na Lubartowie i około 100,000 rubli na Guzowie, jako dobrze zahipotekowane. Jeżeli zaś subhastacya przez Bergsona

popierana, dojdzie do takiego stadyum w którem by już bez zgodzenia się wszystkich wierzycieli, cofniętą być nie mogła, to przy niemożności uzyskania takiego zgodzenia się od niewiadomych nawet z pobytu i nieżyjących wierzycieli z mas popruskich, układ, zatwierdzony nawet przez Radę administracyjną, nie mógłby być doprowadzonym i Bank straciłby na tem netto 300,000 rubli. Dzieci bowiem Henryka Łubieńskiego dlatego tylko ustępstwa ze swoimi kapitałami czyniły, ażeby obok uregulowania całego rachunku ich ojca z Bankiem, utrzymać go przy własności dóbr Guzowskich. Moje podanie miało być przedstawione na Sesyi Banku. Dyrektor Wydziału Uposażeń w Banku Polskim Adam Bagniewski, który cały ten układ prowadził, poradził mi ażebym w tym interesie poszedł osobiście do Wice - Prezesa. Poszedłem i objaśniłem mu ustnie moje żądanie, ale otrzymałem natychmiastową odpowiedź: „Mój panie Tomaszu, (tak mnie nazywał, bo mnie znał od lat wielu), masz najzupełniejszą racyą, a jednak ja tego nie zrobię“. „Dlaczego, panie Prezesie?“ „Bo widzisz: czy Bank zarobi 300,000 rubli, czy je straci nie przez mój czyn, to ja za to odpowiadać nie będę, a gdybym zrobił żądaną przez Ciebie wypłatę, niewchodzącą w zakres zwykłych operacyj

Bankowych, mogliby kazać mi się z tego tłómaczyć, a co mi po tem". Bank rzeczywiście nie przychylił się do mojego żądania. Odwołałem się do Dyrektora Głównego Komisyi Skarbu Morawskiego i przy nim szczęśliwszym nie byłem. Dla zyskania od Bergsona kilkumiesięcznej zwłoki, musieliśmy mu dać jeden z naszych kapitałów na Guzowie wynoszący prawie 15,000 rubli.

Takiem usposobieniem zresztą niejeden Niepokojczycki był zakażony, boć czy można do takiego usposobienia użyć słowa, ożywiony? Nagła dymisya udzielona Józefowi Lubowidzkiemu i Henrykowi Łubieńskiemu, urzędnikom gorliwie i tak użytecznie krajowi służącym, którzy chyba tę mieli wadę że za wiele decyzyj na własną odpowiedzialność brali, wywarła ten wpływ na wszystkich urzędników w Królestwie Polskiem, że każdy o to tylko dbać począł ażeby był formalnie w porządku, o rzecz samę już wcale się nie troszczył. Formalistyka biurokratyczna zaczęła w administracyi Królestwa absolutnie panować. To też co do Banku samego, to operacye jego tak ścieśnione zostały, iż obrót ich roczny przynajmniej o jednę trzecią część się zmniejszył. Zyski Banku Polskiego także z ośmiu od sta poprzednio przez cały

szereg lat otrzymywanych, spadły na cały znowu szereg lat na pięć od sta od kapitału zakładowego. Po kilkunastu latach dopiero i po wyjściu Niepokojczyckiego z Banku a pod naciskiem rozwijających się w kraju interesów, operacye Banku znowu większych cyfr dosięgać zaczęły. Ale to jużby należało do historyi Banku Polskiego, a tej nie piszę. Piszę tylko wspomnienia rodzinne.

W tym rozdziale nie wspomniałem wcale o tych wszystkich interesach Banku Polskiego które były w związku, albo które skutkiem wypadków następnych znalazły się w związku z interesami osobistemi mego ojca. Będę o nich mówił w rozdziale następnym. O bardzo wielu też czynnościach Banku wcale nie wspomniałem, bo o nich dosyć dokładnej wiadomości nie miałem, albo też wcale o nich nic nie wiedziałem. O bardzo też wielu mogłem zapomnieć, boć to już prawie pół wieku od tych czasów upłynęło. Dlatego też nie podaję mojego opowiadania za dokładny obraz czynności Banku Polskiego, z tych nawet Wydziałów, któremi mój ojciec kierował. W tem jednak co opisałem, wątpię ażeby się niedokładność jakaś zakradła i w tej mierze odwołuję się do świadectwa wszystkich, nielicznych już wpraw-

dzie, dawnych urzędników Banku Polskiego i Wydziału Górniczego, którzy te czasy pamiętać mogą. Tak w tym rozdziale jak i w poprzednim pod tytułem: „Bank Polski przed rewolucyą listopadową“, opisałem nietylko te operacye, które się świetnie powiodły, ale i te które się nie udały. Nie starałem się bowiem o napisanie panegiryka. Nie starałem się dowieść, że Henryk Łubieński jakieś nowe nadzwyczajne miał pomysły. Wykazałem przeciwnie, że wszystkie przedsiębrane przez niego prace, miały na celu tylko zadośćuczynienie potrzebom krajowym, które wprawdzie wrodzona mu bystrość umysłu i gorąca jego miłość dobra publicznego i stanowisko na jakiem się znajdował, pozwalały mu odczuwać i przewidywać na lat czasem 30, a nawet i 50 wcześniej, niż one przeszły do samopoznania ogółu. Przedstawiłem także, o ile to było możliwem i o ile o tem miałem wiadomości, trudności z jakiemi miał do walczenia, z których wiele po dziś dzień jeszcze rozwój ekonomiczny naszego kraju tamują. Z tego jednak com opowiedział, czytelnik uzna zapewne, że nie małą zasługą Henryka Łubieńskiego było to, że się nigdy nie lenił i nie odkładał obmyślania środków uczynienia zadosyć potrzebom

krajowym do czasu, kiedy te potrzeby już gwałt społeczeństwu zadawać zaczynały i że się nie zrażał trudnościami i przeciwnościami, ale z niemi nieustannie wytrwale, wszelkiemi godziwymi sposobami, dla dobra publicznego walczył.

Interesa osobiste Henryka Łubieńskiego z Bankiem Polskim.

Gdybym nie był naocznym świadkiem usług, jakie mój ojciec, w epoce porewolucyjnej oddał najrozmaitszym osobom i krajowi całemu, i gdybym spuściznę tych usług przez niego oddanych nie cenił sobie wyżej nad majątek, z brakiem którego w ciągu całego życia walczyć mi jednak potrzeba było, tobym powiedział, że to wielka szkoda, że mój ojciec zaraz po rewolucyi służby publicznej nie opuścił. Dla jego działalności przedstawiało się dosyć obszerne i dosyć wdzięczne pole, u siebie na wsi, w Guzowie.

W dobrach guzowskich wysiewało się przeszło 2000 korcy oziminy; lasu i to pięknego było w nich przeszło 150 włók. Dochody z czynszów i młynów wynosiły około 60,000 złotych, dochody z propinacyi prawie dwa razy tyle. Zaraz po kupieniu Guzowa od rodzeństwa w r. 1827,

mój ojciec założył w Guzowie fabrykę cukru. Nie pierwszą w Polsce, jak to powszechnie mówią. Pierwszą założył Jenerał Baron de Galichet, w dobrach swojej żony Izdebnie pod Błoniem, na współkę ze szwagrem swoim Piotrem Łubieńskim. Zdaje mi się, że także przed fabryką guzowską założoną została fabryka cukru w Boćkach, w okręgu Białostockim, przez hrabiego Jana Potockiego. Ale egzystencya obu tych, bardzo małych zresztą fabryk, była krótkotrwałą, kiedy przeciwnie fabryka guzowska należała zawsze do liczby największych w Królestwie, i przetrwawszy period kosztownych prób i zawodów, nieuniknionych przy rozwoju każdego nowego przemysłu, istnieje do dziś dnia, wprawdzie nie w ręku dzieci Henryka Łubieńskiego. To jednak zaszło skutkiem okoliczności, które niezawodnie nie byłyby nastąpiły, gdyby się on był już wtenczas wyłącznie swoim interesom poświęcił. Tu zaś zaznaczyć trzeba, że i tak, od roku 1827 do roku 1835, Henryk Łubieński, nie mieszkając w Guzowie, dojeżdżając tam tylko na niedziele, doszedł do takich rezultatów, że bez żadnej a żadnej pomocy ze strony Banku Polskiego, spłacił około pół miliona długów popruskich, i kupił na spółkę ze swoją teścią, Konstancyą z Potockich po Janie Po-

tockim wdową, 2° voto Edwarda Raczyńskiego małżonką, tudzież z bratem Józefem, graniczące z Guzowem obszerne dobra Szymanów, Oryszew i Miedniewice. Po sprzedaniu zaś tych dóbr Jakubowskiemu i Blumowi, młodym i przedsiębierczym spekulantom, którzy na dostawach wojskowych w r. 1831 i na dzierżawie Loteryi majątek zrobili, już sam kupił dobra Jeżewo pod Borkiem w Księstwie Poznańskiem. Dalej tak postępując, byłby prawdopodobnie każdemu ze swoich dzieci ładną zostawił fortunę. Losy przędzalni lnu w Żyrardowie, byłyby także pod kierunkiem tak pracowitego i energicznego administratora inny obrót wzięły. Stało się inaczej. Pozostał na służbie w Banku Polskim, praca jego codziennie wzrastała, coraz mniej czasu i pracy swoim własnym interesom poświęcać był w stanie. Lecz komplikacya różnych okoliczności, w długi względem Banku go wciągnęła.

Już poprzednio mówiłem, że pierwszy dług Henryka Łubieńskiego w Banku Polskim, kilkudziesięciu tysięcy rubli, powstał z przejęcia na siebie sumy, z jaką Ejzyk Schönberg i Halpert, komisanci użyci do sprowadzania wołów z Ukrainy do Królestwa w latach 1831 i 1832, nie potrafili się Bankowi Polskiemu wyrachować. Takich długów cudzych, przez niego przejętych, skoro

tylko myślał że było z jego strony jakieś zaniedbanie, liczba była jeszcze większa; o nich nie wspominam, bo sumy bywały mniejsze i rachunki ich zostały w swoim czasie pozamykane. Ja sam zresztą nie o wszystkich wiedziałem. O rachunku Schönberga i Halperta wspomniałem, bo był większy, i bo sam później rachunek ten uregulowawszy, dobrze o nim pamiętałem, a nareszcie bo w aktach notaryalnych układów mojego ojca z Bankiem i we właściwych aktach z Archiwum Banku Polskiego, można się o nich przekonać.

Mówiłem także już poprzednio, że po rewolucyi, zgłaszały się do Henryka Łubieńskiego najrozmaitsze osoby, o radę lub pomoc w rozlicznych interesach. Zgłosiła się także między innemi, w początkach 1832 roku pani Konstancya z Moszczeńskich hrabina Sołtykowa, żona Romana Sołtyka, dziedzica dóbr Chlewisk, emigranta, z prośbą ażeby jej poradził jakby wyratować chociaż cokolwiek z majątku męża, zagrożonego, nie wyrzeczoną jeszcze, ale przewidywaną konfiskatą. Około niej, a raczej około interesu chlewiskiego, kręciło się dwóch młodych inżynierów górniczych, Jacek Lipski i Antoni Klimkiewicz, których Łubieński zupełnie

dotąd nie znał, bo Górnictwo w rok później dopiero pod dyrekcyę Banku Polskiego przeszło. Nie było jednak innego środka, jak korzystać z propozycyi tych panów, gdyż czasu nie było do stracenia. Z porady tedy jego zawiązaną została spółka pod firmą: „Lipski, Klimkiewicz i Sp.“ Nie wymienionymi z nazwisk spólnikami, byli hrabia Moszczeński, brat p. Sołtykowej, jej interesa reprezentujący i Maurycy Kossowski były urzędnik Komisyi Spraw Wewnętrznych, którego Łubieński znając z zacności charakteru, do tej Spółki wprowadził, dla ułatwienia sobie możności wykonywania nad nią kontroli. Tej Spółce hrabina Sołtykowa, zaopatrzona w należytą plenipotencyę od męża, wydzierżawiła Chlewiska na długie lata, za czynsz bardzo nizki, z prawem retensyi dóbr, aż do czasu zwrotu nakładów jakie dzierżawcom czynić dozwolono. Lipski i Klimkiewicz zaś skupili natychmiast prawa pana Moszczeńskiego, zobowiązując się płacić jemu, a raczej Sołtykom, Kasztelanowi, Jenerałowi i jego żonie, pewną umówioną sumę corocznie dopóty, dopóki pozostaną w posiadaniu Chlewisk. Kontrakty te wszystkie znajdują się przy księdze hypotecznej dóbr Chlewiskich. Wkrótce potem dobra te uległy konfiskacie, ale Rząd uszanował kontrakt kompanii Lipski,

Klimkiewicz i Sp., podniósł tylko czynsz dzierżawny o tyle, ażeby wystarczył na opłatę procentów od wszystkich a dosyć znacznych długów na tych dobrach zabezpieczonych. Dzierżawcy zgodzili się na tę podwyżkę, bo byli młodzi, pełni zaufania w swoje siły i mieli nadzieję zwiększenia dochodów z fabryk żelaznych chlewiskich, przez powiększenie ich produkcyi a zmniejszenie jej kosztów, przy zastosowaniu nowej metody fabrykacyi, pudlingowania i walcowania żelaza. Ale na to potrzeba było nakładów. Funduszów na nie odpowiednich nie posiadali; zgłosili się więc do Banku Polskiego o pomoc. Właśnie też Górnictwo Rządowe w Królestwie przeszło było pod dyrekcyę Banku Polskiego. Kwestya wypróbowania praktyczności nowej metody fabrykacyi żelaza, stawała się dla samego Banku ważną. Ale lepiej było pozostawić odbywanie prób przemysłowi prywatnemu, niż je powierzać Urzędnikom Rządowym, pozbawionym bodźca własnego interesu. Bank zgodził się więc na danie panom Lipski, Klimkiewicz i Spółka zaliczeń.

Zadanie tych panów nie łatwe było do spełnienia. Potrzeba było ponosić ciężary dzierżawne przed osiągnięciem zysków z fabryk jeszcze nie zbudowanych. Przed przystąpieniem

nawet do budowy tych fabryk, potrzeba było odbywać rozliczne próby, dla zastosowania opału drzewnego do metody pudlingowania i szwajsowania, funkcyonujących dotychczas tylko na węglu kamiennym. Próby te, pod względem technicznym, uwieńczone zostały pożądanym skutkiem. Skorzystali z nabytego w Chlewiskach doświadczenia liczni w kraju fabrykanci, Bocheński, Kotkowski i inni. Ale panowie Lipski, Klimkiewicz i Sp. przed wykończeniem zaprojektowanych przez nich i rozpoczętych przy pomocy Banku Polskiego fabryk, okazali się niewypłacalnymi. Zagrażała im exmisya z dzierżawy. Bankowi zagrażała strata danych im zaliczeń; Sołtykom także zagrażała strata zapewnionej im intraty, która była pierwiastkowym celem zawiązania całego tego stosunku i była jedynym funduszem tak Jenerała Romana Sołtyka, jak i ojca jego, sędziwego i zasłużonego w kraju starca. W dodatku, na dokończenie budowy rozpoczętych fabryk, potrzebne były jeszcze dalsze zaliczenia. Tak znacznych nakładów trudno było oprzeć na samym tylko kontrakcie dzierżawnym. Dobra chlewiskie należały już do Rządu z tytułu konfiskaty. Myśl przyłączenia kopalni i fabryk chlewiskich do Górnictwa Rządowego, które właśnie Bank Polski organizował, nasuwała się

bardzo naturalnie. Komisya Rządowa Skarbu, przystępując z kolei interesów do uporządkowania stosunków prawnych i administracyjnych dóbr skonfiskowanych, kilkakrotnie Bank Polski zapytywała, czyby nie uznał za właściwe dobra chlewiskie, jako górnicze, do Górnictwa Rządowego wcielić. Ale Chlewiska były w dzierżawie, na tej dzierżawie były już oparte zaliczenia Bankowe, nadto były one majątkiem skonfiskowanym. Dysponować niemi bez wiedzy i zezwolenia ich dawnych dziedziców było uważane za rzecz niegodziwą. Wszakże i Pierwszy Konsul Bonaparte, kiedy przed kupnem letniego pałacu „La Malmaison“, dawał polecenie swojemu notaryuszowi wyszukania mu jakiego majątku ziemskiego, najwyraźniej zastrzegł, aby to nie był majątek poduchowny, ani też emigrantowi skonfiskowany. Nie było innej rady, tylko potrzeba było wydobyć natychmiast interes cały z rąk dzierżawców niewypłacalnych, ułożyć się z Sołtykami o prawo własności i w przedmiocie dochodów przez dzierżawców im zapewnionych, kupić dobra obdłużone na subhastacyi, wykończyć fabryki i dopiero zlikwidować cały interes przez przyłączenie go do Górnictwa Rządowego.

Bank Polski zgodził się na ten projekt,

i należało przeprowadzić ten cały szereg czynności. Bank nie mógł tego pod własnem imieniem uczynić, bo nie mógł wchodzić w stosunki z Sołtykiem emigrantem. Nie mógł także wyzyskiwać pod swojem imieniem kontraktu dzierżawnego, pozornie przynajmniej sprzecznego z interesem Skarbu. Potrzeba było koniecznie jakiegoś pośrednika, *un homme de paille,* któryby posiadał zaufanie Banku Polskiego, potrafił wzbudzić zaufanie Sołtyków i nie obawiał się kompromitacyi. Podjął się tej roli Henryk Łubieński. W początkach 1836 roku, za kontraktami spisanymi, o ile pamięć mnie nie myli, przed Pisarzem aktowym Engelke, skupił prawa dzierżawców Lipski, Klimkiewicz i Spółka (n. b. już nie Lipski w tych aktach figurował, ale jego prawo nabywca Schouppe). Przejął wszystkie ich zobowiązania, między innemi i dług Bankowy. Objął dobra chlewiskie w swoje posiadanie. Porozumiał się z hrabią Romanem Sołtykiem za pośrednictwem księcia Adama Czartoryskiego, zobowiązując się po kupieniu dóbr Chlewiskich na subhastacyi, zapłacić mu różnicę między umówioną z nim za te dobra cenę, a szacunkiem jaki będzie musiał na licytacyi postąpić. Ślady tego układu muszą się znajdować w korespondencyach po księciu Adamie Czartoryskim pozostałych. Potem

polecił bankierowi warszawskiemu Jakóbowi Bergson i naczelnikowi Domu Braci Łubieńskich i Spółka pułkownikowi Noffok, skupować na ich imię, ale na rachunek Banku, długi na Chlewiskach zahipotekowane, na co Bank Polski otworzył im odpowiednie kredyty. Kazał im także przystąpić zaraz do subhastacyi tych dóbr, której żaden z licznych, ale drobnych wierzycieli hipotecznych, mając zresztą zabezpieczony dochód procentowy z czynszu dzierżawnego, przedsiębrać nie śmiał; i nareszcie przystąpił do kończenia budowy i urządzenia fabryk chlewiskich, rozpoczętych przez drzierżawców Lipski, Klimkiewicz i Sp. na co naturalnie Bank Polski, jako w interesie jego się dotyczącym, z funduszów na Górnictwo Rządowe przeznaczonych, potrzebne pieniądze awansował, zapisując je zawsze na rachunek Lipski, Klimkiewicz i Spółka, której to firmy tytularnym właścicielem, a zatem i nominalnym dłużnikiem Banku, był teraz Łubieński.

Trzecim interesem, z którego powstały rachunki między moim ojcem a Bankiem Polskim, był interes ostrowiecki. Historya tego interesu była następująca. Przed rewolucyą jeszcze, książe Lubecki rozpoczął budowę kanału, mającego uspławnić rzekę Kamionnę. Rewolucya

przerwała tę robotę, tak jak tyle innych w kraju. Kiedy w roku 1833 Dyrekcya Górnictwa Rządowego w Królestwie Polskiem powierzoną została Bankowi Polskiemu, kwestya dokończenia tego kanału, ściśle z całym projektem organizacyi Górnictwa związanego, bo na tym kanale miały stanąć fabryki w Starachowicach, Brodach, Michałowie i Nietulisku, wystąpiła znowu na stół. Roboty kanalizacyjne były już znacznie posunięte na gruntach dóbr rządowych i na gruntach dóbr prywatnych ostrowieckich i bodzechowskich, należących przed rewolucyą do Jerzego Dobrzańskiego i do Gustawa hrabiego Małachowskiego, którzy upatrując w przeprowadzeniu tego kanału przez ich grunta korzyść dla kraju i dla siebie, wykonaniu robót ziemnych na swoich gruntach nie sprzeciwiali się, chociaż w przedmiocie wynagrodzenia za grunta pod kanał zajęte, jeszcze się nie byli ze Skarbem porozumieli. Ale wtenczas Rząd był krajowy i między Rządem a obywatelstwem istniał stosunek wzajemnego zaufania. Po rewolucyi już ten stosunek nie istniał; dobra bodzechowskie zresztą, zostały skonfiskowane, nie przedstawiały przeto żadnej trudności. Ale Jerzy Dobrzański był umarł, sukcesorowie jego tylko z dobrodziejstwem inwentarza spadek przyjąć mogli. Układ z niemi dobrowolny,

w przedmiocie alienacyi gruntów pod kanał zabranych, był niemożliwym. A nadto korzystając z okoliczności, że roboty kanalizacyjne na ich gruntach jeszcze przed rewolucyą rozpoczęte były bez piśmiennego zezwolenia ich ojca, grozili wystąpieniem z ogromnemi pretensyami do Skarbu; proponowali z drugiej strony sprzedaż tych dóbr, bo wiedzieli, że się przy nich nie będą mogli utrzymać. Ale byli zdecydowani uporczywie się bronić przeciwko wszelkiej subhastacyi, w celu jak najdłuższego korzystania z intrat, różnymi pozornemi kontraktami dzierżawnymi zabezpieczonych od zajęć, a zwłaszcza w celu wyzyskania dla siebie jakiegoś wynagrodzenia, za wstrzymanie się od sporów subhastacyjnych. Bank nie chciał żądać od Rady Administracyjnej upoważnienia zastosowania przepisów o wywłaszczeniu dla użytku publicznego, nietylko dla uniknięcia dopiero co wymienionego procesu, którym Dobrzańscy grozili, ale także dla tego, że to byłoby za sobą pociągnęło konieczność przedstawienia Radzie Administracyjnej całego projektu urządzenia Górnictwa Rządowego. Ten projekt zaś, z powodu rozmaitych, nie dosyć wystudyowanych kwestyj, jeszcze dosyć stanowczo określonym być nie mógł. Zresztą właśnie dla tego Rada Administracyjna dyrekcyę Górnictwa Rzą-

dowego Bankowi Polskiemu powierzyła, ażeby uniknąć konieczności decydowania w kwestyach technicznych, w których swoję niekompetencyą zupełnie uznawała Nareszcie w owych czasach potrzeba było jak najwięcej robić, a jak najmniej gadać. Bo łatwiej było otrzymywać absolutorya na wydatki już dokonane, aniżeli upoważnienia na przedsiębranie robót jeszcze nie rozpoczętych, co do których użyteczności, potrzeby, właściwości i oportunistyczności, rozmaite zdania być mogły. Rada Administracyjna nawet sama to wskazała w decyzyi wydanej w przedmiocie upoważnienia Banku do kupna na rzecz Górnictwa Zakładów Fabrycznych w Niwce. Potrzeba było przeto ułożyć się z Dobrzańskimi.

Układ z Dobrzańskimi przeprowadził na rzecz Banku, ale pod swojem imieniem warszawski bankier Abraham Simon Cohn. Roch Dobrzański otrzymał jakieś odstępne w gotowiźnie, pułkownik Łukasz Dobrzański zapewnienie że nabywca dóbr ostrowieckich odprzeda mu, za umówioną cenę, wieś Wolę Sienninśką do tych dóbr należącą. Pod tymi warunkami Dobrzańscy zrzekli się prawa czynienia sporów subhastacyjnych i oddali dobra ostrowieckie w natychmiastowe posiadanie, które do czasu przeprowadzenia sub-

hastacyi, zabezpieczone zostało przez wydzierżawienie tych dóbr za zaległości Towarzystwa Kredytowego. Cohn zaczął zaraz skupować długi hipoteczne na Ostrowcu, na co mu został przez Bank otwarty specyalny kredyt, przeprowadził subhastacyę tych dóbr, Wolę Siennińską oddał zaraz, a raczej wcale nie odbierał Łukaszowi Dobrzańskiemu, który sprzedał ją wkrótce potem z korzyścią Cyryakowi Karczewskiemu, a Karczewski cały jej szacunek wyciągnął z lasu, stanowiącego cząstkę lasów do dóbr Ostrowca należących. W dalszych projektach Banku była także sprzedaż dóbr Rzeczniowa, które z Dobrami ostrowieckiemi nic innego wspólnego nie miały, jak komplikacye hipoteczne, z powodu których jednoczesna subhastacya obu tych majątków konieczną była. I może być, że rodzice moi mieli zamiar kupienia z czasem dóbr Rzeczniowa, bo pamiętam, że moja matka o tej wsi często wspominała i do świętego Restytuda, którego relikwie w kościele rzeczniowskim się znajdowały, nabożeństwo miała. Ale same dobra ostrowieckie, z fabrykami i obszernymi lasami, graniczącymi z ogromnem leśnictwem Iłżecko-Starochowickiem, Bank zamierzał dołączyć do Górnictwa Rządowego. To też objęcie w posiadanie faktyczne tych dóbr nastąpiło nie przez Cohna, ale przez Ad-

ministracyę, zaprowadzoną tam przez Henryka Łubieńskiego, która rozpoczęła budowę dwóch wielkich pieców, mających wraz z trzecim dawniej tam istniejącym, wejść w skład fabryk żelaznych rządowych. Fundusze na budowę tych wielkich pieców i na bieg istniejących już fabryk, dostarczał Zarząd Górnictwa Rządowego, któremu też i produkta fabryczne oddawane były, co zresztą i w fabrykach chlewiskich, od chwili objęcia ich w posiadanie przez Łubieńskiego, praktykowało się.

Powodem wejścia Banku w interes ostrowiecki był jak mówiłem, zamiar dokończenia kanału spławnego rzeki Kamionnej. Pomimo to kanał ten dokończonym nie został. Dla zbudowania go potrzeba było ująć wodę i wybudować szluzę na gruntach dóbr Chybice, należących do pana Karwickiego. Temu nic nie przeszkadzało do zawarcia dobrowolnej umowy o grunta pod kanał zająć się mające, a nawet do takiego układu zdawał się być skłonnym. Bank zaproponował zapłacić mu za ziemię pod kanał zajętą, szluzę tak urządzić, ażeby mógł skorzystać z uchwyconego spadku wody, dla wybudowania młyna o dziesięciu przynajmniej kamieniach; i przestrzeń kilkusetmorgową błot osuszyć tak, ażeby mogły być zamienione na suche i sztucznie nawadniane

łąki. Karwicki układał się, ale zwlekał ostateczną decyzyę. Dopiero jak się dowiedział, że Bank, a raczej z polecenia Banku Cohn, umówił się już z Dobrzańskiemi, myśląc że bez jego łaski Bank nie będzie się mógł obejść, zażądał nietylko wyższej ceny za zająć się mające grunta, którą Bank byłby mu nawet zapłacił, ale oprócz tego żądał wybudowania i kompletnego urządzenia ogromnego pytlowego młyna, wykarczowania całej przestrzeni błot osuszyć się mających, i zaprowadzenia na tej przestrzeni irygacyi, wszystko to kosztem Banku. Od tych warunków pomimo zaklinań Henryka Łubieńskiego, pomimo groźb, że kraj cały złorzeczyć mu będzie za pozbawienie go kanału spławnego, odstąpić nie chciał. Bank zaś, mógł trochę taniej lub trochę drożej zapłacić za kilkadziesiąt morgów zajmowanego gruntu, mógł nie przywłaszczać sobie użytków ze spadku wody na cudzym gruncie ujętego, ale nie mógł swoim kosztem wznosić kosztownych budowli i wykonywać robót widocznie tylko korzyść prywatnej osoby na celu mających. Układ z Karwickim tedy nie doszedł do skutku. Bank odstąpił od zamiaru uspławnienia rzeki Kamionnej. Woda tej rzeki już tylko za motor przy wzniesionych nad nią fabrykach użytą została. A błota chybickie, które przed 50 laty mogły być za-

mienione na najpiękniejsze łąki, przedstawiają dotychczas przestrzeń nieużyteczną kępami i krzakami zarosłą.

Wcielenie dóbr i fabryk chlewiskich i ostrowieckich do Górnictwa Rządowego, nie mogło nastąpić przed uporządkowaniem wszystkich kwestyj hipotecznych, i przed dokończeniem wznoszonych tam fabryk. Dopiero bowiem zwiększenie dochodu, przez powiększenie fabryk, mogło usprawiedliwić cyfry wyższe szacunku tych dóbr, od cen za jakie na licytacyach były, lub miały być kupione, i od nakładów poczynionych na budowę fabryk w nich wzniesionych. Cyfry zaś wyższe koniecznie potrzeba było rządowi polikwidować, dla pokrycia odstępnego danego Dobrzańskim i ciężarów wynikających z układów z Sołtykami. To też Bergson popierał subhastacyę Chlewisk, Cohn już był przeprowadził subhastacyę Ostrowca, i popierał tylko spory klasyfikacyjne. Budowa fabryk energicznie prowadzoną była, pod kierunkiem najzdolniejszego może w owych czasach inżyniera hutniczego w Polsce, Antoniego Klimkiewicza, a pod kontrolą w Chlewiskach pułkownika Borowskiego, a w Ostrowcu Referendarza Stanu Morawskiego, kiedy zaszły dwa wypadki, które obu tym interesom zupełnie inny obrot nadały.

Zachwiał się najprzód Abraham Simon Cohn, skutkiem bankructwa Horowicowej, córki najbogatszego niegdyś w Warszawie żyda, Szmula Berka Sonnenberga, która mniej może roztropnie wekslami odeskiemi i moskiewskiemi handlując, z okazyi kryzysu handlowego 1837 r. znaczne straty poniosła. Cohnowi jak już mówiłem otwarty był przez Bank Polski kredyt specyalny na kupno długów na Ostrowcu zahipotekowanych, a długi te jak równie i same dobra ostrowieckie kupione zostały na jego imię. Nie można było dopuścić, ażeby te aktywa przyłączone zostały do masy jego upadłości, gdyby takowa ogłoszoną została, ani też wystawiać Bank na likwidowanie udzielonych mu na te interesa zaliczeń, na równo z innymi jego wierzycielami. A zatem, potrzeba było co prędzej hipoteki te z jego rąk wydostać, i ten jego rachunek w Banku uregulować. Henryk Łubieński zażądał natenczas od Cohna przepisania na niego własności Ostrowca i kapitałów za które te dobra kupione zostały, i wyjednał od Rady Administracyjnej upoważnienie dla Banku do udzielenia mu pożyczki na hipotekę tych dóbr. Ta pożyczka pokryła część rachunku Cohnowi przez Bank otwartego. Dla zregulowania zupełnego tego rachunku musiał Henryk Łubieński, przy pomocy

Cohna, szukać postronnego i znacznego kredytu. Znalazł go, wydając zobowiązania dostawy w pewnych terminach znacznych ilości żelaza. Cohn spieniężył te zobowiązania u Ludwika Halperta i u Gabriela Bergsona, którzy otrzymali dodatkowo bezpieczeństwo hipoteczne na Ostrowcu i na Guzowie. Zaciągnięcie takich zobowiązań, już nie pozwalało myśleć, o przyłączeniu fabryk ostrowieckich do Górnictwa Rządowego. A nawet potrzeba było przygotować się do przerobienia na żelazo, surowcu przez trzy wielkie piece ostrowieckie produkować się mającego, który, podług pierwiastkowych projektów, miał być absorbowany przez walcownię rządową w Nietulisku. W tym celu Łubieński przystąpił do budowy, już wcale nie zbytkownej, ale na nieszczęście drewnianej i gontem krytej walcowni, Irena zwanej, pod Zaklikowem w Lubelskiem, wpośród obszernych lasów zakupionych na wyrąb, po bardzo niskich cenach od Pani Kasztelanowej Puchaliny. Ale awanse przez kasy górnicze rządowe poczynione na budowę fabryk ostrowieckich, pozostały do uregulowania, i stały się długiem Henryka Łubieńskiego.

Układ jego z Sołtykiem w przedmiocie sprzedaży Chlewisk był właśnie w tej epoce przeprowadzony. Sołtyk, ułożywszy się z księ-

ciem Adamem Czartoryskim, zaczął rozgadywać po Paryżu, że swój majątek, miliony wartujący a skonfiskowany, dozwolił Henrykowi Łubieńskiemu kupić za bezcen. Emigracya polska była wtenczas bardzo starannie szpiegowana przez ambasady rosyjskie. Gadania Sołtyka zostały zaraportowane ambasadzie w Paryżu, która o nich do Petersburga donieść naturalnie musiała. Minister Spraw Zewnętrznych podał je do wiadomości Cesarskiej, bo Cesarz Mikołaj chciał wiedzieć wszystko co się Polski i polaków tyczyło. Cesarz wiedział kto był Roman Sołtyk, bo i w czasie rewolucyi i w emigracyi był dosyć głośnym. Wiedział także kto jest Henryk Łubieński. Doniesienia paryskiego atoli zrozumieć nie mógł, i zażądał objaśnień od Paszkiewicza. Namiestnika Paszkiewicza nic tak nie niepokoiło, jak kiedy do Cesarza dochodziła jaka wiadomość o Królestwie Polskiem, inną drogą jak przez niego. Posłał przeto specyalną Komisyę do Radomia i do Chlewisk, dla wybadania o co chodzi. Zaraportowano mu, że Chlewiska są bardzo piękne i obszerne dobra, Sołtykowi skonfiskowane, w posiadaniu dzierżawnem Henryka Łubieńskiego pozostające, i z polecenia tegoż subhastuje je Jakób Bergson, a termin licytacyi już jest nie zbyt daleki. Po otrzymaniu takiego raportu, Na-

miestnik dał przedewszystkim rozkaz Komisyi Skarbu, ażeby do kupna tych dóbr nikogo nie dopuściła, ale żeby je sama, na rzecz Skarbu zalicytowała. Konkurować ze Skarbem nie było już podobieństwa. Pułkownik Noffok licytował tylko do takiej sumy, ażeby się wszystkie długi na postąpionym szacunku utrzymały. Skarb kupił Chlewiska, pozostawił je w posiadaniu dzierżawcy, bo taki był nawet warunek licytacyjny i złożył cały postąpiony szacunek do depozytu sądowego Banku Polskiego. Bank jedyny wierzyciel tych dóbr, bo wszystkie długi były dla Banku przez Jakóba Bergsona i Noffoka ponabywane, mając już szacunek w swoim depozycie, nie był interesowany w popieraniu klasyfikacyi. Prokuratorya w Królestwie, ze zwykłą sobie powolnością, także się o to nie postarała. Dopiero jak Jenerał austryacki Roman Sołtyk, syn Jenerała Romana Sołtyka, wyjednał sobie w r. 1862 odsprzedanie mu przez Rząd dóbr Chlewiskich, pod tymi samymi warunkami, pod jakimi Skarb je był kupił i gdy skutki wszystkich konfiskat jeszcze niewykonanych, ogólnie zniesione zostały, po przeprowadzeniu przez mecenasa Antoniego Wrotnowskiego klasyfikacyi, Roman Sołtyk i jego siostra Helena Gorayska, odebrali jeszcze kilka-

dziesiąt tysięcy rubli z Banku Polskiego pozostałych po zapłaceniu wszystkich długów.

Przed tą sprawą jeszcze, przyjechała do Warszawy pani Klementyna z książąt Sanguszków 1⁰ voto hrabina Ostrowska, 2⁰ voto hrabina Małachowska, dziedziczka dóbr Lubartowa w Lubelskiem, wcelu sprzedania ich. Do ich sprzedaży nic jej nie zmuszało, bo to była Pani bardzo bogata; ale sprzykrzyła sobie Lubartów, w którym w zamiarze zmodernizowania starożytnego i wspaniałego pałacu tamtejszego, zburzyła dwie ogromne oficyny i okazałą wieżę wjazdową, i odarła wnętrze pałacu ze staroświeckich ozdób. Alei rozłożystych lip, prowadzącej z tego pałacu aż do sąsiedniej Kamionki, skazanej przez nią na wycięcie, egzystencyę uratował sąsiad, Jenerał Weisenhof. Potem wstydziła się sama swojego wandalizmu; nie miała cierpliwości doczekać się restauracyi pałacu, fantastyczka, gwałtowna, niemająca żadnych obowiązków ani też zdrowia, chciała się co prędzej Lubartowa pozbyć. Naparła się tedy Henrykowi Łubieńskiemu, swojemu zresztą krewnemu, ażeby koniecznie dobra te od niej kupił. Żądała ceny bardzo nizkiej, innego zaliczenia nie chciała, jak podniesienia do rąk swoich pożyczki Towarzystwa Kredytowego, którą zaciągnąć dozwalała. Resztę szacunku pozosta-

wiała przy gruncie na cztery procent, i na rozpłatę po 30,000 rubli rocznie. Dobra te miały przeszło 2,200 włók rozległości. Z tego połowa pod nietkniętymi prawie lasami, przez które przepływała spławna rzeka Wieprz. Wysiewy ozime wynosiły przeszło 5000 korcy, na gruntach w ogóle dobrych. Łąki tak były obszerne, że za pamięci ludzkiej, nigdy w całości sprzątniętemi nie były. Przeszło 90,000 dni pańszczyzny odrabianej corocznie przez bogato uposażonych włościan, ułatwiały gospodarowanie. Henryk Łubieński nie oglądając prawie tych dóbr, kupił je. Nalegania pani Małachowskiej o prędkie zakończenie tego interesu kładł na karb jej nerwów, a nie wiedział, że o kupno tych samych dóbr starał się także Namiestnik Paszkiewicz, i że ona dlatego tak nagliła, że dóbr swoich moskalowi sprzedać nie chciała.

Na zapłacenie szacunku Lubartowa, nie potrzebował przeto Łubieński, chwilowo przynajmniej, pieniędzy. Ale ich potrzebował na koszta kontraktu, na spłacenie dzierżawcy (Wessla, który ztamtąd wychodząc kupił dobra Żyżyn), na kupno inwentarzy i na zagospodarowanie. Dla zebrania tych funduszów, sprzedał dobra swoje Jeżewo w Księstwie Poznańskiem hrabiemu Edwardowi Raczyńskiemu, pożyczył 15,000

rubli od pułkownika Mitkiewicza i 25,000 rubli od siostry swojej Sobańskiej. Plenipotent pani Małachowskiej zamieścił w kontrakcie sprzedaży rygory, nieobciążania hipoteki innymi długami i niesprzedawania drzewa towarnego z lasów przed uiszczeniem całej reszty szacunku. Dozwolono jednak wycinać coroczne poręby. Te z tak obszernych, przeszło 1000 włók chełmińskich rozległych lasów, niemało drzewa opałowego dostarczać mogły; ale na drzewo opałowe nie było jeszcze żadnego odbytu. Mając zaś do płacenia znaczne raty Towarzystwu Kredytowemu i raty pani Małachowskiej, Łubieński starał się o zabezpieczenie dochodu z lasu. W tym celu, w obszernych stajniach sanguszkowskich w Lubartowie, założył fabrykę fajansu; a następnie gdy się przekonał, że własność dóbr ostrowieckich i dzierżawa dóbr chlewiskich przy nim pozostać będą musiały, założył na spółkę z bankierem Antonim Fraenklem w tychże dobrach lubartowskich, we wsi Serocku, fabrykę stali. Żelaza bowiem ostrowieckie i chlewiskie, posyłane do Anglii na próbę, okazały się lepszemi do wyrobu stali, od najlepszych gatunków żelaza szwedzkiego i uralskiego. Cementowane na węglu drzewnym, miały dostarczać stali niezwykłej dobroci, o którą nożownicy an-

gielscy zawczasu się ubiegali. Część zaś wyrabiać się mającej stali, miała być na miejscu przekuwana na kosy i sierpy, dotychczas z zagranicy sprowadzane.

Wkrótce po kupieniu Lubartowa przez mego ojca, nastąpiły dwa wypadki, o których wspominałem. Gadania Sołtyka w Paryżu i skutkiem tego rozkaz przez Paszkiewicza wydany, niedopuszczania nikogo do kupna Chlewisk i zachwianie się Abrahama Simona Cohna. Mówię zachwianie się, a nie bankructwo, bo Bank objął w administracyę jego majątek i po zlikwidowaniu wielu aktywów, finalnie, już nie Cohnowi który umarł, ale jego spadkobiercom, oddał dobra jego Powązki pod Warszawą. Te dwa wypadki zmuszały Henryka Łubieńskiego do uregulowania rachunków zaliczeń przez Bank czynionych, na budowy fabryk chlewiskich i ostrowieckich. Nadto wyroby tych fabryk nie mogły już, tak jak poprzednio, być odstawione do magazynów Górnictwa Rządowego, ani też z kas górniczych nie mogły być czerpane fundusze potrzebne na utrzymanie tych fabryk w biegu. Potrzeba było obmyśleć bardzo znaczny kapitał obrotowy. Te wypadki, widok tylu potrzeb, tylu ciężarów, tylu odpowiedzialności, spadających na jego barki, przygnębiły go chwilowo.

Czy skutkiem tego, czy też w dodatku do tego, bo bieda nigdy pojedyńczo do człowieka nie zagląda, Henryk Łubieński śmiertelnie się rozchorował. Jego działalność tak była wtenczas przez świat handlowy ceniona, że wiadomość o jego chorobie wpłynęła na zniżkę papierów publicznych polskich na giełdzie berlińskiej. Ale silna natura przemogła. Wrócił do zdrowia i rachunki ostrowieckie i chlewiskie kasami Górnictwa Rządowego uporządkował, przenosząc sumy z tego tytułu Bankowi należne, za wiedzą i zgodzeniem się całej Dyrekcyi Banku, w której i późniejszy Wice - Prezes Niepokojczycki jeszcze zasiadał, na rachunki pożyczek na zakłady przemysłowe, takie jakie Bank każdemu fabrykantowi w kraju natenczas udzielał. A tych zakładów przemysłowych posiadał niemało. Nie mówiąc o 3 gorzelniach w dobrach guzowskich, 2 w ostrowieckich, 6 w lubartowskich, o browarach i tartakach w każdych z tych dóbr, bo te zakłady nie uchodziły natenczas za zakłady przemysłowe, i nie mówiąc o udziale w fabryce wyrobów lnianych w Żyrardowie, której losy były zupełnie od tych interesów odrębne; Łubieński posiadał wtenczas fabrykę cukru w Guzowie, 3 wielkie piece i 2 fryszerki w Ostrowcu, 2 wielkie piece i 5 fry-

szerek i walcownię żelaza w Chlewiskach, majątku tylko dzierżawionym, ale z prawem retencyi do czasu zwrotu znacznych nakładów w te fabryki poczynionych; dalej miał fabrykę fajansu w Lubartowie, budował walcownię żelaza w Irenie, i posiadał udział 85-procentowy w budującej się fabryce stali w Serocku. Jednem słowem, był jednym z największych, jeżeli nie największym natenczas przemysłowcem w Królestwie. Dla zabezpieczenia zaś sobie kapitału obrotowego, przez zredukowanie innych swoich operacyj przemysłowych, oddał swoję fabrykę cukru guzowską, w dzierżawę fabryce cukru hermanowskiej, przyjmując zamiast czynszu dzierżawnego, udział 15-procentowy w tej ostatniej fabryce.

Po uregulowaniu w taki sposób stosunków, zbyt może obszernych na barki jednego człowieka, i to nie swoimi, ale publicznymi interesami głównie zajętego, błysnęła chwilowo nadzieja ulżenia tej pracy i tej odpowiedzialności. Cocquerill, o którym już wyżej mówiłem, miał kupić fabrykę wyrobów lnianych w Żyrardowie i fabrykę stali w Serocku, a w Towarzystwach, które miał dla eksploatacyi tych fabryk zawiązać, Henryk Łubieński zachowywał dla siebie znaczne udziały. Tymczasem Cocquerill umarł. Pozostali po nim sukcesorowie i spólnicy,

odmówili dotrzymania pozawieranych przez niego punktacyj, a jednocześnie budowa walcowni w Irenie więcej kosztowała, aniżeli przewidywanem było, a zwłaszcza nie tak śpiesznie ukończoną została. Termina zobowiązań dostawy żelaza, wystawionych dla uregulowania rachunków Cohna z Bankiem upływały a żelaza tego jeszcze nie było. Coniar już był do pewnego stopnia zmonopolizował handel żelaza w Królestwie. Cena tegoż z 16 złotych za centnar, jaką miała w czasie wystawienia tych zobowiązań, podniosła się do 24 złotych. Potrzeba było posiadaczom tych zobowiązań płacić za niedostarczone im żelazo, po tych podwyższonych cenach. Ludwik Halpert, przystępując do spółki z Coniarem do interesu Administracyi fabryk żelaznych rządowych, odstąpił mu znaczną część posiadanych przez siebie takich obligacyj żelaznych. Ztąd Henryk Łubieński dostał się w ręce Coniara, a ten nietylko skutkiem tego wszedł ze znacznym kapitałem na hipotekę Guzowa, ale i wymógł od niego przypuszczenie go do udziału w stosunku czterdziestu od sta do interesu fabryki stali w Serocku, z prawem Dyrekcyi tego interesu, i powierzenie mu sprzedaży komisowej żelaza, wyrabianego w Ostrowcu, Irenie i Chlewiskach. Na domiar złego, w rok zaledwie

po skończeniu budowy walcowni w Irenie i wśród najświetniejszego jej biegu, bo regularnie co tydzień 1000 do 1200 centnarów żelaza walcowanego w różnych kalibrach oddawala, fabryka ta w lutym 1841 r. całkowicie zgorzała.

Łubieński chciał wtenczas opuścić urzędowanie w Banku Polskim, i przystąpić do likwidacyi swoich interesów. Stosunki organizującego się dopiero Górnictwa Rządowego, nie były jeszcze wszystkie ostatecznie wyjaśnione i ustalone. Przed opuszczeniem służby, chciał przyprowadzić wszystko do porządku. Wyjechał w tym celu na objazd Górnictwa. Ale Prezes Lubowidzki spostrzegłszy się, jak współdziałanie Łubieńskiego jest ważne i użyteczne we wszystkich interesach Bankowych, a w negocyującym się już projekcie konwersyi wszystkich długów Królestwa niezbędne, wysłał do niego mecenasa Wincentego Majewskiego, do skłonienia go, do ostąpienia od zamiaru opuszczenia służby publicznej. Gdy to uzyskał, Prezes Lubowidzki wyjednał od Banku dwie nowe pożyczki dla Łubieńskiego, jednę na odbudowanie walcowni w Irenie, drugą na spłacenie naraz kilku rat należnych pani Małachowskiej, w celu wyjednania od niej zwolnienia hipoteki Lubartowa od ścieśnień ją

krępujących i zabezpieczenia pożyczek bankowych na tych dobrach. Jeździł za tem Henryk Łubieński do Berlina do pani Małachowskiej która tam bawiła dla kuracyi na chorobę, na którą też niezadługo potem umarła. Towarzyszył mu w tej podróży mecenas Majewski. Hrabina Małachowska przyjęła zaproponowane jej, a jeszcze niewymagalne raty szacunku Dóbr Lubartowa; z odebranej sumy oddała zaraz 30,000 rubli jako ofiarę na budowę Kościoła Ś-go Boromeusza w Warszawie; zwolniła hipotekę Lubartowa ze wszystkich ścieśnień, i resztę szacunku z tych dóbr należnego, przeszło 200,000 rubli wynoszącą, darowała dzieciom Henryka Łubieńskiego. Bank dając te dwa nowe zaliczenia Łubieńskiemu, zażądał nadto, ażeby na czele swoich tak rozgałęzionych interesów, postawił osobę przez Bank Polski zaaprobowaną, w charakterze kontrolera ze strony Banku ustanowionego. Stanowisko to zajął najprzód, wychodzący właśnie z Banku, dla korzystania z wysłużonej emerytury, były Naczelnik Wydziału Przemysłu, Antoni Skupieński. A gdy tenże zapragnął użyć zasłużonego wypoczynku w dziedzicznym swoim majątku, zanim go znowu gotowość służenia krajowi nie powołała na Naczelnika Domu Zleceń Rolniczych w Kaliszu, interesa Łubieńskiego

objął Wojciech Trzetrzewiński, Radca i późniejszy Prezes Dyrekcyi Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

W takim stanie były interesa Henryka Łubieńskiego w chwili, kiedy mu doręczono dymisyę. Zaraz po jej otrzymaniu wystąpił do Banku z propozycyą, regulacyi wszystkich swoich z nim rachunków.

Treścią propozycyj przez niego Bankowi Polskiemu uczynionych, było: oddanie Bankowi na własność dóbr lubartowskich, dóbr ostrowieckich i walcowni Irena; cesya Bankowi rozmaitych aktywów, w tej liczbie i pretensyi, jakie miał do Skarbu, *ex re* dzierżawy dóbr chlewiskich i zahipotekowanie na dobrach Guzowie kapitału 300,000 rubli, płatnego w sposobie amortyzacyjnym, mającym mieć pierwszeństwo przed kapitałem około 100,000 rubli na tych dobrach przez dzieci Henryka Łubieńskiego posiadanym, po ich matce odziedziczonym, i przed kapitałem przeszło 200,000 rubli, darowanym im przez panią Małachowską, który miał być z Lubartowa przeniesiony na Guzów. Bank zaś miał zapłacić długi należne Coniarowi, Halpertowi i Bergsonowi, zahipotekowane na Ostrowcu i dodatkowo na Guzowie. Tym sposobem cały kapitał od Henryka Łubień-

skiego Bankowi Polskiemu należny, miał być zapłacony.

Bank zaraz po otrzymaniu tej propozycyi dnia 24 stycznia 1843 roku, zaprowadził w Lubartowie, Ostrowcu i Irenie swoją administracyę, i odniósł się do Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego z zapytaniem, czy może przystąpić do jej rozbioru. Potem żadnej najmniejszej decyzyi na siebie nie biorąc, z każdą najdrobniejszą kwestyą odwoływał się do Dyrektora Głównego Komisyi Skarbu i do Rady Administracyjnnj. Takie postępowanie przeciągnęło negocyacye przez dwa lata i było powodem znacznych strat dla Henryka Łubieńskiego, jak naprzykład wynagrodzenie za zwłokę uzyskaną od Gabryela Bergsona, o którym w poprzednim rozdziale wspomniałem.

Układ zaproponowany Bankowi miał krytyków. Nie pochwalał najprzód jego zasad Feliks Łubieński, ojciec Henryka. Znając bowiem z dawien dawna i dobra Guzowskie i dobra Lubartowskie, był zdania, że potrzeba się starać utrzymać się raczej przy Lubartowie, niż przy Guzowie, jako przy majątku wdzięczniejszym, pewniejszym i więcej zasobów mającym. Zdania tego nie podzielał Henryk, już to dlatego, że nie chciał swojego ojca 85-letniego starca z Guzowa ru-

gować, już też dlatego, że w Guzowie o ile mu się zdawało, wszystkie nakłady gospodarskie były już porobione, a gospodarstwo Lubartowskie znacznych jeszcze nakładów mogło wymagać. Dalej Członek Rady Administracyjnej, Dyrektor Główny Komisyi Sprawiedliwości Wyczechowski, sprzeciwiał się przyjęciu propozycyi Łubieńskiego, nie dlatego ażeby ją za niekorzystną dla Banku poczytywał, ale dlatego, że dla wykonania tego układu potrzeba było zmniejszyć bezpieczeństwo hipoteczne kapitałów należących do dzieci jego, w znacznej jeszcze części małoletnich. Był przeto zdania, że chociażby Rada familijna opieki tych nieletnich, na takie ustępstwa się zgodziła, to Rząd, jako stróż z samego prawa interesów małoletnich, ofiary takiej od nich przyjmować nie powinien. Ale inni Członkowie Rady Administracyjnej nie byli przystępni dla takich względów wyższej moralności publicznej. Nareszcie była chwila, w której ja także temu układowi byłem przeciwny, mianowicie wtenczas, kiedy pod koniec 1844 roku zaczęło się zanosić na proces przeciw byłym Naczelnikom Banku Polskiego. Byłem natenczas zdania, że dzieci o tyle tylko ofiarę od nich żądaną dla uregulowania rachunków ojca z Bankiem ponieść powinny, o ile Bank i Rząd skwitują ich ojca z wszelkich pretensyj i od-

powiedzialności z tytułu jego urzędowania. Ale wszyscy moi stryjowie byli zdania, że godność sama nie pozwala mieszać jednego z tych stosunków z drugim. Znając zresztą historyę działalności mojego ojca, nie przypuszczali, ażeby proces przeciwko byłym Naczelnikom Banku, mógł nawet być wytoczonym, tem mniej zaś, ażeby mógł jakimkolwiek skazaniem się zakończyć.

Układ przeto przyszedł do skutku. Akta notaryalne w wykonaniu tego układu spisane zostały w marcu 1845 roku u Pisarza Aktowego Jeziorańskiego i w księgach hipotecznych dóbr Guzowa, Lubartowa, Ostrowca, Rzeczniowa, Grabowca i Zaklikowa. Kapitały od Henryka Łubieńskiego Bankowi należne, zostały całkowicie zaspokojone, czego trzy dowody przytaczam. Najprzód w układach tych Bank Polski nie bezwarunkowo przyjął dobra Ostrowieckie i Lubartowskie na własność w cenie w aktach notaryalnych wyrażonych. Przeciwnie, Bank pozostawiając sobie najzupełniejszą swobodę sprzedania tych dóbr bez wpływu Henryka Łubieńskiego, za taką cenę, jaką osiągnąć zdoła, zastrzegł, że gdyby przez ich sprzedaż nie zrealizował szacunku w jakim je przyjął, to ten niedobór miał być ciężarem

Łubieńskiego, a nawzajem gdyby wyższą za nie cenę osiągnął, przewyżkę powinien był jemu zwrócić. Bank sprzedał wkrótce dobra Lubartowskie, podzieliwszy je na kilka mniej rozległych części, i dobra Rzeczniów. Dóbr Ostrowieckich i walcowni Irena, długi czas nie sprzedawał. Nastały wypadki 1863 roku, za nimi uwłaszczenie włościan i skasowanie pańszczyzny, która Fabryki Ostrowieckie obsługiwała. Ztąd wielka deprecyacya wszystkich dóbr ziemskich w Królestwie, dotkliwiej jeszcze dotknąć mogąca dobra Ostrowiec. Mieszkając wtenczas w Petersburgu, w roku 1866 podałem do Cesarza prożbę, o upoważnienie Banku Polskiego do sprzedania mnie, albo temu z moich braci, któryby z tej łaski mógł skorzystać, dóbr Ostrowca i walcowni Irena, za cenę taką, jaka wypadnie z obliczenia ogólnego szacunku, za jaki Bank wszystkie dobra mojego ojca przyjął, za potrąceniem sum zrealizowanych ze sprzedaży już dokonanych. Prożba moja uzyskała Najwyższe zezwolenie. Kupił wskutek tego w roku 1867 dobra Ostrowiec i Irenę mój brat Julian na spółkę z Baronem Antonim Fraenkel, i po trzech latach odsprzedał mu swoję współwłasność ze znacznym nawet zyskiem. Nadto główna część dóbr lubartowskich, kupioną była dobrze przed wypadkami 1863 roku. przez obywatela z Księ-

stwa Poznańskiego, hrabiego Stanisława Mycielskiego. Te wypadki zrujnowały go. Po kilku latach dobra te sprzedane zostały za zaległość Towarzystwa Kredytowego. Przy zupełnym braku konkurencyi, kupił je Bank dla ratowania swojej wierzytelności, ze znaczną częścią której nie utrzymał się na szacunku. Po wyjednaniu sprzedaży dóbr Ostrowca, zrobiłem Bankowi propozycyą kupienia dóbr lubartowskich, za cenę taką, ażeby Bank odzyskał całą swoję na nich ciążącą należytość. Bank jednak nie uważał, ażeby warunek co do niedoborów lub przewyżek ceny osiągnąć się mogącej przy sprzedaży tych dóbr, zamieszczony w układach z Henrykiem Łubieńskim zawartych, był dla niego obowiązującym, po kupieniu ich powtórnem na licytacyi. Nie przyjął też mojej propozycyi i podzieliwszy te dobra na drobniejsze części, sprzedał je za znacznie wyższą sumę. Nareszcie z układów Henryka Łubieńskiego wypadło, iż oprócz kapitału 300,000 rubli na Guzowie zahipotekowanego, potrzeba było wystawić jeszcze na tych dobrach dodatkową kaucyą na 30,000 rubli. Z tytułu tej kaucyi Bank o nic się przez długi czas nie upominał, ani też nabywca dóbr Guzowskich, Feliks Sobański, nie postarał się o jej wykreślenie.

Dopiero gdy kapitał odpowiedni tej kaucyi, złożonym został do depozytu z wynagrodzenia likwidacyjnego, Bank pozwał Henryka Łubieńskiego i Sobańskiego, żądając zamiany tej kaucyi na czysty wpis. Ale w tej sprawie, przez trzy instancye przez Bank przeprowadzonej, a w roku 1875 zakończonej, zapadły trzy jednozgodne wyroki, oddalające Bank Polski z żądaniem, i nakazujące wykreślenie tej kaucyi z hipoteki.

Mylnie przeto pan P. P. w artykule zamieszczonym w „Czasie“, mówi, że „przy tej katastrofie (majątkowej Henryka Łubieńskiego), brat jego Jan poświęcił kilkakroć sto tysięcy rubli, a siostra jego Sobańska, może więcej niż jej obowiązek opiekunki syna pozwalał“. Między braćmi Henrykiem i Janem istniały stosunki pieniężne, które uregulowane zostały odstąpieniem przez Henryka Janowi, prawa wieczystej dzierżawy wsi Szewna i Jurydyki Bielino. Ale Jan Łubieński za Henryka ani grosza Bankowi, ani nikomu nie był zmuszony zapłacić. Bank Polski rozwinął przeciwko niemu akcyę o długi fabryki żyrardowskiej, czyli Towarzystwa Wyrobów Lnianych, założonego w roku 1829, pod firmą Karol Scholtz i Spółka, którego Jan Łubieński był jednym ze wspólników firmowych. Ale na tym ostatnim cię-

żyła w tym interesie wina nieoględności, że będąc spólnikiem firmowym, wiedząc przez braci swoich, że interesa tego Towarzystwa wcale świetnie nie stoją, i że dwaj drudzy spólnicy, Józef Lubowidzki i Henryk Łubieński z powodu swojego stanowiska w Banku, czynnie się nimi zająć nie mogą, uchylał się od wszelkiego udziału nietylko w zarządzie, ale nawet w radzie. A być bardzo może, że gdyby Jan Łubieński, ze swoim zdrowym o interesach sądem i ze stanowiskiem osobistem, żadnymi innymi względami nie krępowanem, wziął udział w kierowaniu tym interesem, losy tej fabryki byłyby inny obrót wzięły, tak jak to miało miejsce w ręku panów Hille i Dittrich, którzy doń przystąpili z kapitałem prawie żadnym, a osiągali corocznie zyski o wiele przewyższające cyfrę całego długu, od firmy Karol Scholtz i Spółka, Bankowi Polskiemu należnego.

Co do pani Sobańskiej, to do czasu układów Henryka Łubieńskiego z Bankiem, nie miała ona z bratem swoim żadnych innych stosunków pieniężnych, jak pożyczkę 25.000 rubli udzieloną mu na kupno Lubartowa. Taka suma, ani jej możności, ani jej praw do majątku po jej mężu pozostałego, ani jej obowiązków względem jej dzieci nie przewyższała. Pani Sobańska weszła

dopiero później w inny zupełnie rodzaj stosunku pieniężnego z bratem Henrykiem, który poniżej nieco objaśnię.

Układając się z Bankiem Łubieński, starał się z innymi swoimi wierzycielami pozawierać układy. Tak Janowi, jak dopiero co mówiłem, odstąpił prawo wieczystej dzierżawy wsi Szewna i Jurydykę Bielino. Coniarowi, za odstąpienie od kontraktu sprzedaży komisowej żelaza, odstąpił dzierżawę Chlewisk, przekazując mu do spełnienia zobowiązania przez pierwiastkowych dzierżawców przyjęte względem Sołtyków. Pułkownikowi Mitkiewiczowi, w zapłacie sumy rs. 15.000 zaciągniętej na kupno Lubartowa, odstąpił połowę swojego udziału w fabryce cukru Hermanowskiej i udział 15% w fabryce stali w Serocku. Pawłowi Łubieńskiemu, synowcowi swojemu, w zamian za korzyści obiecane mu za zarząd dóbr Lubartowskich, powierzony mu od samego kupna tego majątku, odstąpił fabrykę fajansu w Lubartowie, i udział 25 procentowy w fabryce stali w Serocku, do którego nie był przywiązany obowiązek czynienia żadnych nakładów. Nakłady wszystkie mieli robić właściciele innych udziałów, i przed obliczaniem dywidendy, nakłady te miały być oprocentowane i umorzone w ciągu lat 15-tu, a po 15-tu latach, fabryka miała się stać wyłączną własno-

ścią posiadacza tego 25 procentowego udziału. Ale gdy nadeszły wypadki krajowe 1846 roku i wypadki europejskie 1848 roku, Rząd dwukrotnie zabrał z fabryki tej, i przewiózł do fortecy Iwangrodzkiej, cały zapas przygotowanych na sprzedaż wiosenną kos, za każdym razem po pół miliona sztuk z okładem, i wstrzymywał czasowo ich wyrób. Potem wprawdzie, zwracał kosy, ale tak zardzewiałe w wilgotnych kazamatach, iż już na sprzedaż niezdatne były. Po dwóch takich przejściach, spólnicy wyjednali u Henryka Łubieńskiego zezwolenie sprzedania tej fabryki Rządowi. I sprzedano ją za taką cenę, że ledwie kapitał na jej wzniesienie wydany zwrócił się. Prawo do wejścia w posiadanie tej fabryki po latach 15-tu znikło zupełnie i Henryk Łubieński starał się tę stratę póżniej wynagrodzić Pawłowi synowcowi w inny sposób.

Pozostały mu zaś dobra Guzowskie. Dobra te przez cały już szereg lat przynosiły około 300.000 złotych czystego dochodu. Długi wszystkie były amortyzacyjne, oprócz sum popruskich przekazanych kilkuset drobnym wierzycielom, niewiadomym nawet z pobytu, którzy się tylko kiedy niekiedy pojedyńczo po swoje wierzytelności zgłaszali. Opłata procentów i amortyzacyi tych wszystkich długów, kosztowała corocznie 240.000 złotych. Przy spokojnym biegu

rzeczy, pozostawało 60.000 złotych rocznie, na utrzymanie Henryka Łubieńskiego i jego dzieci. Pozycya nie była świetna, ale znośna. Inaczej jednak losy zrządziły. W roku 1845 urodzaje zapowiadały się w Guzowie tak świetne, jakich dotychczas nigdy nie widziano. Mój ojciec przyjechał z Warszawy do Guzowa na dni kilka. Rządca obwoził go z prawdziwą przyjemnością po folwarkach. 15 Lipca, gdy wracali do domu na obiad, zaczął padać deszczyk i ten deszcz padał bez przerwy przez trzy przeszło miesiące. Położenie dóbr Guzowskich jest zupełnie płaskie, spodnia warstwa gleby jest nieprzepuszczalna. Skutkiem tego deszczu, nie tylko zboże na pniu i na garściach porosło, ale były pola na które w czasie żniw ani wjechać, ani wejść nawet nie można było, sprzątano je dopiero po lodzie. Kartofli się nie kopało, tylko się je wyszukiwało, gmerząc w rzadkiem błocie. To też zamiast ilości dostatecznej na bieg 3-ch dużych gorzelń, sprzątnięto ich zaledwie dosyć na sadzenie w roku następnym. Taki sam stosunek był w sprzęcie buraków. Pastwiska stały się trujące, z 12.500 owiec, zdechło w ciągu zimy 11.500. Uprawy roli pod zasiewy ozime i jesienne, uprawy pod jarzyny i pod rośliny okopowe stały się niemożebnemi. To też intrata netto, po-

mimo ogromnych czynszów i dochodów propinacyjnych, z 300.000 złotych spadła w tym roku na złotych 13.000. Gospodarstwo tak zostało rozstrojone, iż w latach następnych, pomimo nakładów, pomimo pracy, pomimo rezultatów gospodarskich takich, że na kilku folwarkach, cała ozimina na świeżym była siana nawozie, intraty czyste podnosiły się stopniowo, na 36.000, 60.000, 90.000, 120.000 złotych i tak dalej, ale i po dziesięciu latach jeszcze nie doszły dawniejszej cyfry. Z dochodów bieżących nie podobna było opłacać corocznych ciężarów. Przez dwa lata jakoś łatało się dawnymi zapasami. Te jednak się wyczerpały. Na załatwienie interesów Ś-to Jańskich 1847 r. brakowało 20.000 rubli! i już nie widzieliśmy możności zaradzenia. Wtedy Pani Sobańska ofiarowała mi, sumę tę pożyczyć bratu swojemu. Mówię ofiarowała mi, bo ja się interesami ojca trudniłem i mnie pierwszemu o tem mówiła. Ja odmawiałem przyjęcia tej pomocy, bo przewidywałem długi jeszcze szereg lat deficytów. Pan Jenerał i Paweł Łubieńscy nie tak się pesymistycznie na te interesa zapatrywali. Przewidywali nadto możność podniesienia dochodów, przez prowadzenie na własny rachunek fabryki cukru, której dzierżawa miała ekspirować w roku następnym 1848. Oni też zapropo-

nowali Henrykowi objęcie jego majątku w administracyę, i doprowadzenia przy pomocy pani Sobańskiej, fabryki cukru do stanu takiego, ażeby na niej można było wyrabiać cukier, (bo dzierżawiąca ją fabryka Hermanowska tylko syrop na niej wyrabiała i takowy do rafineryi odstawiała). Zawiązał się tedy stosunek, nazwany niewłaściwie Spółką familijną, brak mu bowiem było głównej cechy spółkowej, wspólności zysków i strat. Pani Sobańska miała dostarczyć pewną, przez tych panów obliczoną sumę; Pan Paweł miał cały interes prowadzić; Pan Jenerał zarząd jego kontrolować. Celem wspólnym było spłacanie długów Henryka i utrzymanie go przy własności Guzowa. Ja złożyłem wtenczas zarząd interesów mojego ojca. Ale przewidywane przeze mnie deficyty lat następnych ziszczały się. Obliczenie przez tę administracyą nakładów potrzebnych, było także zbyt optymistycznie zrobione. Fundusze, do dostarczenia których pani Sobańska się zobowiązała nie wystarczyły. Dodała jeszcze drugie tyle. Jej zaliczenia, łącznie z sumą 25.000 rubli na interes jeszcze Lubartowski pożyczony, doszły do 150.000 rubli. Pan Jenerał który był właśnie zrealizował, po rozwikłaniu, sto lat przeszło pertraktowanej sukcesyi Opalińskich w księstwie Poznańskiem,

przejętej od jednego z dłużników Domu Braci Łubieńskich i Spółka, włożył w interesa Guzowskie taką samą sumę jak pani Sobańska. Ale i to nie wystarczyło. Przy rozwijaniu się w tej epoce fabryk cukru w Królestwie, równowaga między produkcyą cukru surowego, a środkami jego rafinowania, kilka razy, i to w rozmaitych kierunkach traconą była. To także zmuszało do nakładów w fabryce. Zwiększano ją nadto w celu zwiększenia dochodów, mających pokryć ciężary o wiele większe niż je w początku obliczano. Na pokrywanie deficytów, na powiększenie fabryki, potrzebne były fundusze. Tylko kredyt mógł je dostarczyć. Dla zabezpieczenia pani Sobańskiej, fabryka była jej oddana w zastaw. Kredyt mógł przeto tylko pod jej imieniem być zyskiwany. Uciekano się do tego środka, ale kredyt był kosztowny i niepewny. Doszło nareszcie do tego, iż oczywistem się stało, że dobra Guzowskie, wraz z fabryką cukru, nie reprezentowały wartości wyrównywającej długom na tych dobrach zahipotekowanym, jako to: Towarzystwo kredytowe, sumy popruskie, Bank Polski, kapitałowi około 300.000 rubli dla dzieci Henryka Łubieńskiego na tych dobrach także zapezpieczonemu i sumę przez tę administracyę z funduszów pani Sobańskiej albo za jej gwa-

rancyą, w ten interes włożony. Ani Pan Henryk, który przez czas funkcyonowania tej ad-administracyi był w Zamościu i Kursku, ani ja który już w tej administracyi żadnego udziału nie przyjmowałem, w niczem się do doprowadzenia do takiego stanu nie przyczyniliśmy. W roku 1855 doszedł do pełnoletności Feliks Sobański i objął interesa swoje i swojej matki. Chcąc położyć koniec takiemu stanowi rzeczy, postawił alternatywę. Żądał mianowicie, albo zwolnienia swojej matki ze wszystkich pod jej imieniem pozaciąganych zobowiązań i za to ofiarował skwitować z sumy 150.000 rs. z jej własnych funduszów w te interesa włożonej; albo też, zobowiązywał się wszystkie zobowiązania przez tę administracyę zaciągnięte popłacić, pod warunkiem jednak, że Guzów stanie się jego własnością i że dzieci Henryka Łubieńskiego zwolnią te dobra od sum około 300.000 rubli na nich zahipotekowanych, żadnej już z tego tytułu nie roszcząc do niego pretensyi. Ani Henryk Łubieński, ani jego dzieci, nie były w stanie zadosyć uczynić pierwszemu warunkowi; to też, ówcześnie wszystkie już pełnoletnie, poświęciły cały swój majątek na to, ażeby nikt nie mógł narzekać na ich ojca. Feliks Sobański kupił Guzów w roku 1856. Przyjął na siebie interes trudny, bo duży,

ale dobry. Nie mam do niego żadnego żalu za wyzucie mojego ojca, mnie i mojego rodzeństwa z ich mienia, bośmy je poświęcili dobrowolnie i świadomie. Pochwalam go nawet, bo zrobił rozsądnie i postąpił względem swojej matki jako dobry syn. Nieporozumienia jakie później między nami powstały, odnosiły się do zupełnie drugorzędnych warunków ówczesnego układu. Ale Henryk Łubieński nic dłużnym nie pozostał, ani Pani Sobańskiej, ani Panu Jenerałowi, ani nikomu innemu.

Rozpisałem się może zbyt obszernie o rozwoju i likwidacyi interesów osobistych Henryka Łubieńskiego. Musiałem to uczynić dla odpowiedzenia na insynuacyą Pana P. P., że „ludzie takiej miary, miewają często swoje sumienia“.

Sumienia powinny być u wszystkich ludzi jednakowe, bo przykazania Boskie są dla wszystkich ludzi takie same. Ale ludzie mają różne stanowiska i znajdują się w różnych okolicznościach. Z zastosowania jednych i tych samych zasad do tych różnych stanowisk i okoliczności, wynikają rozmaite obowiązki. Kwestyą sumienia jest tylko dobre lub złe wypełnienie tych rozmaitych obowiązków. Oczywiście najszanowniejszy, najsumienniejszy i najszlachetniejszy obywatel ziemski, spokojnie i pracowicie daleko od

gwaru światowego i od wiru spraw publicznych, swój ojczysty zagon uprawiający, nie miałby obowiązku obmyślania środków ratowania resztek fortuny Sołtyka, ani dopomagania Panom: Lipski Klimkiewicz i Spół. do wypróbowania nowych metod fabrykacyj żelaza, ani odpowiadania za ich niepowodzenie, ani wchodzenia w jakieś umowy z Sołtykiem emigrantem, za pośrednictwem najwybitniejszej osobistości w tej emigracyi księcia Adama Czartoryskiego; ani też nie potrzebowałby myśleć o uspławnieniu rzeki Kamionnej, ani wchodzić w jakieś układy z Dobrzańskimi, ani brać na siebie tych tak różnorodnych, tak ogromnych odpowiedzialności. Ale jeżeli ci spokojni pracownicy, na nic się nigdy nie odważający bo się nawet nie znajdujący w takich położeniach, ażeby mieli okazyą odważania się na cośkolwiek, są niezaprzeczenie bardzo użytecznymi członkami społeczeństwa, i jeżeli życzyć należy, ażeby ich liczba w kraju była jak największa, to dla tego jeszcze nie należy rzucać kamieniem na te wyjątkowe osobistości, obdarzone może większą przedsiębierczością i większą odwagą, za działania jakie rozwijają na wyjątkowych także stanowiskach, na jakie wyniosły je okoliczności, od ich woli a zwłaszcza od ich starań często niezależne. Tych z pomiędzy nich,

których praca uwieńczoną zostaje pomyślnym rezultatem, poczytują za wielkich ludzi, za geniuszów. Nie poczytujcież zaraz za zbrodniarzy tych, których przedsięwzięcia rozpoczęte w celu nie tylko nie nagannym, ale nawet pochwały godnym i prowadzone środkami godziwymi, nie zdołały być doprowadzone do zamierzonych przez nich celów. Często jakiś skrupuł, jakieś zawahanie się lub cofnięcie się przed czynem, który się nie zupełnie prostym zdaje, bywa takiego niepowodzenia przyczyną.

Co do Henryka Łubieńskiego w szczególności, można twierdzić, że pomimo braku doświadczenia w rzeczach przemysłu, które narody wiekową dopiero tradycyą nabywają, a którego żaden nawet geniusz zastąpić nie zdoła pomimo niemożności w jakiej się znajdował, oddawania się dostatecznie dozorowi swoich własnych interesów, przy poświęceniu całego swojego czasu dla interesów publicznych, to jeszcze, gdyby Roman Sołtyk nie był niepotrzebnie po Paryżu rozgadywał tego, co się na jego korzyść, a nie na jego szkodę robiło, i gdyby się Abraham Simon Cohn nie był zachwiał w pośrednim skutku jakiegoś kryzysu handlowego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Henryk Łubieński nie byłby popadł w takie kłopoty, bo Ostrowiec i Chlewiska, byłyby

dołączone do Górnictwa Rządowego, tak jak w tym celu kupowane były. Gdyby się potem walcownia żelaza w Irenie nie była spaliła, byłby jeszcze z tych trudności wybrnął. Gdyby Cocquerill nie był nagle umarł, i do niektórych z interesów Henryka Łubieńskiego wniósł ten zasób doświadczenia, którym się do rozwoju przemysłu w Hollandyi i w Belgii tak silnie przyczynił; Łubieński byłby może świetne jeszcze między przemysłowcami krajowymi zajmował stanowisko. Ten sam rezultat byłby może osiągniętym, gdyby po otrzymaniu dymisyi z Banku, zamiast oddania mu zaraz prawie całego swojego majątku, był zajął względem niego stanowisko nieco odporne, jakie zwykle każdy dłużnik względem swojego wierzyciela przybiera, a nawet gdyby go nie była nawiedziła w Guzowie taka sama, a nawet ta sama klęska, skutkiem której w ciągu jednego roku krocie irlandczyków z głodu poumierało, a miliony aż na drugą półkulę świata wynieść się musiało. Jeżeli mu się, skutkiem tych nieprzewidzianych okoliczności, nie powiodło w jego interesach osobistych, przedsiębranych nie w chęci zysku, ale można powiedzieć, z poświęcenia dla rzeczy publicznej, lub dla drugich, nie rzucajcież, wy przynajmniej rodacy

jego wątpliwości, o prawości jego charakteru. Dosyć już na tem, że takie powątpiewanie ciąży na nim na mocy zapadłego przeciwko niemu wyroku, który tak jak każdy wyrok, przez wielu za prawdę poczytywany bywa. Ale ileż to wyroków w naszym kraju zapada, którym opinia publiczna kłam zadaje.

Proces Henryka Łubieńskiego.

Już po wyjściu Józefa Lubowidzkiego i Henryka Łubieńskiego z Banku Polskiego, w jesieni 1843 roku, dwóch bardzo podrzędnych urzędników Banku, Adelt i Nalepiński, użyci przy losowaniu pożyczki premiowej, dopuścili się jakiegoś fortelu, skutkiem którego, główna wygrana przypadła na obligacyę przez nich posiadaną. Rzecz wyszła na jaw i oba pociągnięci zostali do odpowiedzialności przed zwykłe Sądy karne. Były urzędnik, z pamiętników którego wysnute zostały „Kartki z dziejów Banku Polskiego“ pomieszczone w „Dodatku miesięcznym do Przeglądu Tygodniowego“ za Sierpień 1885 r., mówi, że to się stało za czasów urzędowania Lubowidzkiego i Łubieńskiego i im winę niedozoru przypisuje. Kiedy się to stało, łatwo sprawdzić w archiwum Sądu Poprawczego w Warszawie. I tylko dla ułatwienia odszukania tych nazwisk w repertoryach, nie ukrywałem ich pod inicyałami, jak to zrobił autor

„Kartek“. Ale chociażby ten wypadek miał miejsce za czasów urzędowania Lubowidzkiego i Łubieńskiego, jeszczeby na nich nie mogła ciążyć odpowiedzialność za czyn popełniony przez ich podwładnych, tem bardziej, że zaraz po wykryciu tego oszustwa, zrobiono to co wskazywało prawo.

W tych samych „Kartkach“ z dziejów Banku Polskiego“ autor, wkłada także na byłych Prezesa i Wice Prezesa Banku winę nadużycia, jakie przedtem jeszcze dokonywane być miało, przez jeszcze podrzędniejszych urzędników, numeratorów, przy robieniu pakietów biletów bankowych przeznaczonych na spalenie, polegać mającem na zastępowaniu bibułą biletów na spalenie przeznaczonych. Jeżeli takie nadużycia dokonywane były, to także nie może wina ciążyć na członkach Dyrekcyi Banku. Gdyby nawet wina jaka na nich ciążyła, to nie Prezesa i Wice Prezesa dotknąć by mogła, ale Naczelnika Wydziału Biletów Bankowych, a co najwyżej Dyrektora Wydziału Kas. Zresztą, chociaż nigdy nie służyłem w Banku, ale dosyć często tam bywałem, w dosyć ścisłych stosunkach zażyłości byłem z wielu urzędnikami tej instytucyi, ażeby wiedzieć, jeżeli nie o wszystkich interesach bieżących, to przynajmniej o wszystkich nadzwyczajnych wy-

padkach. O takiem zaś nadużyciu nigdy nie słyszałem. Były urzędnik zaś, na którego pamiętnikach osnute są te „Kartki“, nie wiedział nawet, o ile się zdaje, że takie nadużycie nie tak łatwe było do popełnienia. Bilety Bankowe bowiem, przeznaczone na spalenie, oznaczane były najprzód w Kasie Banku stemplem, dowodzącym że są z kursu wywołane. Następnie odnotowywano ich numery we właściwych kontrolach. Robione były potem na nich znaki, po których można było nawet dojść, który z numeratorów był przeznaczony do ich spakowania. Nadużycie przeto, o jakiem autor „Kartek“ wspomina, na nicby się nikomu przydać nie mogło, i natychmiast byłoby wykryte.

Wiadomość o nadużyciu przez Adelta i Nalepińskiego popełnionem doszła naturalnie do Berlina, w tak ciągłych stosunkach handlowych z Warszawą będącego. Tam o tem mówiono na giełdzie, zkąd i do ambasady rosyjskiej ta wiadomość doszła, a ambasada zaraportowała o niej do Petersburga. Cesarz Mikołaj zwracał szczególną uwagę na to, co na giełdach zagranicznych o interesach jego Państwa mówiono. Otrzymawszy tę wiadomość, kazał zatelegrafować do Namiestnika, z zapytaniem: Co robi Komisya Bankowa? W owym czasie w Rosyi, przy niedołężności zwy-

kłych organów administracyjnych i sądowych, jak tylko się zdarzał jakiś wypadek niezwykły i prędszego wyjaśnienia wymagający, ustanawiano zawsze i natychmiast specyalne komisye. „*Czastnij Kamitiet*“, było wyrażenie codziennie napotykane. Dla Cesarza przeto takie zapytanie było bardzo naturalne. Paszkiewiczowi od lat już kilkunastu zarządzającemu krajem, mającym porządną administracyą, ani na myśl nie przyszło ustanawiać specyalną komisyą lub komitet, dla kwestyi nadużyć Adelta i Nalepińskiego. Od tego były Sądy. Nic przeto o żadnej komisyi bankowej nie wiedział. Ale woła Dyrektora Głównego Komisyi Skarbu, Fuhrmana, ażeby go o to wypytać; ten także o takiej komisyi nic nie wie. A jednak, Cesarz się zapytuje, co robi komisya bankowa? Cesarz jest nieomylny. Potrzeba komisyę natychmiast wysadzić, potrzeba ażeby dziś jeszcze posiedzenie odbyła, ażeby dziś jeszcze być w stanie odpowiedzieć Cesarzowi, że się ta komisya już ukonstytuowała. Autor „Kartek z dziejów Banku Polskiego“ mówi, że komisya ta prezydowaną była przez Jenerała Rautenstraucha. Byłoby to możliwem, bo Jenerał Rautenstrauch posiadał w wysokim stopniu zaufanie Namiestnika. Mnie się jednak zdaje, że Rautenstrauch już wtenczas nie żył. A to moje mniemanie na tej okoli-

czności opieram, że w roku 1841 rozpoczętą została budowa szosy fabrycznej z Bzina do Zawichostu. Zatwierdzony profil tej szosy był tak wązki, że dwa wozy naładowane żadnym sposobem na niej minąć się nie mogły. Henryk Łubieński, jeszcze na czele Górnictwa będąc, starał się o wyjednanie decyzyi w przedmiocie rozszerzenia tej drogi. Zjechała w skutek tego na grunt jeszcze w r. 1842 komisya. Zjechał sam Jenerał Rautenstrauch, stojący na czele Zarządu kommunikacyi lądowych i wodnych. Zobaczywszy nasypy, rozkazał entreprenowi budowy tej szosy, Józefowi Reinszmittowi, groble i nasypy rozszerzyć, zapewniając go, że zaraz każe zrobić dodatkowe anszlagi, i wyjedna potrzebne decyzye. Reinszmitt też przystąpił do wykonania tych robot nadanszlagowych, ale przed zatwierdzeniem dodatkowych anszlagów Jenerał Rautenstrauch umarł. Reinszmitt czekał 3 lata na wyasygnowanie mu pieniędzy za te nadanszlagowe roboty. To go ostatecznie zrujnowało, a nie rozpłaceni robotnicy, kryli się w roku 1843 po lasach Iłżeckich i rozbijali po drogach. Nie Jenerał Reutenstrauch przeto prezydyował w tej Komisyi Bankowej, ale Jenerał Kurnatowski, Prezes Komisyi Umorzenia Długu Krajowego, to jest władzy Bank Polski kontrolującej. Do składu tej

komisyi weszli wszyscy członkowie Komisyi Umorzenia i kilku urzędników z Komisyi Skarbu tudzież z Najwyższej Izby Obrachunkowej.

Zebranej tego samego dnia tej Specyalnej Komisyi, ani zwołujący ją i zagajający Dyrektor Główny Komisyi Skarbu Fuhrman, ani wezwani na tę sesyą Prezes Banku Tymowski i Wice-Prezes Niepokojczycki nie mogli powiedzieć w jakim celu ona ustanowioną została. Rewizya nadzwyczajna Banku zdawała się zbyteczną członkom Komisyi Umorzenia, rewizye te starannie odbywającym. O tem, ażeby ta Komisya mogła zajmować się interesem Adelta i Nalepińskiego, w Sądzie już rozpatrywanym, nikomu nawet na myśl nie przyszło. Jedyna kwestya, jaka się zebranym członków tej Specyalnej Komisyi wydawała możliwym przedmiotem jej zajęcia, było zbadanie, czy i o ile, dawna Dyrekcya Banku trzymała się Instrukcyi w r. 1840 dla Banku wydanej, a to w stosunkach z osobami, w rachunkach których mogło zagrażać Bankowi niebezpieczeństwo poniesienia jakichś strat. Ta kwestya dla tego się nasunęła, że Wice-Prezes Niepokojczycki, objąwszy zarząd Banku i rozpatrujący się w interesach, wynotował kilkanaście rachunków, po których przewidywał możność takiego niebezpieczeństwa. Dla zabezpieczenia się od wszelkiej

możliwej odpowiedzialności, krótko przed zebraniem się tej Specyalnej Komisyi, przedstawił spis tych rachunków Dyrektorowi Głównemu i Namiestnikowi, przy raporcie, w którym uwydatniał, że gdyby się był Bank Polski w stosunkach z temi osobami trzymał już zasad wyłuszczonych w Instrukcyi z roku 1840, (której on sam był po części autorem), toby do tego nie było doszło. Nadmieniam, że z tych wszystkich rachunków, Bank poniósł straty na jednym tylko, to jest na rachunku fabryki Żyrardowskiej, którą od roku 1842 do 1847 już sam administrował i dług ten przez czas jego administracyi znacznie się pomnożył, a jednak nie doszedł nawet cyfry zysków, jakie ta fabryka następnie corocznie Panom Hille i Dittrich dawała. Przedstawiając ten raport dla własnego bezpieczeństwa, Niepokojczycki, nie upatrywał jednak winy byłych Naczelników Banku w stosunkach z tymi dłużnikami Banku; nie tylko bowiem nie żądał pociągnięcia ich do odpowiedzialności, ale nawet nie zaproponował polecenia zbadania tej kwestyi. Dopiero dla wynalezienia przedmiotu zajęcia tej tak niespodziewanie dla wszystkich zwołanej Komisyi, podał projekt zbadania działań poprzedniej Dyrekcyi Banku w stosunku do Instrukcyi, tego konika, którego on ciągle dosiadywał.

Zbadanie takiej kwestyi było robotą długą i drobiazgową. Komisya w całym składzie zajmować się nią nie mogła. Z resztą, w każdej Komisyi jest zwykle jedna osoba pracująca za wszystkich. W tej Komisyi, z urzędowania swojego najmłodszym, a obok tego najpracowitszym i najzdolniejszym członkiem, był Wielogórski, Radca Najwyższej Izby Obrachunkowej, późniejszy jej Prezes. Jemu z natury rzeczy należało się powierzenie tej roboty. On znowu, po raz pierwszy miał sposobność dać dowód swoich zdolności na widowni szerszej, od zajęć swojego biura. Uchwycił się zaś tej pracy tem chętniej, że Najwyższa Izba Obrachunkowa zawistnem zawsze okiem patrzała na tę, tak ważną dykasteryę rządową, Bank Polski, wyjętą zpod jej kontroli. Przyzwyczajony był także przy kontrolowaniu czynności innych dykasteryj rządowych, do formalistyki, której w czynnościach Banku nie było, i być nie mogło. Mniemał może nareszcie, że skoro Komisya ma coś śledzić, to jej obowiązkiem jest wynaleść winę. To też, wygotował raport wykazujący, że dawni Zwierzchnicy Banku działali zawsze z pominięciem formalności przepisanych ową Instrukcyą dla Banku Polskiego w roku 1840 wydaną i że to czynili zawsze w celach własnej korzyści, a ze szkodą Skarbu. Od-

czytanie tego projektu raportu rzuciło postrach między tych członków tej Komisyi, którzy byli także członkami Komisyi Umorzenia Długu Krajowego. Bo jeżeli to wszystko, co tak biegły kontroler jak Wielogórski wykrył, było prawdą, toby na nich ciężyła bardzo wielka wina, że oni, kontrolując Bank, tego wszystkiego się nie dopatrzyli. Daleko im się zdawało bezpieczniej i łatwiej, uczynić sobie zasługę z wykrycia tych nadużyć, przynajmniej w tej Komisyi, aniżeli przedsiębrać szaloną pracę, jakiejby wymagało sprawdzenie projektu raportu przygotowanego przez Wielogórskiego. Bez sprawdzania przeto raport ten podpisali i złożyli go Dyrektorowi Głównemu Komisyi Skarbu. Na Fuhrmanie zrobił ten raport takie same wrażenie i z tych samych powodów. Przedstawił go przeto Namiestnikowi z proźbą o uwolnienie go od służby, która wobec ciągłego odwoływania się Banku do niego o decyzye, stawała się coraz uciąźliwszą, kiedy już mógł korzystać z wysłużonej pełnej emerytury, w bardzo znacznym i bardzo przyjemnie, staraniem jeszcze Henryka Łubieńskiego, urządzonym majątku donacyjnym, Łącku, naprzeciwko Płocka. Paszkiewicz otrzymawszy taki raport, nic innego zrobić nie mógł, jak oddać rzecz całą na drogę sądową. Wszystkie te szczegóły mogą poświad-

czyć żyjący dotychczas ówczesni urzędnicy Banku Polskiego.

Procedura oddawania pod sąd urzędników tak wysokich, jakimi byli były Prezes i Wice-Prezes Banku, nie była przepisaną. Potrzeba było dopiero prawo w tej mierze stanowić. Te nie znajdują się w Dzienniku Praw Królestwa Polskiego. Potem potrzeba było, ażeby władza nad Bankiem przełożona, to jest Dyrektor Główny Komisyi Skarbu, wydał tak zwaną decyzyę kwalifikacyjną, czyli rzeczywistą skargę do Sądu. Dyrektorem Głównym był Morawski, dawniejszy Prezes Dyrekcyi Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Tego nie można nawet posądzić o zbyteczną dla Lubowidzkiego i Łubieńskiego przychylność, bo najprzód dla nikogo zbyt przychylnym z usposobienia swego nie był, a do tych panów miał nawet urazę z czasu dyskusyi prawa o odnawianiu pożyczek Towarzystwa Kredytowego. A jednak, kiedy przyszło do wydania tej decyzyi kwalifikacyjnej, którą Sąd miał sprawdzić, w której tedy już na jakieś dowody potrzeba się było powoływać, już ani czwartej części zarzutów pomieszczonych w raporcie Komisyi Specyalnej do tego dokumentu nie wprowadził. IX Departament Rządzącego Senatu wyrokiem zapadłym w końcu

Lipca 1848 roku, uznał w kilku kategoryach aktu oskarżenia zupełny niebyt karygodnego czynu, w kilku jednak zarzutach uznał obu podsądnych Lubowidzkiego i Łubieńskiego winnymi nadużycia władzy, i skazał ich na cztery lata więzienia.

Wyrok ten, tak jak każdy wyrok sądowy, przez wielu ludzi *pro veritate habetur,* co jednak nie dowodzi, ażeby miał być istotnym obrazem i wynikiem prawdy. Za taki nie miała go opinia kraju, i pomimo tego wyroku, nikt zupełnie nie zerwał stosunków z obu tymi skazanymi. Nie miał go także za prawdę sam Namiestnik Paszkiewicz, jak to wykażą okoliczności, które zaraz opowiem. W przedmiocie samego wyroku, to tylko nadmienię, że podsądni Lubowidzki i Łubieński nie przyznając się do żadnej winy tak w badaniach jak i w obronie, odpowiadali na tysiączne drobiazgowe kwestye, czy w każdym danym wypadku trzymali się, lub nie trzymali Instrukcyi zatwierdzonej przez Radę Administracyjną w r. 1840, zobowiązującej dopiero od r. 1841, w załatwianiu czynności, wszystkich poprzedzających te daty, niektórych odnoszących się nawet aż do roku 1832. Przedstawienie zaś temu Sądowi takich poglądów, jak n. p. że dobra Ostrowieckie i dobra Chlewiskie kupowane były dla

przyłączenia ich do Górnictwa Rządowego, byłoby zupełnie zbyteczne, skoro niezaprzeczenie nie istniały Najwyższe upoważnienia do kupna tych majątków na rzecz Skarbu. Prezydował w tym Sądzie Jenerał Kurnatowski, ten sam który prezydyował a przynajmniej był członkiem specyalnej Komisyi, której Raport wywołał całą tę sprawę. Najgłówniejszymi sędziami byli Senatorowie: Jenerał Fenshawe wojskowy, Jenerał Pagodin, dawny Intendent Armii; Tajny Radca Dmitriew, rosyjski biurokrata, wszystko nie prawnicy, po polsku nawet bardzo niedokładnie umiejący, a i cała procedura i wszystkie dokumenty były w polskim języku pisane. Inni sędziowie, członkowie Sądu tego, nie byli dosyć wysokiemi figurami, ażeby się ośmielić mieć zdanie odmienne, od tamtych, zauszników Namiestnika, w sprawie, o której mogli myśleć, że się nią Paszkiewicz interesuje. W dodatku Paszkiewicz był ciągle w złym humorze. Najprzód go niecierpliwiły komplikacye rozmaite w stosunkach Banku Polskiego, zwłaszcza z domami zagranicznymi, spowodowane sposobem traktowania interesów przez nową Dyrekcyę Banku, zupełnie odmiennym od sposobu jakim je załatwiała dawna Dyrekcya; poźniej rozwiązaniem Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i wstrzymaniem robót na tej linii;

dalej zerwaniem kontraktu o administracyę Fabryk Żelaznych Rządowych, zawartego z Coniarem. Wtenczas wszystko się o Namiestnika opierało i nikt żadnej decyzyi, żadnej odpowiedzialności brać na siebie nie śmiał; a on, był pozbawiony rady dwóch osób, które go poprzednio najlepiej o interesach kraju informowały, Henryka Łubieńskiego, z którym jako pod Sąd oddanym, stosunki nie były dla niego możliwe i Jenerała Rautenstraucha, już nieżyjącego. Zaledwie się był z temi trudnościami trochę uporał nastały zaburzenia krajowe 1846 r. i nastrój rewulucyjny całej Europy w r. 1848. To wszystko chociaż indirecte, wpłynęło na decyzyę sędziów. Dopiero wyrok przez nich wydany przeraził Paszkiewicza, takiej bowiem kary wcale się nie spodziewał, myślał że się skończy na jakiejś dyscyplinarce. Kazał tedy skazanym objawić życzenie swoje, ażeby się odwołali do Monarszej łaski. Oni jednak tego uczynić nie chcieli, tak jak później nie pozwolili mi rozpocząć akcyi restytucyjnej o rehabilitacyą. Póty jednak, póki Paszkiewicz był w Warszawie, bez uchylania wyroku, bo do tego nie miał prawa, wykonywać go nie pozwalał. Dopiero gdy Paszkiewicz udał się na kampanią węgierską, wyrok zapadły w Lipcu 1848 roku, wykonany został w 1849

roku i osadzeni oni zostali w Zamościu na bramie Szczebrzeszyńskiej. Tam jednak używali tyle swobody, ile tylko regulamin forteczny dozwalał. Ich obszerne sklepione pokoje, były rzeczywiście salonami, w których ciągle przesiadywali zesłani do Zamościa administracyjnie, literaci Wilkoński i Skimborowicz i zbierali się krewni i znajomi Lubowidzkiego i Henryka Łubieńskiego przyjeżdżając zblizka i z daleka w odwiedziny. Później pod ich opiekę dostała się liczna młodzież, osądzona tam za opuszczenie kraju, dla zaciągnięcia się w szeregi wojska węgierskiego. Myli się przeto autor „Kartek do dziejów Banku Polskiego“, mówiąc, że osadzenie tych panów w Zamościu było prewentywne i że poprzedziło działanie Komisyi Bankowej. Komisya ta została zwołana w końcu 1843 roku, a osadzenie tych panów w Zamościu nastąpiło dopiero w końcu roku 1849, na mocy wyroku zapadłego w lipcu roku 1848.

Dla zakończenia opowiadań o tym wyroku, dodaję, że w całem oskarżeniu nie było ani jednego punktu odnoszącego się do czynności osobistych i wyłącznych Prezesa Lubowidzkiego, ani też do jego osobistych interesów. Oskarżonym był tylko jako współwinowajca Henryka Łubieńskiego. W obronie swojej jednak, nie starał się

wcale o uwolnienie się od odpowiedzialności osobistej, ani też o zrzucenie winy na samego Łubieńskiego. Pomimo skazania go na karę, tem dla niego dotkliwszą, że go nawet pozbawiła prawa pobierania, dosyć znacznej i zupełnie już wysłużonej emerytury przez dwadzieścia jeszcze lat życia swojego, nie tylko nie okazał nigdy żadnego żalu do Henryka Łubieńskiego, ale przeciwnie, dochował mu dozgonną i najszczerszą przyjaźń, za co mu wyraz wdzięczności chociaż pośmiertnej, tutaj wyrazić jest moim obowiązkiem. Zupełnie także nie pojmuję, gdzie autor tyle razy wspomnianych „Kartek z dziejów Banku Polskiego“ upatrzył u byłego Prezesa Banku Lubowidzkiego, jakąś „niepowściągliwą gorączkę zdobywania majątku“. Przez cały czas bowiem urzędowania swojego, Lubowidzki nie przedsięwziął żadnego interesu na którymby mógł cośkolwiek zarobić i nie pozostawił po sobie majątku większego, od tego jaki po rodzicach swoich odziedziczył i z Margrabstwa Myszkowskich wywindykował, oraz posagu wziętego za żoną, córką Jenerała Kosseckiego.

W roku 1850, Feldmarszałek Paszkiewicz obchodził jubileusz 50cio letniej służby w stopniu oficerskim; z tym obchodem Cesarz Mikołaj kazał połączyć owacye z okazyi tak świetnie przez

niego przeprowadzonej kampanii węgierskiej. Po różnych uroczystościach programowych i odznaczeniach zawczasu przygotowanych, Cesarz zapytał Paszkiewicza, czem mógłby mu jeszcze zrobić specyalną osobistą przyjemność. Paszkiewicz, któremu skazanie Lubowidzkiego i Łubieńskiego ciążyło na sumieniu, poprosił Cesarza o ułaskawienie ich obu. Cesarz zgodził się, i kazał mu przygotować na dzień następny do podpisu swojego odpowiedni rozkaz. Paszkiewicz dał o tem natychmiast znać Jenerałowi Tomaszowi Łubieńskiemu i przesłał telegrafem rozkaz Komendantowi Zamościa, Jenerałowi hrabiemu Opperman, żonatemu z hrabianką Ronikierówną, ażeby obu więźniów natychmiast uwolnił. Nazajutrz rano, zebraliśmy się, wszyscy natenczas obecni w Warszawie Łubieńscy, u Jenerała Tomasza a byli: Kazimierz, Seweryn, Feliks, Paweł, Stanisław, Władysław, i ja, i pojechaliśmy wszyscy razem, w Aleję Ujazdowską, do domu przy rogu ulicy Koszyki, zajmowanego przez Namiestnika w czasie obecności Cesarskiej w Warszawie, ażeby mu tak gremialnie zebrani za tę łaskę podziękować. Namiestnik jeszcze nie był wrócił od Cesarza. Za chwilę przyjechał. Jenerał Tomasz przedstawił mu nas wszystkich i zaczął dziękczynną oracyą, kiedy Paszkiewicz

widocznie od samego przyjazdu jakiś zmieszany, przerwał mu i powiedział, że Cesarz nie ułaskawił tych panów zupełnie, tylko zmienił karę więzienia na wygnanie. Co mogło być powodem takiej zmiany w decyzyi Cesarskiej?

Wiadomość o ułaskawieniu przez Cesarza Lubowidzkiego i Henryka Łubieńskiego, zakomunikowana w wilią przez Paszkiewicza Jenerałowi Łubieńskiemu około południa, rozeszła się po Warszawie lotem błyskawicy. Zjazd obywateli był natenczas bardzo liczny. Około piątej godziny zeszło się wiele osób na obiad do Restauracyi Heurtego w Hotelu Angielskim, i o tem tylko, jako o wypadku dnia mówiły, i radość swoję objawiały. Przyszedł tam także na obiad Margrabia Aleksander Wielopolski, a słysząc te rozmowy, odezwał się głośno: „Tak, tysiące rodaków jęczy na Syberyi, dla nich nic nie zrobiono, a ułaskawiono dwóch zwykłych zbrodniarzy“. Wiadomo jak Margrabia był gwałtowny i wytrwały we wszystkich swoich uczuciach, a Lubowidzkiego i wszystkich Łubieńskich nienawidził. Lubowidzkiego za to, że był jednym z wierzycieli Margrabstwa, przeciwko którym wytoczył i przegrał słynny niegdyś proces, a nawet, jako jeden z najrozumniejszych wierzycieli i dobry prawnik, po wyemigrowaniu zwłaszcza Mecenasa i Posła

Olrycha Szaniaskiego, także jednego z wierzycieli, on obroną w tym procesie kierował. Łubieńskich zaś dlatego nienawidził, że przypisywał Ministrowi Feliksowi Łubieńskiemu wykoncypowanie i przeprowadzenie całego zaskarżonego następnie przez niego układu z wierzycielami Margrabstwa, i wyjednanie dla niego sankcyi Króla Saskiego, Księcia Warszawskiego. A ten układ zmniejszył o połowę prawie majorat Margrabstwa Myszkowskich. Słowa wypowiedziane przez Margrabiego, stały się przedmiotem przychylnych komentarzy przy innych stolikach w Restauracyi, bo któż z nas był kiedy nieczułym na cierpienia sybirskich zesłańców. Przy innym znowu stole, w tejże samej Restauracyi jadł wtenczas obiad jeden z Adjutantów hrabiego, (późniejszego księcia) Orłowa, Szefa Korpusu Żandarmów i Policyi Tajnej w całem Cesarstwie, zawsze i wszędzie z Cesarzem jeżdżącego. Ten Adjutant zaraportował naturalnie Orłowowi to co słyszał, a Orłow tego samego wieczora mówił o tem Cesarzowi. Margrabia Wielopolski zwracał już wtenczas uwagę Rządu na siebie. Wiadomem było, że to on był autorem słynnego „Listu Szlachcica Polskiego do Księcia Meternicha“, napisanego z okazyi rzezi galicyjskiej 1846 roku, w którym nasuwał myśl, ażeby polacy dla otrzy-

mania pomsty za rozlew krwi, którą tylko „słowiańską“ nazywał, wyparli się całej swojej przeszłości i wszystkich swoich nadziei, i oddali się całem sercem i bezwarunkowo najpotężniejszemu, ale też i najszlachetniejszemu ze swoich nieprzyjaciół. Rząd wiedział także, że w ciągu roku 1846 i 1847 Margrabia przez swoich nielicznych, ale bardzo gorliwych przyjaciół propagował ideę tę w kraju. Myśl ta nie znalazła natenczas w kraju poparcia. Ale Margrabia trwał w niej jeszcze i skorzystał z obecności Cesarskiej w Warszawie i z uroczystości wojskowo-dworskich, ażeby syna swojego Zygmunta, manifestacyjnie oddać do wojska. Cesarz Mikołaj był samowładny, ale był rozumny. Nie znosił opozycyi, ale bardzo pilnie badał pulsacyą opinii publicznej. Te kilka słów powiedzianych przez Margrabiego w Restauracyi Heurtego, i sposób w jaki przez zebranych tam obywateli zostały przyjęte, zdecydowały Cesarza do cofnięcia obietnicy danej tegoż dnia Paszkiewiczowi.

Rozkaz jednak wypuszczenia tych panów z Zamościa był już, jak mówiłem, przesłany przez Paszkiewicza Komendantowi tej twierdzy. Niemożna było przypuścić, ażeby oni zwlekali swój przyjazd. Przybycie zaś ich do Warszawy w czasie pobytu Cesarskiego, byłoby mogło

stać się dla Paszkiewicza powodem jakich nieprzyjemności, a dla nich także nie mogło być użytecznem. To też wychodząc z tej audyencyi u Paszkiewicza, o której dopiero co mówiłem, wsiadłem zaraz na bryczkę pocztową i kuryerskimi końmi pośpieszyłem do Zamościa. Zajechałem tam w nocy. Z największą trudnością dostałem się do fortecy, i do śpiącego już, a nawet chorego Jenerała Oppermana. Od niego się dowiedziałem, że ci panowie już wyjechali. Nie tracąc ani chwili czasu, zacząłem ich gonić i dogoniłem ich już za Lublinem, pod Garbowem. Tam im tę niemiłą wiadomość zwiastowałem i już nie puściłem ich do Warszawy, ale na Puławy, Radom i Grojec zawiozłem ich prosto do siebie na wieś, do Sokula pod Rudą Guzowską. Tam miałem szczęście podejmować ich w moim ciasnym domku, przez blisko dwa tygodnie trwania pobytu Cesarskiego w Warszawie. A codziennie się do nich z Warszawy zjeżdżali ich przyjaciele i krewni. Dopiero po wyjeździe Cesarskim pojechali do Warszawy, przesiedzieli tam przez kilka miesięcy w areszcie na Saskim Placu w domu pod Orłem, odwiedzani przez całe Towarzystwo Warszawskie. Dopiero w późnej jesieni pojechali, Lubowidzki do Orła, a Henryk Łubieński do Kurska, zkąd dopiero w r. 1853

do kraju wrócili. Żyli oba jeszcze długo. Lubowidzki umarł dopiero w r. 1869, a Henryk Łubieński w r. 1883. Oba obarczeni wiekiem i przygnębieni wygnaniem, już żadnego udziału w życiu publicznem nie brali. Ale widzieli jeszcze, że zasiew przez nich na polską ziemię rzucony, nie zmarniał. Bo przemysł w Królestwie, przedmiot tylu ich starań, bogato się za ich jeszcze życia rozwinął.

Zakończenie.

Skończyłem opowiadania, które zapewne bardziej mnie zajmowały kiedym je pisał, bo mi moję młodość przypominały, aniżeli Ciebie, łaskawy czytelniku, bo w nich niema nic odnoszącego się do tylu piekących obecnie kwestyj. Jeżeli miałeś cierpliwość odczytać tę książkę do końca, niejednę może praktyczną z niej naukę wysnuć dla siebie potrafisz. Korzystać bowiem można zarówno z przykładów cudzych zasług, jak i z cudzych błędów. Ani jednych przeceniać, ani drugich nie starałem się ukrywać. Ale w każdym przypadku nie będziesz potrzebował poprzestawać na samem poświadczeniu pana „P. P.“ Sam bowiem, o ile się spodziewam, potrafisz sobie odpowiedzieć na pytanie przez niego rzucone: „Czy ci Łubieńscy byli dobrymi Polakami?“

Bo któż jest dobrym Polakiem? Ten co swój kraj kocha. A czemże jest kochanie? Jest nietylko życzeniem największego możliwego szczę-

ścia istocie kochanej, ale i pracą w zakresie swojej możności, dla dostarczenia tego szczęścia przedmiotowi swej miłości. A któż tu jest przedmiotem tej miłości. Istota moralna, zbiorowa, złożona z licznych członków, do których każdy z nas się zalicza, połączonych węzłami wspólnego pochodzenia, wspólnej przeszłości, tych samych tradycyj, tej samej cywilizacyi, tych samych losów, tych samych dążności. Tak zaś jak istota zbiorowa nie może być szczęśliwą, jeżeli jej członkowie szczęśliwymi nie są, tak samo też nietylko tę istotę zbiorową kochać, i dla jej szczęścia pracować należy, ale potrzeba także kochać pojedyńczych jej członków i dla ich szczęścia pracować. A nawet, istota zbiorowa jest tylko w osobie pojedyńczych jej członków dla nas dostępną. Miłość może być objawiona wyrazami, ale udowodnioną może być tylko czynem, pracą. Praca zaś ta winna być nacechowaną oznakami prawdziwej miłości, która „jest cierpliwa, jest łaskawa, nie zajrzy, nie nadyma się, czci nie pragnie, ale się weseli z prawdy, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wytrwa“.

Te właśnie cechy miała praca wszystkich Łubieńskich, o których w tej książce była mowa. Nie mówiąc już bowiem o tem, że żaden z nich

nie poświęcił nigdy interesu kraju, ani któregokolwiek z jego mieszkańców dla własnej prywaty, co było rzeczą przeciwną ich charakterowi, każdy z nich poświęcał ciągle nietylko swoją pracę, ale i swój własny interes dla pożytku kraju i dla pojedyńczych swoich ziomków. Żaden z nich nie starał się wyzyskiwać na własną korzyść stanowiska i stosunków, do jakich zbiegiem okoliczności dochodził co jeszcze nagannem by nie było; ale każdy z nich starał się je wyzyskiwać dla dobra kraju i dla dobra swoich współobywateli. Żaden z nich nigdy się nie starał o żadną nagrodę za swoję pracę i za oddane usługi, ani nawet o pochwałę, bo każdy z nich pracował dla wypełnienia tego, co poczytywał za swój obowiązek.

A zatem, nie wymagam przyznania tym Łubieńskim jakiegoś wyłącznego przywileju miłości kraju; ta bowiem cnota, Bogu dzięki, nie wyginęła u nas, ani nawet nie jest rzadką. Nie żądam przyznania im jakiejkolwiek wyższości nad bardzo a bardzo wielu, którzy także dla dobra kraju i jego mieszkańców poświęcali majątki, czas, pracę i życie. Ale mogę żądać i żądam, ażeby im przyznano, że lepszych polaków od nich nie było. Mogę żądać i żądam, ażeby ci, którzyby im chcieli kiedyś czynić

jakie zarzuty, albo też rzucać na nich jakie podejrzenia, nie ograniczali się na jakichś ogólnikach, ale przytaczali fakta obwiniać ich mogące. Takich zaś faktów nie spotkałem ani w gwałtownych niegdyś filipikach w roku 1831, ani w dyskusyach przez ciąg lat kilkunastu następnych w kraju prowadzonych, ani nareszcie w tem, nibyto „gardłowaniu“ za nimi, które mnie do napisania tych wspomnień skłoniło.

Nadto wyznaję, że zupełnie nie rozumiem, co mogło być obecnie powodem do postawienia kwestyi: „Czy oni byli dobrymi polakami“? W roku 1831, kiedy mogło się komuś zdawać, że stawianie takiej kwestyi posłużyć mu może dla dojścia do znaczenia i do władzy, było to bronią, może nie bardzo godziwą, ale w szale namiętności politycznych, nie bardzo się zwykle w środkach przebiera. Obecnie jednak, kiedy popioły tych ludzi oddawna już spokojnie spoczywają w grobach, toć już nie na podstawie jakichś podejrzeń, ani domniemań, ale z ich czynów sądzić ich należy.

Otóż Franciszek, Tomasz, Piotr, Jan, Tadeusz i Józef Łubieńscy przebiegli koleje życia, dość wybitne, ale zresztą podobne do wielu obywateli w kraju, których ogólne otaczało poważanie i których zasługi w swoim czasie uzna-

wane były, bo się albo sami o to starali, albo się za nich ich spadkobiercy ujmowali.

Jeden tylko Henryk Łubieński miał przez czas niejakiś, stanowisko zupełnie wyjątkowe w kraju. Stanowisko, które nie było przywiązane do urzędu jaki piastował, ale było wypływem jego osobistego usposobienia i okoliczności w których się znalazł. Na tem stanowisku wyznaję, że nie zawsze robił to samo i tak samo, jak robili, już nie mówię ci, którzy tylko o swoich osobistych korzyściach myśleli, ale i ci, którzy także nad dobrem publicznem pracowali. Główne jednak różnice tej pracy były dwie, że ci co robią coś dla drugich, czynią to zwykle albo z pobudki jakiegoś wzajemnego własnego interesu, albo z przyjaźni, albo z miłosierdzia j żeli już o zupełnie biednych chodzi. Henryk Łubieński zaś, był zawsze gotów każdemu oddawać przysługi i oddawał je, bo w każdym upatrywał współobywatela i bliźniego. A druga różnica, że praca prawie wszystkich tych, co w kraju naszym o dobru publicznem myśleli, była skierowana ku rozwijaniu i kształceniu ducha swoich ziomków; praca zaś Henryka Łubieńskiego miała głównie za przedmiot rozwój sił materyalnych narodu. Nie ujmuję wcale wzniosłości celu i użyteczności pracy tamtych, ale zawsze, a zwłaszcza w tym

wieku, w którym „siła idzie przed prawem“, ten ostatni cel pracy także uznania jest godzien.

Zresztą nie można żądać od ludzi, ażeby wszyscy mieli o wszystkiem jednakowe zdania, ażeby wszyscy tąż samą kroczyli drogą. Są na tym świecie różne charaktery, różne usposobienia i ludzie znajdują się w różnych okolicznościach. To wszystko wpływa na unormowanie ich obowiązków. Zasługa leży w spełnianiu tego, co się za obowiązek poczytuje, a nie w ślepem stosowaniu się do pojęć, chociażby dosyć ogólnie przyjętych. Rozmaitość zdań jest na tym świecie nieunikniona, a nawet jest pożądana, bo ścieranie się tych zdań, zmusza każdego do zastanowienia się nad swoimi obowiązkami, rozjaśnia jego własny sposób widzenia i chroni od bezdroży. Ale to ścieranie się zdań powinno być łagodzone miłością, z której wynika wyrozumiałość i poważanie dla zdania cudzego, nawet wtenczas, kiedy się je nie podziela. Kroczenie wszystkich po jednej drodze dla dojścia do jednego wspólnego celu, do dobra kraju, jest także niemożliwe, a nawet nie jest pożądane. Ten cel daleko spieszniej i pewniej osiągniętym będzie, jeżeli różni różnemi do niego zdążając drogami, starają się o zaspokojenie tych przeróżnych potrzeb, z których równowagi dopiero dobro ogółu wyniknąć może. Życzyć

sobie tylko należy, ażeby ci, którzy się na tych różnych, a czasami i pozornie sprzecznych spotykają drogach, nie porywali się jedni na drugich, jakby jacy zawzięci przeciwnicy, ale się wzajemnie szanowali, jako współpracownicy.

Były na nasze nieszczęście czasy, w których Polacy dla zadosyćuczynienia swojej dumie, wydawali kraj na zniszczenie, naprowadzając nań hordy tatarskie i hufce szwedzkie. Takich złemi polakami nazwać było można, a jednakże niejeden z nich winy swoje przez następne poświęcenie starał się okupić. Były potem czasy, kiedy u nas za marne nagrody i za złudne blaski zaprzedawano niepodległość swojego zdania i wierność najświętszym obywatelskim obowiązkom. Te czasy minęły już Bogu dzięki bezpowrotnie, a najstarsi nawet z pomiędzy obecnie żyjących, nie byli ich świadkami. Były znowu czasy, kiedy oczekiwanie jakiejś obcej pomocy, ostudzało gorliwość w pracy, albo kiedy przeciwnie zbytnie zaufanie w skuteczność przedsięwzięć nie zastosowanych do sił naszych, wiele złego na kraj nasz sprowadzało. A jednak tych, którzy podpadali tem złudzeniom, już złemi polakami nazwać nie można było. Te czasy, które my starzy dobrze pamiętamy, także bezpowrotnie już minęły. Teraz nastąpiły czasy, w których trzeźwy i jasny pogląd

na obowiązki jakie mamy do spełnienia i na potrzebę pracy we wszystkich kierunkach, wielkie zrobił postępy. Nie zakłócajmyż potrzebnego do tej pracy spokoju, zarzucając jedni drugim, jakoby nie byli dobrymi polakami. Ale przeciwnie, zachęcajmy jedni drugich do wytrwałości w tej pracy, większem niż dawniej wzajemnem wyrozumieniem, większem wzajemnem poważaniem, większą i szczerą a prawdziwie braterską wzajemną miłością.

Takiemi się właśnie zasadami kierowali Feliks Łubieński i wszyscy jego synowie. I pracowali wtenczas, kiedy jeszcze wielu w kraju albo się bawiło, albo się marzeniom różnym oddawało. I szanowali cudzą pracę wtenczas, kiedy praca w naszym kraju mało jeszcze cenioną była.

SPIS RZECZY.

SPROSTOWANIA.

Str.	*Wiersz*	*zamiast*	*czytaj*
VI	24	historyą	historyę
"	25	historyą	historyę
XI	2	była	została
"	2 i 3	dotkliwe	dotkliwemi
"	15	przytoczoną	przytoczona
XIV	16	historyą	historyę
18	21	opozycyą	opozycyę
25	15	Skurzewski	Skórzewski
41	5 i 6	kampanią	kampanię
"	11	1825	1826
44	14	kampanią	kampanię
45	23	zaboru	zaborowi
47	2	panną	Ireną
48	5	kampanią	kampanię
"	7	dymisya	dymisyę
91	14	Hille	Hielle
98	9	gwardyą	gwardyę
103	2	propozycyą	propozycyę
106	18	okazyą	okazyę
111	20	juryzdykcyą	juryzdykcyę
119	9	renty	reszty
121	8 i 9	dyskrecyą	dyskrecyę
"	20	amnestyą	amnestyę
134	13	i	(opuścić)
140	20	Engelhartówną	Englówną
141	1	Engelharta	Engla

Str.	*Wiersz*	*zamiast*	*czytaj*
143	7	także	takie
152	19	Halpert	Halpern
158	7 i 8	Dyrekcyą	Dyrekcyę
159	26	Miłkiewicz	Mytkiewicz
160	14	był	został
164	1	motywem	motywum
"	4	będziemy	będziecie
169	9	redagowinym	redagowanymi
170	9	Opóźnienia	Opóźnienie
173	24	produkcyą	produkcyę
175	23	Jaworza	Jawora
177	17	administracyą	administracyę
178	6	koncesyą	koncesyę
"	7	administracyą	administracyę
"	9	administracyą	administracyę
182	26	Hille	Hielle
186	21	ojcem	pionierem
187	13	produkcyą	produkcyę
193	4	1841	1840
194	19	objawienia	objawienie
198	10	pensyą	pensyę
202	22	oprócz	skutkiem
203	22	racyą	racyę
210	23	Halpert	Halpern
211	6	Halperta	Halperna
220	3	swoje	swoją
"	"	niekompetencyą	niekompetencyę
222	19	Kamionnej	Kamiennej
223	24	Kamionnej	Kamiennej
243	9	propozycyą	propozycyę
"	10	swoje	swoją
"	24	kaucyą	kaucyę
245	15	Hille	Hielle
250	18	administracyą	administracyę
"	24	pożyczony	pożyczoną
"	27	sukcesyi	sukcesyę
251	1	przejętej	przejętą
"	26	sumę	sumie
252	1	włożony	włożonej
254	11	Kamionnej	Kamiennej
"	17	okazyą	okazyę
261	4 i 5	*Czastnij*	*Uczreżdaietsia*

Str.	*Wiersz*	*zamiast*	*czytaj*
261	10	komisya	komisyę
263	24	rozpatrujący	rozpatrzywszy
264	16	Hille	Hielle
267	6	to nie	takowe
"	7	znajduja	znajduje
270	26	kampanią	kampanie
273	27	oracyą	oracyę
275	1	Szaniaski	Szaniecki
280	23	spodziewa	nadziewa